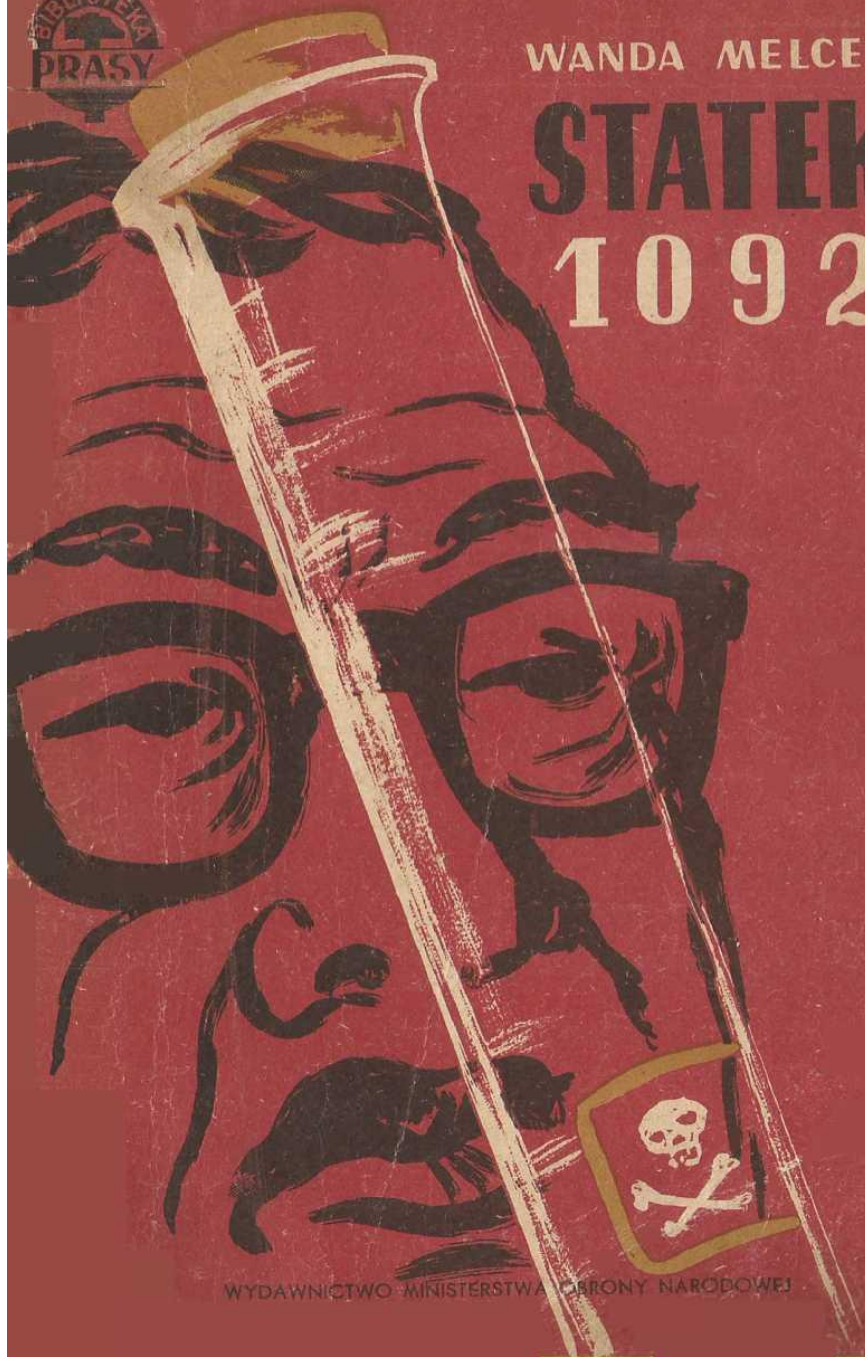


BIBLIOTEKA
PRASY

WANDA MELCER

STATEK 1092



WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OCHRONY NARODOWEJ

WANDA MELCER

STATEK 1092

**WYDAWNICTWO MINISTERSTWA
OBRONY NARODOWEJ**

WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

Okładkę projektował ZBIGNIEW PIOTROWSKI

Redaktor JAN MALINOWSKI

Na zlecenie RSW „PRASA”

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej Warszawa
1953. Wydanie I masowe

Nakład 30 000 egz. Obj. 10.6 ark. wyd. 10,5 ark. druk. Papier gazetowy 50 g. Format C3 cm Oddano do składu 8 IV 53 r. Podpis, do druku 6 VI 1953, Druk ukończono 20 VII 53 r. Nr zam. 3676 z dn. 8 IV 53 r. Zakłady Graf. Wyd. MON w Warszawie ul. Grzybowska 77 4-B-53448 Cena zł. 2.40

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Koniec marca, niedziela, godzina jedenasta rano. Amerykański statek szpitalny nr 1092 o wyporności 6 tysięcy ton kołysze się na pełnym morzu, zakotwiczony w odległości 3 mil morskich od portu Inczon na zachodnim wybrzeżu okupowanej Korei. Załoga i personel sanitarny czują się jak na wyspie. Jedyna komunikacja to motorowe szalupy, które obsługuje w miarę potrzeby pierwszy mechanik Dobrey. Barometr gwałtownie spada. Pawie, zmienne kolory wody i porywisty wiatr od lądu zapowiadają burzę, choć słońce dogrzewa.

Widok morza to jak widok pustyni, cóż tu się zmienia? Nieustanne dąsy fal wydają się bezcelowe. Dopiero kiedy spojrzysz w stronę lądu, zobaczysz, jak woda pieni się wokół tysiąca wysp i drobnych skał, otaczając każdą białym, nieruchomym wieńcem, niby rozwartą powieką. Między wyspami coraz przemyka szeroka łódź koreańska pod dużym, ciemnym, kwadratowym żaglem, jedyną osłoną w razie deszczu. Odbicia białych ubrań rybaków drżą jak migotliwe cętki. W przeciwieństwie do tego pulsującego życia uwięziony na redzie statek jest twierdzą, jest niemal więzieniem. Droga słońca, która w dzień ściele się do tak zdawałoby się bliskiego brzegu, a nocą jaskrawa, oleista, niby namaszczona czymś droga księżycy — to nie są drogi, po których można iść.

Woda chlebcze monotennie o boki okrętu. Z daleka, nad fantastyczną linią budynków zoranego bombami portu, układa się czarny dym, a tam gdzie wybrzeże gwałtownie się cofa, widać ciemny zarys obejmującego łuku ziemi i pojedyncze, niewysokie, bezleśne wzgórza, pokryte pierwszą żółtawą zielenią traw. W porcie stoi kilka wielkich okrętów wojennych otoczonych ciżbą przybrzeżnych trampów i łodzi. Za ciężkimi, użytkowymi budynkami wybrzeża, za domami pokrytymi koloro-

wą dachówką z zagiętym na chiński sposób brzegiem, na równinie wzdłuż rzeki miasto rozpościera się coraz rzadszymi domkami, krytymi już nie dachówką, ale słomą, tu mieszkają biedacy. Obsadzone cedrami ulice, rozpełzające się jak macki od centralnych budynków i placów, zamieniły się tu na kręte, wąskie ścieżki, snujące się nieregularnie od chaty do chaty, tak jak je wydeptały lekkie i drobne, w miękkie pantofle obute stopy mieszkańców.

Całe połączenie portu zamknięte są dla ruchu krajowego przez amerykańskich zdobywców. Na szosie łączącej Inczon z Seulem wre bezustanny ruch małych, pędzących z zawrotną szybkością „Jeepów” wojskowych, z których wyglądają szerokie, zwierzęce twarze napastników.

Między gnającymi wozami, między motocyklami posuwają się w innym, powolniejszym rytmie stada rzeźne, gnane przez drobnych, smagłoliczych i czarnowłosych Koreańczyków, Bokiem przesuwają się rowery. Młody Koreańczyk, ubrany w liचे europejskie, ubranie z burego kortu i czapkę z daszkiem, wiezie na ramie staruszkę-ojca w narodowym stroju. Starzec ma rzadką, klinowatą bródkę, białe ubranie w rodzaju chałata mocno przewiązane w pasie i wysoki, jak kociołek, czarny kapelusz, na włosach po staroświecku zaczesanych na ciemieniu. Trzy młode praczki wracają z rzeki, niosąc w koszach na głowie wypraną bieliznę. Ich ciemne, przewiązane pod pierśiami spódnice rozwiewają się miękko za każdym krokiem jędrnych nóg.

Za portem, za miastem, w stronę świętych wzgórz, które kryją się w porannej mgle, leczy swoje rany pracowita, cierpliwa Korea. Chłopi w szerokoskrzydłych kapeluszach przygotowują wodne pola pod ryż; powolne byki o długich pyskach i zagiętych ku tyłowi rogach ciągną wryte głęboko pługi, kobie-

ty w białych chustach na głowie sadzą czumizę i wielkokiściany gaolan, a jeżeli słońce będzie tak przygrzewać, to i soję wysięją. Na niebie leżą poziomo chmury i dymy. Wygląda ono w tej chwili, jakby było z karbowanej blachy, niby dach chłodni, jest tylko jakby nieco szerzej skarbowane niż blacha.

Kiedy ktoś z załogi szpitalnej statku stanie na brzegu pokładu i wesprze się o relingi, nie dojrzy tego bliskiego kraju. U nóg migocze ciągle i rusza się niespokojna woda, przecząc blaszanemu bezruchowi nieba. Kilka dni temu palacz Karl z obsługi kotłów, znęcony widać pozorną bliskością nieosiągalnego wybrzeża, usiłował dotrzeć nocą wpław na wyspę. Nie znaleziono go rankiem, a nie wiadomo, jak się uda skompletować załogę. Ktoś z lisynmanowców? Tubylec? Nie, wprowadzenie ich na pokład nie jest zbyt bezpieczne. Ano, niech się Bollow martwi, on ma zawsze w każdej sprawie tyle do powiedzenia.

— To idiota — mówi Francuz Rene Simmier — to idiota. — Twarz Rene układa się zawsze w mnóstwo dowcipnych zmarszczek, dodając smaku słowom. — Co on myśli, że gdzie trafi? Wyjechałeś, bracie, to siedź, i tak ci pieniążki same lecą. Wycierp. Wojna wymaga ofiarności.

Słowo „ofiarność” wymawia tak, jak subiekt wielkich paryskich magazynów. Tam też pisze się w reklamach o „ofiowaniu” podwiązek o trzy franki taniej, bo spłowiąły.

— Kto idiota? — pyta powolnie Claes Norling. — O kim mówisz?

Claes kombinuje powoli, jego okrągła, typowo duńska twarz, okolona blond bokobrodami, które przechodzą w brodę, jest jakby cała naiwnym znakiem zapytania. Rene nie odpowiada, mruży tylko dowcipnie lewe oko. Wszyscy się śmieją. Miny tej twarzy są często o wiele bardziej zajmujące niż słowa, które wymawiają usta. Sam Rene o tym wie i szeroko z tego

korzysta. Miał co prawda na myśli tylko biednego Karla, ale pytanie Claesa uświadamia mu, że dałoby się to rozciągnąć na amerykańskiego łącznika. Nie śmie tego głośno powiedzieć, ale zmrużył oko: koledzy mogą się wiele domyślać, niech ktoś spróbuje czegoś dowieść. Co to, oka już zmrużyć nie można, czy jak?

— Amerykański trupper * — powiada w zamyśleniu Claes.

Mówi po duńsku, więc koledzy znów się śmieją, choć wesołość ich

jest nieco mechaniczna. Śmieją się, ilekroć któryś z tych dwóch otworzy usta, ale nie ma w tym śmiechu radości. Ciężko im, tylko Claes jest taki, że zawsze wszystko wygada.

Krajanie patrzą teraz na Lenarta Sorensena, ten ma zawsze pełne kieszenie anegdotek. Kto jak kto, ale on potrafi zająć ich, godzinami opowiadając niestworzone historie, oczywiście bez wyjątku najzupełniej prawdziwe. Lenart Sorensen wszystko wie, możesz go pytać według alfabetu jak encyklopedię: otwierasz na potrzebnej stronie i czytasz odpowiedni artykuł. Nigdy nie jest w kłopotcie, odpowiada szybko, jakby był doskonale przygotowany. A gdy czegoś nie wie, też nie traci rezonu — komponuje odpowiedź tak gładko i swobodnie, że nikt się nie spostrzega.

Lenart czuje napór tych kilku par oczu, ale udaje, że nie wie, o co im chodzi. Siedząc bokiem na relingu, patrzy niby nieuważnie w migoczącą wodę. Po twarzy przemykają się odblaski. Choć jest ukryty w cieniu, odblaski te sprawiają, że

• **Trupper — po duńsku żołnierz.**

twarz jego, zupełnie spokojna, zdaje się grać mimicznie, wyraża coś, zmienia się. Nie odwracając oczu od wody Lenart wyciąga przed siebie spracowane ręce i przyglądając się im mówi:

— Powiedziałbyś coś, Dobrey. Milczysz dzisiaj jak grób.

Dobrey, pierwszy mechanik statku, siedział wygodnie na olbrzymiej linie, zwiniętej na pokładzie w poprawne „słoneczko”. Jego szerokie bary były pochylone i napięte, ogromne ręce wyciągnął przed siebie i objął nimi sterczące, spiczaste, pod samą niemal brodę podciągnięte kolana. Dobrey myślał. Miał plan, który go absorbował od chwili, kiedy, wpłynęli na wody Morza Żółtego. Lenart nie był taki głupi, żeby tego nie widzieć, ale coś go korciło, by przerwać milczenie, pod którym wyczuwał wiele nie wypowiedzianych myśli.

Zaatakowany w tak bezpośredni sposób John Dobrey podniósł ciężko swoją młodzieńczą twarz o wydłużonych rysach i dużym, lekko przygarbionym nosie.

— Czego ci trzeba? — spytał krótko, ale bez złości.

Lenart zaśmiał się nagle, patrząc uważnie na wielką rękę Dobreya, którą ten zasłonił się przed odbitym od fali blaskiem.

— Salutujesz? — zapytał. — Bój się Boga, człowieku, toż nie jestem twoim zwierzchnikiem! Patrzcie, ludzie, saltuje tą swoją wielką grabą niby szablą.

— Buldogi tresuje się na prawą rękę — powiedział wesoły radio-telegrafista Helge Jensen.

Kilku z załogi znów się roześmiało. Dobrey prostodusznie machnął ręką, ale jej nie opuścił. Rozsiany blask zanadto raził oczy. Było duszno, pierś ciężko pracowała. Nadchodziła burza.

Tamci czekali, co dalej nastąpi, Lenart lubił długie wstępy. Przetrzymywał ich tak czasami, lubił być pytany, drożył się. Znał swoją wartość. Niecierpliwy Homer złożył na kolana czy-

taną książkę i zaklaskał w dłonie. Na jego czarnej twarzy o szerokich nozdrzach świeciło kilka spływających kropli potu.

— I cóż z tą szablą? — wpadł w nastawioną przez Lenarta pułapkę, nalegał.

Lenart nie zaraz odpowiedział, rozejrzał się niby niefrasobliwie po kolegach, jeszcze mu było mało.

— Gadajże — powiedział rudy Oluf Petersen, który siedział obok Murzyna.

— Salutować, to znaczy witać się — wyjaśnił wreszcie niedbale. — Ale komu się saltuje — na to mi odpowiedz.

Znów przeczekał chwilę, choć Claes wciąż patrzył na niego wyczekująco i dopiero bezpośrednio zainteresowany ocknął się z zapatrzenia.

— Drugiemu oczywiście.

Simmier parsknął śmiechem.

— Drugiemu, nie, on jest niezrównany! Pewnie **że nie** samemu sobie!

Lenart uciszył go ręką.

— Siadaj. I nie drugiemu, nie. Ile razy przechodzisz, bracie, ulicą.

Napotykasz wesołych kolegów, którzy z dziewczynkami idą sobie na spacer, i ani ci łapa nie drgnie. Nieprawdaż? — rozejrzał się triumfalnie dokoła, miał przecież oczywistą rację. — Salutujesz, durniu jeden z drugim, zwierzchnikowi. A cóż dopiero, kiedy się znajdziesz na paradzie wojskowej. Oficer stoi przed frontem wyciągnięty jak struna, nie drgnie, choćby mucha siadła mu na nosie. I wtedy widać, jak z daleka sady na koniu generał. Koń wspaniały, grzywa puszczone na wiatr, za nim dwóch albo i trzech adiutantów, w pewnym oddaleniu, z uszanowaniem. I co wtedy robi nasz porucznik wyprężony przed swoim oddziałem? Czy sięgnie łapą do

czapki i wali w dach? Gdzie tam, on tylko podnosi szablę w górę i trzyma ją sobie przed nosem.

Przerwał na chwilę niby nieumyślnie i nie zmieniając pozycji głowy powiódł okiem po twarzach kolegów, czy aby słuchają z odpowiednim zaciekawieniem. Ale zobaczył w ich utkwionych w niego oczach tyle niekłamanego podziwu dla swojej wymowy, że zadowolony z efektu postanowił mówić dalej.

— Podnosi szablę, powiadam. A dlaczego podnosi szablę? Co to za takie powitanie? Więc ja wam teraz powiem, dlaczego on podnosi szablę. Bo taki blask bije od postaci zwierchnika, że prosty żołnierz musi oczy zasłonić, żeby nie oślepnąć.

Lenart czeka na efekt, który nigdy nie zawodzi, ale zanim jeszcze gruchnął śmiech i niedowierzające pytania, odzywa się głęboki bas Rene:

— Szabla, powiadasz? Ale w takim razie każdy musiałby tu mieć co najmniej dwie szable do salutowania. Jak przechodzi łącznik amerykański, taki bije blask, że doprawdy można oślepnąć.

Rene nie śmiał się nigdy opowiadając swoje kawały i teraz też zachowuje zupełną powagę. Ale zepsuł Lenartowi efekt, bo teraz nie wszyscy mają odwagę się śmiać. Nigdy nie wiadomo, kto słucha ich beztrioskiej gadaniny, zresztą nawet wśród nich samych nie każdy kompan jest pewny. Właśnie przechodzi drugi oficer. Poul Parsen, idzie zapewne na mostek kapitański, dziś jego dyżur. Załoga nie ma sympatii do Poula Parsena. Lenart tymczasem spieszy z drugim opowiadaniem.

— O marynarskich zwyczajach można mówić i mówić bez końca, ugruntowały się one od wielu setek lat, ale ludzie zapomnieli, skąd pochodzą. Dopiero kiedy zaczniesz im się

przyglądać od środka, za głowę się złapiesz. Skąd, pytasz się, dlaczego? A stąd i stąd.

I po tym wstępie mówił dalej, podczas kiedy oni słuchając sadowili się wygodniej na relingach czy stosach lin.

— Bo na przykład, kiedy przyjeżdża admirał albo na statku ma być inna jakaś wysoka wizytacja, cóż się wtedy dzieje? Po obu stronach przy wejściu stoją dwaj trapowi, nieprawdaż? No i jak myślicie, po co oni tam stoją?

— Żeby powitać gościa — mówi z powagą Rene.

Lenart wzrusza ramionami.

— Też wymyślił! Żeby powitać. Równy wita równego, to jasne. Kapitan wychodzi na deck, ustawia kompanię honorową z marynarzy, oficerowie się szykują, o, to rozumiem. Ale po co dwaj trapowi?

Urwał, jakby chciał tchu zaczerpnąć, w gruncie zaś dlatego, by wzbudzić większe zaciekawienie.

— Otóż powiem wam po co. Im człowiek miał wyższe stanowisko, tym więcej brzuch sobie upaść, a kiedy dostał admirała, to już sił brakło, by mógł się poruszać własnym przemysłem i trzeba go było z motorówki po linie wciągać razem z fotelem. Wtedy i trapowi potrzebni, żeby przygarnąć w ramiona najjaśniejszy fotel i nie upuściwszy postawić na decku razem z szanownym cielskiem.

Marynarze bili się po udach z wielkiej uciechy.

Gra wody rozproszyła po twarzach marynarzy płochliwe światła, które przesuwały się i gasły. Wiatr ułożył się jak zwierz i przycichł niemal zupełnie. Koniec długiej wstęgi związającej z głównego masztu to ukazywał się, to znikał nad ich głowami, kołysany lekko w obie strony.

Lenart podniósł leniwie oczy ku górze i poprawiwszy się na siedzeniu, rozpoczął nowe opowiadanie.

— Im dłuższa podróż, tym dłuższa wstęga — zaczął — a to też, jest starodawny obyczaj.

— Ileż ty znasz tych bajek? — spytał zwolna Homer.

— Więcej, niż potrafisz spamiętać — odciął się Lenart — a z tą wstążką to taka znowu historia. Jak wiecie, w dawnych wiekach była rywalizacja na morzach między dwoma mocarstwami, Holandią i Anglią, kto ma potężniejszą flotę i kto będzie rządził całym światem. O, kłócili się, jak się tylko gdzie dopadli, jeden starał się drugiemu na złość zrobić. Wreszcie któryś z kapitanów Holendrów powiesił sobie ze złości miotłę na najwyższym maszcie. No, miotła jak miotła, można i tak, ale pytają go się, co to ma znaczyć? A to, powiada, miotła, którą wymieciemy Anglików ze wszystkich mórz. Dotarło to do uszu Anglików. Co robią, jak myślicie. Wieszają w odpowiedzi na swoich masztach linę. I cóż ma ta lina znowu znaczyć? Ano, jak Holendrzy będą próbowali wymiatać nas ze wszystkich mórz, to my złapiemy bata i takie im spuścimy lanie, że sami pouciekają, a nam zrobią miejsce. Tak się to innym kapitanom spodobało, że zaczęli wieszać na masztach swoich statków jedni miotły; a inni długie baty. Potem cała sprawa poszła w niepamięć. Holendrzy utracili całe znaczenie na morzu...

— Potem Anglicy... — powiedział Dobrey.

Lenart spojrział na niego bokiem.

— Mówisz jak prawdziwy Amerykanin.

— Potem Amerykanie — ciągnął dalej Dobrey.

— Ale zwyczaj pozostał. Tylko że już zapomnieli, co należy wieszać, a że te miotły nie wyglądały wcale elegancko, wieszają teraz wstęgi w narodowych barwach, tym dłuższe, im dłuższa będzie podróż — dokończył Lenart.

Oczy ich pobiegły za wstążką, która teraz zwisała nieruchomo nad ich głowami. Najmniejszy wiaterek nie marszczył ołowianej fali. Szeroka pierś morza zastygła w bezruchu.

Dobrey pociągnął ręką po twarzy, ścierając pot.

— Nawet golić się człowiekowi nie chce...

— Daj pokój przy niedzieli — rzekł Sven.

— Na starych rysunkach marynarze zawsze są zarosnięci jak dzikie zwierzęta.

— Początkowo był taki obyczaj — wyjaśniał Lenart — ale później obyczaj się zmienił. Marynarze tylko do tego czasu mieli brody, póki na tronie angielskim zasiadał król.

— A teraz kto siedzi, idioto? — spytał Helge.

— Tylko nie idioto, tylko nie idioto — zaprzeczył z godnością Lenart — mówię o czasach, kiedy na tron wstąpiła Elżbieta. Ministrowie patrzą się, patrzą na marynarzy i aż się za głowy złapali. Jakże to, na tronie samotna dziewica, a tutaj drab będzie pozwalał, żeby mu włosy na gębie rosły? Nie ma takiej rzeczy, której by nie potrafiła królowa, ale obrosnąć na pysku nie zdoła. I odtąd każdy marynarz, żeby nie zawstydzić królowej, musiał być golony.

Śmieli się. Rene znów przerwał swoim kpiącym głosem:

— Przeczytajcie dzisiejsze rozporządzenie, to też się czegoś dowiedziecie o goleniu.

— Co? — dopytywali się.

— Generał II atlantyckiej dywizji Mac Clune wydał specjalny rozkaz, żeby każdy oddział strzygł się innym fasonem, powiadam wam, brody, baczki, różne tam różności.

— Nie gadaj głupstw, i czemu to?

— Żeby podczas nocnego ataku można było poznać, do jakiej jednostki który żołnierz należy.

Marynarze trzymali się za brzuchy, aż Homer spytał podejrzliwie:

— Dzisiejsze zarządzenie? A gdzieś ty je przeczytał, chyba przez radio nadawali? I to pewno dla piechoty lądowej, nas to nie dotyczy.

Rene wykrzywił z pogardą wargi, że niby gwizdże na takie pytanie i nie życzy sobie, żeby go łapać za słówka, a potem raczył odpowiedzieć:

— Dla lądowej, dla lądowej, mój dobry czarny.

ROZDZIAŁ DRUGI

Milczący dotąd rudy Oluf Petersen powstał nagle w całej swojej okazałości.

— Przestańcie wreszcie błaznować, do ciężkiej cholery — rzekł. — Powiedzcie lepiej, co my tu właściwie robimy?

Zapadło ciężkie milczenie. Homer Ratcliff otworzył szeroko usta, jakby go chciał połknąć, słowa wrywały mu się z gardła, ale potem odwrócił głowę i nic nie powiedział. W ciszy zabrzmiał wyraźnie głos Svena Ahlborga.

— Coś ty, dziecko? Zaciągnąłeś się za grube hopy na statek wynajęty na wojnę w Korei przez spółkę twoich rodaków Strandberg i Bjork, a teraz strugasz wariata i zadajesz głupie pytania. Co robisz? Służysz, to twój psi obowiązek. Zaciśnij zęby i myśl, gdzie będziesz za rok. Bo ja — dokończył — będę współwłaścicielem sklepu na Sidan gade w Kopenhadze i nic mi więcej, moi mili, nie będzie wtedy -trzeba.

Ożywili się.

— To tak jak wygnanie — powiedział któryś.

— Albo jak więzienie — zaśmiał się Helge Jensen — **rok** nie wyrok, potem się brama otworzy i bywaj zdrów!

Nikt mu śmiechem nie zawtórował.

— Ty otwierasz sklep na Sidan gade, czy jak się tam te wasze wariackie ulice nazywają. No, a ja w Tulonie — powiedział Rene Simmier i spojrzął z nowym zainteresowaniem na Svena.

Dobrey podniósł głowę.

Tulon — mruknął — to tam, gdzie siedzi Henri Martin. Znasz go?

Simmier wyszczerzył zęby.

— Inna branża.

— Ale mogłeś go przecież gdzieś widzieć. Nie byłeś na procesie?

Rene zastanowił się, dopiero teraz przyszło mu na myśl, że mógł przecież, jak inni, być na procesie. Ale nie był. Stracił okazję zainteresowania kolegów sensacyjnym opowiadaniem.

— Widziałem tę jego dziewczynę — rzekł wreszcie — na targu w Melun. No tę, Simone. Robili koło niej wielkie tralala, biegali za nią, mówię wam, szopa. I Thorez tam był, a jakże, chodzili razem, niemal że pod rękę.

Sorensen zainteresował się.

— Ładna?

— Niczego sobie, szczupła, przyjechała na rowerze, ona tam gdzieś mieszka. Podpisywała pocztówki jak jaka królowa.

— A co było na tych pocztówkach?

— Nie przyglądałem się. Chyba jego fotografia.

— Kto to ten Martin? — zainteresował się któryś.

— Komunista — powiedział Oluf Petersen — no ten, sły-
szałeś chyba, co powiedział, że nie pojedzie na brudną wojnę do Vietnamu.

— I za to go aresztowali?

— A co ty myślisz? — rzekł Sven. — Mają go może pogłaskać po główce? Jeden nie pojedzie, drugi nie pojedzie, a gdzie dyscyplina.

— W d... — rzekł dobitnie Homer. — W takim wypadku w d...

— Łatwo powiedzieć w d... — powtórzył Lenart. — Ja jestem liberał, ale gdzie nie ma ostrej dyscypliny, nie ma armii, a gdzie nie ma armii, nie ma państwa.

— Henri Martin powiedział, że chce wiedzieć, kogo ma zabijać i za co ma zabijać. Wojsko to nie rzeźnia, to sprawiedliwa obrona państwa w razie napaści. A tam, gdzie był Thorez i narzeczona Martina, to nie był żaden jarmark, tylko festyn na rzecz pokoju — powiedział znów Oluf.

Oczy jego spotkały się z oczami Dobreya. Dobrey nie poruszył się, nie poruszył nawet głową, tylko jego duże, przenikliwie patrzące oczy zwróciły się w stronę, gdzie na stosie lin siedział Sven, i znów wróciły do Olufa. Lenart tego nie zauważył. Machnął ręką i rzekł pobłaźliwie.

— Niech ci będzie festyn. Jak się zwał, tak się zwał, byleby się dobrze miał.

Sven był bardziej spostrzegawczy, nie uszła jego uwagi ta mimiczna gra.

— A twój sklep z jakiej branży? — zapytał go Rene.

— Bławatny. — Sven mówił dalej, jakby się niczego nie domyślał. — Na Sidan gade są tylko dwa bławatne sklepy i to za rogiem. Mówię ci, będzie szalone powodzenie, baby się pozabijają.

— A ja bym nie ryzykował.

— Czego byś nie ryzykował?

— No, czego? A o czym mówimy? Bławatnego sklepu, ciamajdo. Nie wytrzymasz konkurencji z wielkimi magazynami. Byłem na praktyce w Galeries Lafayette w Paryżu. W Paryżu, powtarzam! Napatrzyłem się. To nie interes. Nie przetrzymasz, bracie. Zjedzą cię.

— Nie znasz duńskich stosunków. Tam jeszcze do tego nie doszło. Tam się jeszcze można dorobić mniejszym kapitałem. A ja przecież przywiozę, bracie, dolary.

— Dolary dolarami, ale ile ich będziesz miał? Tak się tylko mówi. Ja bym nie ryzykował.

— A ty co będziesz robił?

Laurent szelmowsko zmrużył oko.

— Kapelusze damskie, nowości, pióra, chustki. No takie na szyję, „une echarpe de chez Babani“*. pamiętasz? A ten Babani ma takie same chustki jak i kto inny, tylko potrafił sobie zrobić reklamę — dziany podpis na każdej apaszce i paryżanki lecą. Tu trzeba wymyślić coś takiego, czego jeszcze nie produkuje masowo. A prawda, ty nie byłeś w Paryżu.

— A ty nie znasz Kopenhagi — odciął się Sven.

— Ba — powiedział Rene Simmier — Paryż to taka mała Kopenhaga.

Jan Breg, trymer, zaśmiał się głośno. Ktoś dorzucił:

— Najlepsza wędliniarnia. Ubrać się, nie ubrać, a zjeść zawsze musisz. Ja, kiedy wrócę...

— Albo warsztat samochodowy. W dobrym punkcie, ładne garaże, przy arterii wylotowej, każdy się zatrzyma.

Spojrzeli na Murzyna.

— A ty, Homer?

— Jego nie ma co pytać. Recydywista. Chyba jesteś dziekanem wszystkich marynarzy świata? W jego wieku i jeszcze

* *Apaszka od Babaniego. Babani — producent modnych szalików.*

na morzu? Świat należy do młodych.

— Tylko w starych książkach czyta się o starych wilkach morskich, groźnych i obrośniętych.

— Znów wyjeżdżacie z tym zarostem — mruknął Lenart.

— Ile masz? Czterdziestka dawno wybiła, co? W twoim wieku powinieneś mieć ładne przedsiębiorstwo na jednej z głównych ulic miasta.

— Czarny? Daj pokój, powinien dawno wisieć na jednej z głównych gałęzi w parku swego miasta. To przecież Ameryka. Jakżeś się uchował?

— Dlatego właśnie zawędrował aż do Danii.

Mówili bez złości, ot tak, jak się stwierdza bezsporny fakt, toteż Homer nie oponował. Nie odwrócił nawet głowy, jakby to nie o nim mówiono. Dłonie, odwrócone ku górze jaśniejszą, różowawą stroną, leżały płasko na książce, jakby czegoś oczekiwał czy miał coś otrzymać. Oczy o żółtawych białkach patrzyły na daleki horyzont.

Oluf Petersen stał nad nim patrząc na otwartą książkę, którą Ratcliff trzymał na kolanach.

— Co czytasz? — spytał leniwie.

Murzyn powstał także i ziewnął ukazując zdrowe, białe zęby.

— „Odyseja” — powiedział wyciągając książkę w stronę Olufa. — Znasz?

Oluf kiwnął głową i zrobił parę kroków po pokładzie, Ratcliff posunął się za nim.

— Nimfa Kalipso — mówił wymachując starym i mocno zniszczonym książczyskiem. — A jest tu także nadzwyczajna historia o Circe, która zamieniała ludzi w wieprze. Ot tak, powiadam ci, podniosła czarnoksięską laseczkę i wszystko — na

cztery nogi. Chrząka to, chwostem wywija, czocha się. — Zażółcił się krótkim, gardłowym śmiechem.

Oluf też śmiał się głośno i dobrodusznie.

— A o wojnie w Korei nic tam nie było?

Homer Ratcliff nie spuszczał z Olufa wzroku. Jego żywe, błyszczące jak jaspis, inteligentne oczy w niemłodej, pomarszczonej twarzy mówiły więcej niż słowa. Wsparł się teraz łokciem o naprężoną linę, książkę wsunął do kieszeni.

— Może i było.

Odeszli trochę dalej, deski pokładu skrzypiały pod ich nogami obutymi w miękkie, gumowe buty. Oluf przyciszył głos.

— Dowiedziałeś się czego?

Homer pokręcił głową.

— Ani, ani. Pilnują się, diabły, na niczym ich nie można złapać. Tak to niby chodź, gdzie chcesz, rób, co chcesz, pytaj, o co chcesz, na wszystko dostaniesz jasną odpowiedź. Ale przeniknąć ich prawdziwe zamiary, o ho, ho! A ty?

— Coś się tam nasupłało — powiedział wymijająco Oluf.

— W laboratorium?

— Może w laboratorium...

— Tam jest ten stary, nienajgorszy człowieczyzna... Może by od niego.

— Aha.

— Bo rozumiesz — mówił dalej Murzyn przystając — inna sprawa, jak jest cała fabryka, dowody rzeczowe, czy jak to się nazywa. A tu musiałbyś się znać na każdym drobiazgu. Stoi parę szklanych rurek i bądź tu mądry, co w której! W ogóle tam nie puszczają. Nie twoja rzecz, każdy ma swoją specjalność, mówią.

— Od sióstr nic nie wyciągniesz — mówił w zamyśleniu Oluf.

— Od tych małąp? A dajże pokój! Te, to już sobie można powiedzieć, dobrali pod każdym względem.

— Może nie wszystkie. Trzeba szukać ludzi — rzekł ostrożnie Petersem

— Jedna tam wydaje się bardziej do człowieka podobna, porozmawiaj z Dobreyem, to jego kuzynka.

— Nasza akcja — powiedział jeszcze z cicha Oluf — nie zapominaj o tym, musi iść w dwóch kierunkach. Jeden, to możliwie dokładny wywiad, po co oni tu właściwie przybyli. Drugi, to ludzie. Uświadamiać, ciągle uświadamiać, przygotowywać. Trochę się już zrobiło, ale nie wszystko. I niekoniecznie trzeba z każdym oddzielnie gadać. Można coś podsuwać i w ogólnej rozmowie. To nawet bezpieczniejsze, bo mniej zwraca uwagę.

Idąc ciągle spacerowym krokiem po deskach pokładu, zawrócili teraz ku grupie rozmawiających. Mogli się już wzajemnie słyszeć.

— Albo takie syreny — powiedział Homer. — Śpiewają sobie, śpiewają i to niby nic nie znaczy, ale Odyseusz, proszę ja ciebie, musiał sobie woskiem zalepiać uszy.

Tamci jeszcze mówili o sklepach.

— W oknach czerwone portiery...

— Czerwone? Opóźniasz się, stary. Już widzę twój sklep, tandeta, że serce się ściska. Nie masz nowoczesnej wyobraźni. U mnie będzie inaczej, szkło, kryształ, wszystko jasne, przezroczyste... Kasjerka...

Zamilkli na chwilę, każdy zapatrzył się w przyszłość, którą wywoływali niebacznymi słowami. Widzieli przed sobą ludne ulice, poruszające się tłumy, widzieli wspaniałe lokale, światła, lśniące limuzyny i pieniądze, pieniądze. Górzysty, zwaliskami pokryty, ponury brzeg obcej ziemi rozpościerał się

przed nimi w oddali jak ekran, po którym przesuwiają się wymarzone obrazy. Zapomnieli, gdzie są i po co się tu znaleźli.

Ciężka cisza w naturze stawała się wprost nie do zniesienia. Gdzieś w dali, gdy wzrok obrócili ku morzu, ukazały się nie wiadomo kiedy dwa sunące jeden za drugim okręty wojenne. Nadpłynęły widocznie, kiedy rozłożywszy się na pokładzie spoglądali nie widzącymi oczami ku brzegom Korei, zdawały się wisieć w powietrzu, posuwały się tak wolno, że oko nie mogło dostrzec ich ruchu.

Dzień nabrzmiewał, daleko mu jeszcze było do końca. Pierś podnosiła się nieznacznie, jakby obawiała się, że wraz z płytkim oddechem nabierze w płuca płynnego ognia. Upał był nie do wytrzymania,

Silny blask kładł się na twarzach marynarzy siatką grających zmarszczek, choć oko nie mogło ułoić najmniejszej fali na nieruchomym, ołowianym morzu.

Claes Norling poruszył się niespokojnie.

— Ja nie widzę przed sobą nic dobrego — powiedział, z lekka się zająkując — pracowałem w stoczni...

— Skąd jesteś?

— Z Odense. To znaczy pracowaliśmy oboje w. stoczni, bo żona także pracowała, była urzędniczką.

— Teraz Dania objęta jest dobrodziejstwem planu Marshalla — powiedział Sven takim tonem, jakby podsłuchiwał ich ktoś, na którego opinii bardzo mu zależy.

— Nie takie to znów dobrodziejstwo — tłumaczył cierpliwie Claes, walcząc z własną myślą i ciężką wymową — ja go przynajmniej nie widzę. Na stoczniach kryzys, sami wiecie. Ameryka nie pozwala nam handlować z innymi krajami, a to, czego potrzebujemy, przywozi na własnych statkach. U nas

dużo robotników zredukowali, moją żonę wyrzucili z posady, „masz męża — powiadają — który może na ciebie pracować”.

— To nieprawda — powiedział znowu Sven — sam widzisz, że Amerykanie dbają o rozwój naszej gospodarki i wynajmują nasze statki, jak ten na przykład...

— Szkoda im własnych na taki pieski rejs — rzekł Dobrey — to wynajmują cudze...

— Nie, to nie jest tak — powiedział Oluf — to pakt atlantycki, Amerykanie wyciągają teraz z sojuszników, między innymi i z nas, co się da, zmuszają nas do brania udziału w wojnie, no i w kosztach wojny...

— W kosztach może, ale i sami dobrze płacą — rzekł Rene Simmier i mlasnął przy tym językiem — daj pokój, ubezpieczenie, wynajęcie, w czasie wojny wszystko kosztuje drugie tyle...

— Płacą, płacą, za naszą skórę także płacą — mruknął Murzyn. — Tyś się gdzie zaokrętował, Dobrey, bo zapomniałem?

— Ja? W Nagasaki. Nie pamiętasz, jak po raz pierwszy władowałem się ze swoimi kłopotami na to pudło?

— Popatrz no, w Nagasaki. A swoją drogą tak szybko się odbudować po bombie atomowej.

— Eh, pewnie to tylko drewniane ramy i naoliwiony papier. Nieprędko się to odbuduje. I pomyśl — ile to ludzi, ile dzieci poginęło — ile dobra...

Zamilkli na chwilę. Obaj mieli jeszcze w oczach japoński port z zawieszoną jak ostrzeżenie nad wejściem do zatoki ciężką skałą Patenbergu, z maleńkimi domkami, ogródkami pełnymi sztucznych przepaści i szczytów, z wieńczącą miasto świątynią i nagimi wioślarzami, podpływającymi w zgrabnych łódeczkach do statku...

— Ano to właśnie w Nagasaki — rzekł wreszcie Ratcliff — coś na dwa dni przed twoim przybyciem Bollow przejmował statek od władz duńskich. Stypa była, powiadam ci.

— Bo co?

— Ano taka parada. Bollow wszedł na pokład w wielkiej asyście, w pysznym mundurze, przyjechał też konsul duński, a nasz Per Henning miał takiego, o, nosa jeszcze dłuższego niż zwykle. Nie wiedział wtedy, jak mu się współpraca ułoży...

— Jakoś się ułożyła — powiedział zjadliwie trymer Arne i roześmiał się kpiąco.

— A dalej co?

— No, wciągnęli nową banderę, przemaalowali nazwę i w drogę. A co byś jeszcze chciał?

— Którędyście jechali?

— Suez, jakżeby inaczej. Oni zresztą także przez Suez, to znaczy lekarze i siostrzyczki. Droga północna byłaby krótsza, to się wie, ale nie o tej porze — wtrącił znowu Arne mrużąc oko. — Tam nawigacja możliwa jest tylko przez dwa miesiące w roku i wtedy może być ciepło...

— Dlaczego? — spytał Simmier.

— Tak jakoś — odrzekł poważnie Arne — mogą się trafić góry lodowe... trzeba wytrawnego pilota...

Sven patrzył mu bystro w twarz, ale nie mógł zauważyć niczego podejrzanego.

— A jak się ten statek przedtem nazywał? — spytał niewinnie Dobrey.

— „Fru Edith” — powiedział Simmier — na cześć pięknej kobiety.

— Któż to znowu taki? — spytał Jan Breg, drugi z trymerów.

— Twoja „patronka”, idioto. Ciepła wdówka, najgrubsza akcjonariuszka koncernu. Ale może myślisz, że siedzi w Aarhus? Gdzie tam, ma wilię na Riwierze, tylko jej z domu korony przysyłają, żeby miała co przegrywać przy zielonym, jak to się mówi, stoliku. Tu trzeba mieć, o, tu — znaczącym ruchem puknął się w czoło — żeby przegrywać dobre pieniądze.

Sven machnął ręką.

— Nie martw się o nią, stać ją i na to, i na to...

— Mam projekt — powiedział wesoły Helge Jensen — następnym rejsem jadę na Riwierę i żenię się z babą.

Marynarze gruchnęli śmiechem.

— Jak cię zechce!

— Takiego morowca by nie chciała? Głupia by była. Gdzie znajdzie takiego drugiego?

Claes Norling powoli, ale pewnie zdążył za własną myślą.

— Mimo tego; co Sven powiada, ja nie widzę żadnych dobrodziejstw w planie tego jakiegoś Marshalla...

Rene odwrócił się ze zniechęceniem. I co tu z takim gadać? Zanim on się zdecyduje, co w ogóle chce powiedzieć, myśl Francuza będzie o sto kilometrów.

— Pieniąchy to grunt — mówi dalej Sven — powinniśmy się nieźle podreperować na, tej wojnie, a jeszcze jak doliczyć premie, a jeszcze jak obliczyć po sto dolarów na głowę za każdy nalot...

— Chciałoby ci się nalotów, co? — spytał kpiąco Lenart Sorensen. — Tu bomba ziuu, a tobie do kieszeni sto dolarów wiuu! Opłaci się ta chwila strachu.

— Jaka to bomba ziuu? — spytał ze zdziwieniem Claes. — Przecież jedziemy pod flagą Czerwonego Krzyża, a szpitali się nie bombarduje. Przecież to statek szpitalny.

— „Gukom”* to obojętne. Szpital nie szpital, dla „guków“ to mięta. Dla nich nie ma nic świętego — tłumaczył z namaszczaniem Sven.

— Nie wierzę, żeby bombardowali szpital — stanowczo zaprzeczył Homer Ratcliff.

— A ja spodziewam się z ich strony wszystkiego. Albo to ludzie? Widziałeś Koreańczyków, widziałeś tych ochotników chińskich? Ciągłe się uśmiechają. Alboż oni co czują?

— Swoją drogą — powiedział Rene Simmier — może być komiczna sytuacja. Bollow ma meldunek, że idą nieprzyjacielskie samoloty i niby obowiązek nakazuje mu ogłosić alarm, bo to ludzi jak ludzi, ale sprzętu szkoda. Ręka mu się wyciąga do dzwonka i sama się cofa. Nie ogłosi alarmu, myśli sobie, powie „bokiem przeszli, nie było żadnego niebezpieczeństwa“, to na złość może być katastrofa. A znów jak ogłosi alarm, setuchny nam lecą, wsiąkł chłopiec na amen i w domu po główce od dowództwa dostanie, że to — powiedzą — rozrzutny. I tak źle, i tak niedobrze.

— Jaka tam katastrofa — powiedział któryś lekceważąco — jaka tam katastrofa.

— Czasami się zdarza, że ktoś zginie od nalotu — mruknął Dobrey — rzadko, ale zdarza się. I na wojnie też ludzie giną, nawet czasami i Duńczycy. Rzadko, ma się rozumieć, ale się zdarza. Amerykanie, a i ci giną.

Zamilkli na chwilę, strach przeleciał po schylonych grzbietach. Nie przyjechali tu przecież, żeby umierać, przyjechali, żeby zarobić pieniądze. Nie dopuszczali do siebie myśli o niebezpieczeństwie, o kalectwie i śmierci, odsuwali ją możliwie jak najdalej. Gardzili drobnymi, skośnookimi ludźmi, nie

* *Guk* — pogardliwa nazwa tubylców.

wiedzieli o nich w ogóle nic i nie chcieli nic wiedzieć, zadawając się usłyszczanymi sloganami.

A mimo to był w całej tej sprawie jakiś ciemny punkt, widzieli go najbezmyślniejsi. Było tu coś niepokojącego, nie odpowiedzianego, skomplikowanego. Te senne, żółte wody, ten górzysty brzeg, spokój nieruchomego powietrza zdawały się chować jakąś tajemnicę, ukrywać potencjalnie jakąś groźbę. *

Zapewne w tym, że wynajęli się razem ze statkiem, oni, przygodni marynarze, z których niemal każdy chciał powrócić do lądowego, intratnego zajęcia, nie było nic przerażającego. Byli między nimi młodzi, żądni przygód, jak Helge Jensen, radiotelegrafista, ale na ogół wzięwszy to ludzie stateczni. Statek, choć starszej konstrukcji, godny był zaufania, przejazd do Japonii odbył się w warunkach spokoju i bezpieczeństwa: płynęli pod flagą Czerwonego Krzyża, raczej obserwatorzy niż uczestnicy boju. Z góry odżegnywali się od wszelkiego bardziej aktywnego udziału, z góry zrzucali z siebie odpowiedzialność. Praca jak praca, ostatecznie wszędzie trzeba pracować, a tu lepiej płacą niż gdzie indziej. To było decydujące, to zdeterminowało wybór.

Nie chcieli słuchać Dobreya, ale jego słowa natrętnie, włożyły w uszy i wierciły sobie drogę do mózgu. Umierać? Co to właściwie znaczy „umierać“? I gdzie, na obcej ziemi, nie we własnym łóżku? I — jak?

Lenart powstał gwałtownie, prostując opalone, jakby z brązu, ramiona, na których grały mięśnie.

— Nie kracz, kruku!

— A coś ty myślał — rudy Oluf Petersen poparł Johna Dobreya — że jesteś może nietykalny?

Naturalnie, że tak nie myślał, nic nie myślał, po prostu odsuwał od siebie takie przypuszczenia, i teraz nie życzył sobie nad tym się zastanawiać.

— To przecież statek szpitalny — powtórzył z uporem.

— Ale — powiedział któryś — jeżeli to statek szpitalny, czemu tu nie ma rannych? Czemu nie podjeżdżamy bliżej, tam gdzie rozgrywają się bitwy, czemu stoimy na tym pustkowiu?

Sformułował to, co nurtowało wszystkich, czym się wszyscy niepokoiли.

— Rzeczywiście, dlaczego tu nie ma rannych?

— Mamy przecież lekarzy, siostry szpitalne, sanitariuszy, mamy całkowity ekwipunek potrzebny w takich wypadkach...

— Nie brak środków opatrunkowych, lekarstw, bandaży, a motorówka z Inczonu coraz zwozi coś nowego...

— Jeszcze w Danii połączono i przebudowano kajuty...

Mówili teraz wszyscy razem, nie odpowiadając na swoje pytania, rzucając je gorączkowo pod to blaszane, nieruchome niebo, na tę blaszaną, sztywno karbowaną wodę, w przestwór niemal gęsty, płynnie lejący się w płuca. Mówili z pasją, gorączką, szybko, niewyraźnie, jakby każdy rozmawiał sam ze sobą.

— Uspokójcie się — Sven przekrzyczał wszystkie, zmieszane głosy — uspokójcie się! Nie ma tu rannych i szpital jest pusty. Toć lepiej, nie mamy pracy. Stoimy w miejscu, nie jedziemy tam, gdzie się biją. Więc nie trzeba przerzucać węgla, nie trzeba się smażyć żywcem przy kotłach i paleniskach.

Obaj trymerzy, Arne Gobsbjorg i Jan Breg, zwrócili na niego spojrzenia. Trzymali się zawsze razem, jakby się bali, że ich czarne nawet w święto bluzy odstraszą czy zniechęcą kolegów. Ich ręce, w które wżarł się węglowy pył, były tak czarne,

jakby nigdy nie były myte, węglowy pył wyraźnie zarysował wszystkie załamania i linie na ich dłoniach, jakby to był wzorzec chiromarity.

To prawda, stali na kotwicy, nie mieli pracy. Nie trzeba było wozić taczkami węgla przez całą długość statku, od rufy aż do dwóch bunkrów przy burtach, przez które zrzucało się węgiel do kotłowni, gdzie palacze podawali go łopata do okrągłych jak otwarta paszcza, wiecznie niesytych drzwi pieca. To prawda, od tygodnia plecy ich nie gięły się w upale przy przrzucaniu czterech ton węgla na jedną wachę, dziewięciu ton w ciągu doby.

Sven zwraca się do nich bezpośrednio.

— Macie swój system — mówi kpiąco — sami wiecie, ile on jest wart przy upale.

Patrzą na niego z nienawiścią.

— O jakim systemie mówisz, ty wszo na ludzkim ciele? — pyta Arne.

Sven zdaje się bawić ich bezsilnym gniewem.

— No, system operowania łopata podczas trymerki, nie?

— Zapewne — mówi pojednawczo Jan — trzeba odpowiednio trzymać łopate, to i więcej przierzuci się, i nie jest tak ciężko. Inny

system przy trymowaniu miału, a inny przy kęsach.

— Co mu tam będziesz tłumaczył — warczy Arne — szkoda język strzepić. Toż kpi z ciebie w żywe oczy.

— A żal ci — dogaduje Sven — że nie trzymasz w rękę łopaty? Że jeden z drugim leżycie brzuchem do góry, zamiast taczkami po deskach łomotać? Czy dowództwo musi nam zdawać sprawę, co i dlaczego robi?

Zamilkli. To prawda, nie ma pracy, a pieniądze lecą. Ludzie się nie wysilają. Czyż to jest powód do niezadowolenia?

ROZDZIAŁ TRZECI

— A zresztą — powiedział Sven po krótkiej chwili milczenia, jakby tę ważną wiadomość chciał zachować na koniec — dziś właśnie dostaniemy chorych.

— Chorych? Rannych chciałeś powiedzieć — rzekł Rene.

— Chorych czy rannych. Bóg z nimi. W każdym razie rozkazy są już wydane, łóżka przygotowane, pierwsza partia przybywa wieczorem na statek.

— Skąd wiesz?

Oluf spojrzał na Arnego, Arne na Olufa.

— Mówił mi... At, czy nie wszystko jedno, kto mi mówi? Dość że tak będzie.

Marynarze poruszyli się.

— Ależ, chłopie, jeżeli mają nam przekazać rannych, to chyba ktoś od nas musi po nich pojechać?

— Na pewno.

— Ale kto?

Zamigotała przed nimi nadzieja zejścia na ląd, przzerwania czymkolwiek tej okropnej monotonii. Ach, mieć nareszcie ziemię pod nogami, nie czuć nieustannego kołysania, zapomnieć o otchłani pod drewnianym pudłem, które ich więzi. Poczucie, że się żyje!

— Ilu może pojechać? — rozmyślał głośno Lenart Sorensen.

— Trzech, czterech, chyba nie więcej, co? Myślę, że ja powinienem dostać rozkaz. No i Parsen, jako sternik.

— Ty? Dlaczego ty?

— Jako bosman.

— To chyba raczej Dobrey — powiedział Sven, nie zdradzając żadnego zainteresowania nowiną, którą sam przyniósł i możliwościami dostania się na ląd.

Dobrey nie poruszył się.

— Jego to nie interesuje, a ja... Czekał, poproszę kapita-
na. Albo Bollowa. Kto jeszcze? Chyba ze dwóch sanitariuszy?
Może ty, Claes?

— Rozkaz, to rozkaz — rzekł Claes — kogoś zapewne
wyznaczą,

— W każdym razie — powiedział Homer — będzie to
nasze pierwsze zetknięcie się z Koreańczykami.

— Skąd wiesz?

— Co skąd wiem?

— Przecież to mogą wcale nie być „guki“, mogą nam po
prostu przywieźć rannych żołnierzy amerykańskich.

— Amerykańskich? Coś mi się nie widzi.

— At — powiedział rażno Lenart — co będziemy sobie
głowy łamać, przywiozą, to zobaczymy. Grunt, żeby choć na
parę godzin dostać się do portu.

— Jaki ważny. A my, to co? — odezwało się parę głosów.

— I co będziesz w tym porcie robić? — spytał Oluf.

— Durny, co się robi w porcie? Można wypić, poweselić
się, dziewczynki...

— Jedziemy razem — powiedział Francuz.

— Co ty, przecież jest wojna — mówił dalej Oluf.

— No to co, dziewczynek zabrakło czy wódki?

— Ja bym się brzydził takiego bydła, co chodzi z Amery-
kanami.

Dobrey znów podniósł głowę i znów poszukał oczu Oluf a,
jakby mu chciał coś powiedzieć czy przed czymś ostrzec.

— Zresztą — mówił dalej Oluf, jakby nie widząc tych spojrzeń — jaki to port? Wszystko zniszczone.

— Masz lepszy? Nie? To siedź cicho.

— Owszem, mam lepszy, tylko nie tu.

— Ba!

— Był który z was w Gdyni?

— Przejazdem — powiedział powoli Claes.

— Gdzie to jest? — spytał Helge. — Jadę!

— W Polsce — ciągnął dalej Oluf. — Woziliśmy tam drobnicę. Zachorowałem, zostawili mnie do następnego rejsu. Mieszkałem przez miesiąc w Domu Marynarza, tam jest wspa-
niale.

— We Fredericii też jest dom dla marynarzy pod opieką pastora.

— Aha, już go widzę. Można oszaleć, byłem tam. Flaki z olejem. A w Gdyni, powiadam wam, luksusowy Palace-hotel. Każdy ma swój pokój, firanki, lampa przy łóżku, żarcia potąd. Jadalnia, powiadam wam, jak ogród, słońce, wszędzie pełno roślin w ogromnych kubłach, przez okna widok na morze i czerwone pelargonie, taki klomb. Byłem tam rok temu, ale da-
ję wam słowo, że nie zapomnę tak prędko.

— Pelargonii mu się zachciało — przerwał znów niezadowolony Sven, ale reszta chciała słuchać. Wpatrywali się w twarz Olufa, a obrazy, które roztaczał, rzucone na ekran pu-
stego, niegościnnego brzegu, wydawały się jeszcze piękniejsze.

— Tam i ludzie są inni,— ciągnął dalej Oluf. — Ot, weź choćby taką rzecz, kiedy już się czułem lepiej i mogłem wy-
chodzić, zabrali mnie na swój nowy statek. „Sołdek“ się nazy-
wa. Czego tam nie ma na tym statku! Dwuosobowe kabiny dla załogi...

— Dwuosobowe? Akurat!

— Wygodne łóżka, szafy, stoły, jak w hotelu. Klozet wypada na sześciu, a w umywalni kran się liczy na czterech, kąpiel z ciepłą wodą, tusz, pralnia, suszarnia, gdzie możesz powiesić koszulę... No, powiadam wam, luksus.

Nie wierzyli mu.

— Bujasz — powiedział któryś — to wszystko dla załogi? A my jak śpimy? W nocy bulaja* nie otworzysz, sypialnie pod linią wodną. Udusić się można.

— Właśnie ci w Gdyni mówią, że tak nie wolno, bo załoga całe życie spędza na statku i musi mieć wygody.

— Są niby takie zalecenia Komisji Międzynarodowej — powiedział Rene — ale kto by się tam tych zaleceń trzymał..

— No nic — powiedział Lenart — pomęczysz się, pomęczysz i wrócisz. Rok szybko mija.

— Jeżeli wrócisz — powtórzył Dobrey.

— Znowu zaczynasz?

Odwrócił od nich oczy i patrzył przed siebie tam, gdzie linia relingu kładła się ściśle na linii horyzontu. Dwa statki wojenne, zawieszane nad horyzontem, wyglądały jakby spuszczone je na jakiejś niewidzialnej linii z nicości. Woda zdawała się wchodzić na niebo, trudno było odróżnić jedno od drugiego. Nieco wyżej stały się nieruchome, ciemniejsze smugi dymu.

Statki ślizgały się nie wiadomo po czym, posuwały się jednak ciągle. Można to było zauważyć, spoglądając na nie od czasu do czasu. Dymy nie rozpraszają się, przeciwnie, stały smugami na szarym niebie, jak fale blachy.

Dobrey znów przysłonił oczy chroniąc je od rozproszonego blasku. Nie chciało mu się ruszać, chciał raz jeszcze przeżyć to wszystko. „Tak — myślał sobie — to wszystko tak właśnie wygląda. I co-

* *Bulaje — okrągłe okienka.*

kolwiek zamierzysz, musisz robić z takimi właśnie ludźmi, jak oni, nie z innymi".

Badał raz jeszcze ich twarze, przenosząc powoli spojrzenie swoich dużych oczu to na jednego, to na drugiego, porównywał, rozmyślał. Kiedy napotykał czyjeś spojrzenie, odwracał głowę.

— Mówicie różne rzeczy o „gukach”, ale kto ich widział — podjął znów Lenart Sorensen. — Rozmawiał kto z nimi?

— A po jakimu? Po dzikiemu? Nie potrafię — odrzekł któryś.

Przez chwilę milczeli, przypominając sobie napotykaną w portach nieliczną twarz ludzi, których żółtawa cera, skośne oczy i nieznaną język zdawały się ukrywać jakąś nieprzeniknioną tajemnicę.

— Kto... kto widział? — rzekł jękając się Claes Norling. — Ja widziałem. I nie tylko widziałem. Rozmawiałem z takim.

Ten biedny Claes! Więc i on miał coś ciekawego do powiedzenia. Wszyscy skierowali ku niemu oczy i zamilkli czekając, co powie dalej. Nie był do tego przyzwyczajony, oczekiwał raczej, jak zwykle, drwinek na temat powolnego sposobu mówienia, zająkiwania się, nielotnej myśli. Strwożony umilkł na dobre.

— Gadajże — przynaglał go Francuz. — Po jakimu z nim rozmawiałeś?

— Dwa lata temu... — rozpoczął wreszcie Claes opowiadanie. — Tak, to było chyba ze dwa lata temu, na jesieni. Dobrze mówię, wrzesień albo może nawet październik.

Simmier wznosił ręce do nieba.

— Tempo, tempo! Jak tak będziesz opowiadał, do wieczora nie skończysz. Wrzesień, październik, nawet listopad.

Zmaltretowany Claes kilkakrotnie otwierał i zamykał usta, ale żaden dźwięk przez nie się nie wydostawał.

— Daj mu spokój — powiedział zniecierpliwiony Sven — peszysz chłopa i nic nie powie. Gadaj, Claes.

— Masz rację, Rene, to było chyba na początku listopada — powiedział wreszcie Claes po głębokim namyśle, nie dostrzegając uśmiechów na twarzach marynarzy — kiedy przyszedł na stocznnię jakiś żółty. Nie odróżnialiśmy ich wtedy, nikt nie wiedział co za jeden. Opowiadał potem, że stał przez parę godzin pod wrotami, bo nie chcieli go puścić. Wpuścili go dopiero, kiedy pokazał, co ma ze sobą. Czekali, żaden mu nie przerywał, choć doprawdy nieskładnie mu to szło.

— A on miał ze sobą małpki — dokończył Claes oddychając głośno.

— Małpki? Dużo? Na katarynce? — pytali.

— Co ty pleciesz? — zgorszył się Claes. — Na jakiej znowu katarynce? W ręku miał walizeczkę, a w tej walizeczce różne wyroby z takiego kamienia, jaszma on to nazywał, ręcznie obrabiane wazoniki, ptaszki, popielniczki, siedzące i stojące małpki. Zbiegliśmy się wszyscy, bo to nie było drogie i każdemu się podobało, kupowaliśmy. No, po pracy idę do domu, patrzę, a on znowu stoi u zbiegu ulic i sprzedaje te swoje cacka. „Ty, ja cię skądciś znam“ — powiada do mnie. — „Czy nie widziałem cię rano w stoczni?“ — Owszem, mówię, widziałeś. „Nie mam gdzie mieszkać — powiada dalej — jestem tu obcy, dopiero dziś rano przyjechałem. Może wskażesz mi jakiego kolegę, u którego mógłbym się zatrzymać na parę tygodni?“ A u nas w Odense, rozumiecie, już się zaczynał kryzys, mieliśmy z żoną dwa pokoje i myśleliśmy o sublokatorze. Wziąłem ja go do siebie — tylko żebyś porządnie płacił — upomniałem — bo ja nie bogacz. Umiał parę słów po duńsku, potem lepiej się

przyuczył, z paru tygodni zrobiło się kilka miesięcy i tak przemieszkał u mnie całą zimę.

— Płacił? — spytał Rene Simmier.

— Nie mogę powiedzieć, płacił, nigdy mnie nie oszukał. Potem pojechał i więcej go nie widziałem.

Nie było to bardzo ciekawe opowiadanie i marynarze poczuli się rozczarowani. Czegóż się dowiedzieli o tym żółtym? Nie wiedzą nawet jeszcze, jakiej był narodowości. A Claes zmęczył się, oddycha ciężko, jakby nie wiadomo jaką robotę wykonał.

Nie mając wielkiej nadziei, że jeszcze się czegoś od niego dowie, Lenart zagadnął jednak:

— No i co z tego?

Claes ożywił się.

— Jak to, więc jeszcze wam nie powiedziałem? Mówiliśmy o... wojnie — tu się znowu zająknął łapiąc ustami powietrze. — No więc są różne sposoby prowadzenia wojny. Bo to był Mandżur. Strzelec.

— Strzelec wyborowy? Snajper? — nacierał Sven.

Claes spojrział na niego ze zdziwieniem.

— Nie — wyjaśnił po chwili — strzelec świstaków.

Niecierpliwy Francuz podniósł oba ramiona w górę.

— Jak już ten Claes zacznie opowiadać! Czego?

— Świstaków — powtórzył Claes — no, nie wiesz, co to są świstaki? Takie stepowe zwierzątka, tego podobno w Mandżurii pełno i ludzie do nich strzelają. Żyją z tego ci ludzie. Niektórzy oczywiście, nie wszyscy.

— Po co strzelają? Jedzą to?

— Nie, na futra. Tam są tego miliony, oni zawsze sprzedawali te skórki do miasta i z tego żyli. Niby ci strzelcy.

— I czemuż on tam nie został? Zrobił tyli świat drogi, żeby ci sprzedać rzeźbioną małąkę?

— Głu... głupiś — zaczerwienił się Claes. — Więc on polował na te świstaki i z tego żył. Ale wtedy była w Mandżurii japońska okupacja i wzięli go do wojska. Japończycy. On mi to wszystko opowiadał. Nie wykręcał się, nie pomyślał wtedy, żeby uciekać, choć tam już siedzieli Japończycy, którzy każdemu dali się we znaki, no i wzięli go. To się nazywała armia kwantuńska i oni kwaterowali w pobliżu miasteczka, które się nazywało Pingfań. Widzisz, jak dobrze zapamiętałem. Pingfań. No, dali mu jakiś mundur, wzięli go na ćwiczenia, widzą, że umie się chłopak obchodzić z bronią i dobrze strzela, to będziesz, mówią, strzelać. I wiecie, co mu kazali strzelać? Świstaki.

Marynarze przysunęli się bliżej.

— Świstaki?

— A świstaki. Od rana, po śniadaniu oczywiście, chłopak broń na ramię, ładownica pełna naboju i wychodzi w step. Opowiadał mi, jaki jest ten step: szeroki, płaski, trawy, nigdzie żywej duszy, tylko oni, niby ci strzelcy, wychodzili, każdy w inną stronę. Życie, mówię wam... no, jednym słowem on był zadowolony. Robił to, do czego przywykł i o niczym innym nie myślał.

— A ci generałowie japońscy, co robili z tymi świstakami? Sprzedawali czy sobie na futra?

Claes powoli kręcił głową.

— Nie, wcale nie było tak, jak myślicie. Bo on początkowo też nie

wiedział tego wszystkiego, dopiero potem się dowiedział. Te świstaki, szczury, gryzonie tamtejsze, ogromnie chorują. Wszystkie, całymi gromadami, całymi stadami. A że on sam jak

był tym strzelcem nie zachorował, to tylko mu się tak udało. Bo wielu strzelców choruje i umiera.

— Na co? Zarażają się?

— Tak, zarażają się dżumą.

Marynarze spojrzeli po sobie. Usłyszeli więc znowu to okropne słowo, którym straszyły ich w domu rodziny. Można się zarazić dżumą, w Azji dżuma, mówiły żony i matki. Dżuma, okropna choroba, o której od setek lat pisano książki, najokropniejsza, nieodwracalna śmierć. Milczeli. A Claes ciągnął dalej.

— Zabijał on te świstaki i znosił do obozu, ale nauczyli go, jak to ma ostrożnie robić, nie chcieli tracić takiego Strzelca. Miał wysokie buty, rękawice, dezynfekowane torby. A oni znów mieli laboratoria jak my tutaj i badali te tam susły, świstaki i szczury, które chore, a które nie. Bo te świstaki chorują na dżumę, ale nie umierają od niej, mogą z nią żyć. Od dżumy umiera tylko człowiek.

— I zarażali się od tych świstaków.

— Nie, to cała historia. Zarażali się od pcheł. Nie chcecie mi wietrzyć? Od pcheł.

— Pchła to czyste stworzonko — powiedział Oluf, ale dreszcz mu

przebiegł po grzbiecie.

Claes zamyślony mówił dalej. Nawet przestał się jąkać.

— Dziwna to historia, prawda? Strzelał te świstaki, to znowu szczury mu kazali łąpać, psy mieli do tego przyuczone. O tych psach opowiadał, można było słuchać a słuchać.

— I tak cały czas strzelał świstaki, łąpał szczury?

— Nie, potem znowu brali go do innej roboty. Powiadają wam, uśmieć się można — mówił Claes, ale żaden uśmiech nie pojawił się na jego twarzy — uśmieć się można,

czego to ludzie nie wymyślą. Wyobraźcie sobie, potem go znowu przerzucili do liczenia pcheł.

— Lewą ręką liczył pchły, a prawą strzelał, co? — zapytał z kpina Lenart.

— Buldogi tresuje się na prawą rękę — wtrącił Helge.

— Co ty ciągle o tych buldogach? Tresowałeś buldogi?

— Ho, ho, czego się nie robiło? Kiedy cię zły człowiek napadnie, zawsze coś trzyma w prawej ręce, nóż albo rewolwer. Trzeba psa przyuczyć, żeby pilnował prawej ręki napastnika.

Marynarze zwarli się ramionami. Ale Claes mówił dalej.

— Robili to tak! Wprost się wierzyć nie chce. Brali bomby i pchły do nich ładowali.

Wykrzyknęli ze zdziwienia.

— Pchły? Alboż to pchła wyżyje podczas wybuchu?

— Mieli jakiś swój sekret, on naturalnie nie wiedział jak. **Dosyć**, że wyrzucali bomby z tymi pchłami z samolotów na ogrodzone pola, a na tych polach kładli drewniane tablice z lepem i pchły się na ten lep łapały. To było zwykle daleko od obozu, w stepie. I on chodził kontrolować tablice, zawsze w rękawicach, w długich butach. Ile pcheł się na ten lep złapie. Zapisywał i podawał.

Milczeli w niemym podziwieniu. Nagle Sven roześmiał się szerokim śmiechem.

— Ha, ha, ha, jeżeliby pchłami mieli strzelać, to proszę. Jeżeli to ma być pchlana wojna, to proszę.

Ale teraz odezwał się Dobrey.

— A gdyby te pchły były zarażone?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Na chwilę zamilkli, zimny dreszcz przeleciał im po plecach. Byli tu żywi, zdrowi, weseli, najedzeni, ale ze wszystkich kątów zdawała się ku nim czaić podstępna, okrutna, najohydniejsza ze śmierci. Znienacka poczuli wszyscy na gardle jej kościsty ucisk. Pierwszy ocknął się Francuz.

— I to takie były wasze zimowe wieczory? — powiedział kpiąco.

— A jak wygląda twoja żona?

Ale nikt go nie podtrzymał. Nie mogli się otrząsnąć z przygnębiającego wrażenia. Po chwili dopiero odezwał się John Dobrey.

— Armia kwantuńska została pokonana przez Związek Radziecki w sierpniu 1945 roku, a japońskim przestępcem wojennym, którzy przygotowywali wojnę bakteriologiczną, wytoczono proces w Chabarowsku. Nie słyszeliście o tym?

Rene ziewnął.

— Coś tam piąte przez dziesiąte gazety pisały, ale niewiele.

— Ten proces ujawnił okropne zbrodnie — mówił dalej Dobrey. — Oni robili doświadczenia na żywych ludziach. A co mówił ten twój przyjaciel? — zwrócił się do Claesa.

W Claesa jakby piorun strzelił. Wstał chwiejąc się w tył i w przód i znowu usiadł, a jego twarz z rozchylonymi ustami z szeroko otwartymi, okrągłymi oczami i uniesionymi brwiami wyrażała przerażenie i najwyższe zdumienie.

— Co ty mówisz: doświadczenia na żywych ludziach? Nic mi o tym nie mówił, o niczym nie wiedział. On był, powiadam wam, strzelcem, strzelał świstaki... Ach! — wykrzyknął, jakby nagle wszystko mu się stało jasne.

Teraz zagadał szybko Sven, jakby chciał zatrzeć wrażenie całej rozmowy.

— Proces, cóż proces? Teraz procesy są w modzie. Ciągłe się czyta o jakichś procesach. Ja tam wcale w to wszystko nie wierzę. Zapewne, wojna wojną, ale żeby znowu zaraz takie rzeczy...

Claes znowu zabrał głos. I mówił teraz szybko, zapominając niemal o jękaniu się.

— On, on mi mówił, że pewnego dnia, tak właśnie, że pewnego dnia zwołano ich wszystkich — takich strzelców, i rozdano truciznę, cyjanek, cyjanek potasu, żeby się niby nie dali wziąć żywcem... Przysięgli trzymać wszystko w najgłębszej tajemnicy... Pilnowano ich... On się wtedy przeraził... I uciekł... Nie znaleźli go... Potem się za- j okrętował, tułał się po morzach... Chciał wracać... Teraz już wszystko rozumiem.

— A my niewiele — kpił dalej Francuz — i przestańcie już opowiadać o tych wszystkich okropnościach, bo resztką włosów staje mi dęba na głowie. A swoją drogą — powiedział pochylając się do Svena — na wojnie nigdy nie wiadomo. Pamiętacie nasze ćwiczenia tydzień temu, kiedy spuszczałyśmy szalupy? Nikt się tam nie pomieścił, szalupy były tylko dla dowództwa, dla lekarzy, dla siostr. Gdyby nas tak mieli zostawić, cyjanek nie cyjanek, ale z okrętem też można zrobić jakiś kawał...

— Dałbyś pokój, Simmier. Takie rzeczy mogą tylko Azjaci wymyślić — powiedział któryś — Japończycy, „guki“. Biały człowiek nigdy by tak nie postąpił.

— My, proszę — powiedział Sven — my wyjeżdżamy ratować. Wspaniale wyposażony statek idzie pod flagą Czerwonego Krzyża ratować rannych i chorych na dalekich kontynentach. Proszę. Nie dbamy o własne życie i zdrowie, poświęcamy

się. — I szerokim gestem objął lśniące, białe pokłady i całą gromadkę marynarzy skupioną na decku.

— Tak — dodał inny — najlepsi lekarze, siostry szpitalne, sanitariusze, środki opatrunkowe, lekarstwa, wszystko wieziemy, aby pomóc ofiarom wojny.

— Ja jestem dumny, że uczestniczę w tak wspaniałej akcji — gromko dorzucił Sven — która jest dziełem Ameryki i krajów sojuszniczych...

— A jak się nazywała tamta jednostka? — przerwał nagle Dobrey.

— Która? — spytał Claes.

— No ta, gdzie służył twój Mandżur.

— Nazywała się... nazywała się, o ile sobie przypominam, „Urząd dla zaopatrzenia w wodę“ i coś tam jeszcze. Tak się nazywała i on był pewien...

— O właśnie — powiedział Dobrey — on był pewien.

Claes uniósł w górę jasne brwi, jakby w swych rozmyślniach natrafił na jakiś nowy, węzłowy punkt, który wymagał głębokiego zastanowienia i rozwiązania, Sven mówił dalej:

— Oni tu...

— Kto oni?

— No, cała ludność, Chińczycy, Mandżurowie, Koreańscy, żyje w okropnych warunkach sanitarnych, to urąga wprost najelementarniejszym pojęciom, jakie człowiek cywilizowany wytworzył sobie o higienie...

— Skąd wiesz o tym, kiedy nie byłeś na lądzie? — spytał Oluf. Sven udał, że nie słyszy pytania, tylko mówił dalej:

— No i cywilizacja zachodnia...

— A wiesz, co należy zrobić, żeby się warunki sanitarne poprawiły — powiedział Dobrey. — Odjechać, iść stąd jak najprędzej, zostawić ich samym sobie.

Sven podniósł się czerwony z gniewu.

— Dobrey, ja już nie od dzisiaj chciałem ci powiedzieć...

— Czemużeś nie powiedział?

— Co ty tu między nami robisz? Po coś się zaokrętował?

Jesteś w takich samych warunkach jak my i nikt cię przemocą nie ciągnął. Ja sobie wypraszam, wypraszam sobie...

Dławił się wściekłością, oczy wyłaziły mu na wierzch, pienił się po prostu. Dobrey patrzył na niego, jak się patrzy na ciekawy widok, który się zresztą nie po raz pierwszy ogląda, potem spytał.

— Chcesz iść na skargę? Już cię jęzor świerzbi? Idź, idź, spróbuj tylko...

Sven istotnie zrobił parę kroków, jakby chciał się odłączyć od kosi

lęgów, ale wtedy paru marynarzy wstało także. Ich założone na piersiach ręce, ich spode łba rzucone spojrzenia mówiły wyraźnie, co o nim myślą. Cofnął się, usiadł z powrotem. Próbował żartować.

— No, koledzy, musimy się trzymać, ja sam jestem w strachu, he he, przecież nie można brać wszystkiego tak tragicznie...

— Żartowałem — powiedział Dobrey.

— Masz wesołe żarty, nie ma co mówić.

Ale Claes nie dawał za wygraną. Jego powolny umysł intensywnie pracował dalej. Claes zatrzymywał się w myśli po kilka razy na rozmaitych szczegółach, na które wpierw nie zwracał uwagi, rozpatrywał je z różnych stron. Wnioski nasuwały się same.

— A na co oni tu chorują? — spytał.

— Na, na... albo ja wiem? — odpowiedział niepewnie Sven. — No, tak jak ludzie żyjący w złych warunkach sanitar-

nych, albo ja wiem? Na... zapalenie opon mózgowych, dżumę, tyfus plamisty...

— Tak, tak, flecktyphus... — przytakiwał Claes.

— A tyś się chyba wybierał na ląd? — zwrócił się Oluf do Rene.

Rene wzruszył ramionami.

— Nie wygłupiaj się. Idź, nastraszą swoją babcię.

— I na ospę chorują?

— I na ospę też.

— A widziałeś jakiego zadżumionego?

— Owszem — powiedział Dobrey.

Wszyscy zwrócili się w jego stronę.

— Widziałeś? Gdzie?

— W Kalifornii.

Zapanowała cisza, pełna zdumienia. Potem odezwał się Sven niedowierzającym tonem:

— Co, dżuma w Stanach? Niemożliwe. Kiedy to było?

— Kiedy to było? Zaraz, chyba w 1935. Ja byłem wtedy szczeniak, miałem z dziesięć lat. Ale ten widok zrobił na mnie tak okropne wrażenie, że póki życia go nie zapomnę.

Lenart zawisł mu oczami na ustach, zęby mu szczękały.

— Okropny widok! Był to robotnik w naszym młynie... Przyniosłem mu w tajemnicy jabłko... Myślałem, że będzie mógł jeść... Nie wiem, czy słyszeliście, że chory na dżumę dostaje okropnych, niesłychanie bolesnych guzów, które się nazywają bubony... Stałem w progu, jak przyrośnięty, nie mając sił ani cofnąć się, ani uciekać.

Widziałem coraz bliżej nad sobą okropne, błędne oczy skierowane w moją stronę, ale jakby nie widzące, i szeroko rozkrzyżowane ręce... Mówię wam, że jeszcze teraz jak sobie przypomnę, to...

Milczeli długą chwilę. Dobrey tak to powiedział, że przed oczami każdego ze słuchaczy stanęła wizja dalekiego człowieka umierającego w męczarniach, na które nie było ratunku...

Pierwszy ocknął się Lenart.

— A to prawdziwe piekło — uśmiechnął się z przymusem — psujesz nam niedzielę...

— Samiście chcieli — mruknął Dobrey.

— Ja uważam — ciągnął dalej Lenart — żeby lepiej za wiele nie pytać. Jak przyjdzie do czego, możesz, bracie, odpowiedzieć: nic nie wiem, niczego nie widziałem. A jak zaczniesz nos wtykać w nie swoje sprawy, możesz dowąchać się czegoś bardzo nieładnego i co wtedy?

— Widziałeś w ogrodzie zoologicznym strusia? — spytał Oluf.

Lenart zawahał się przez chwilę.

— Widziałem, no i co?

— No to struś właśnie, jak go napadają, chowa podobno głowę w piasek, „czego nie widzę“, powiada, „tego nie ma“. I wtedy go zarzynają.

— Ja uważam — powiedział Sven — że Lenart ma rację. Odpowiedzialność jest odpowiedzialnością, a możesz przecież doskonale o niczym nie wiedzieć. W każdym razie możemy być pewni jednego: przybyliśmy tu po to, żeby nieść ulgę cierpiącym.

— Mówisz jak z książki albo z gazety — powiedział Oluf — ale trudno niczym się nie interesować. Ja na przykład chciałbym wiedzieć, jak wyglądają te urządzenia, które mamy na statku. Walka z epidemiami jest bardzo trudna i cała ludzkość jest w tym zainteresowana.

Ten temat wydał się Svenowi bardziej bezpieczny.

— Oczywiście — oznajmił z powagą. — Ja byłem w naszym laboratorium i wiem mniej więcej, co tam jest. — Fotem dodał z dumą: — Nie puszczają tam wszystkich, bo i po co? Ale mogę wam opowiedzieć, jak ono wygląda.

Usiedli wygodniej, by lepiej słyszeć, zawsze to ciekawe. Słońce dogrzewało, zbliżała się jedenasta.

— A powiesz przynajmniej coś sensownego? Znasz się na tym? — dopytywał się Lenart.

— Ho, ho — nadał się Sven — widziało się coś niecoś w życiu. Nasze laboratorium jest pierwszorzędnie wyposażone. Najpierw macie tam kilka autoklawów,

— Co to takiego?

— Kotły dezynfekcyjne, w których wytwarza się parę. W takim kotle jest bardzo mało wody. Pod ciśnieniem wytwarza się para. A im większe ciśnienie, tym wyższa temperatura, tak że woda gotuje się tam nie przy 100 stopniach Celsjusza, ale mniej więcej przy 115 i sprężona para doskonale przenika wszystko, co trzeba zdezynfekować. Do takiego autoklawu możesz nawet wiadro wstawić, taki jest duży.

— A jak wygląda?

— Jak stojący, wysoki kocioł. Mamy dalej suszarkę, która wytwarza temperaturę do 180 stopni, i mały piec do spalania z trzema drzwiczkami...

— Dlaczego z trzema?

— Jest to, ha ha, takie krematorium, gdzie również wytwarza się bardzo wysoka temperatura i wobec tego muszą być trzy ruszty. Mamy także szafki-cieplarki, stoły z porcelanowymi blatami do łatwego zmywania, no i oczywiście różne przyrządy: mikroskop, wagę, lupy...

Nazwy te zaimponowały marynarzom. Istotnie, musi to być bardzo dobre laboratorium, jeżeli tam jest tyle rozmaitych przyrządów o takich trudnych nazwach.

— I w tym laboratorium siedzą nasi lekarze?

— No tak, tam nasi lekarze pracują, przesiadują całymi godzinami, żeby znaleźć najlepsze sposoby walki z epidemiami.

— I co tam jest jeszcze?

— Co tam jest jeszcze? — Sven usiłował przypomnieć sobie widziane przedmioty. — Szafki z lekarstwami, z odczynnikami, jak oni to nazywają, a prócz tego lizol, spirytus, nie znam przecież tych wszystkich nazw...

— I to wszystko?

— I to wszystko. Wreszcie nie jestem specjalistą. Mogłem różnych rzeczy nie zauważyć.

Umilkł. W ciszy, akcentując każde słowo, odezwał się Dobrey.

— A takich rzeczy jak klatki na szczury nie zauważyłeś?

Sven trochę zmieszał się. Nie orientując się w całości pracy amerykańskich lekarzy wyczuwał on jednak instynktem spryciarza, że nie o wszystkim należy mówić, szczególnie wobec obrotu rozmowy. Istotnie przemilczał pewne szczegóły, których oczywiście nie mógł nie zauważyć.

— A ty widziałeś?

— Owszem, Ja też zajrzałem kiedyś z ciekawości do laboratorium.

— Wiem nawet, kto cię tam wprowadził... — mruknął Sven.

Dobrey udał, że nie dosłyszał zaczepki.

— Więc zajrzałem tam kiedyś — mówił dalej — i zauważyłem, że w pomieszczeniach obok laboratorium trzyma się

w drucianych klatkach szczury... Pod ścianami stoją tam piętrowe klatki ze szczurami i świnkami morskimi...

— Ciekawym, po co? — zapytał któryś.

— Pewno do jakichś doświadczeń... — powiedział Lenart Sorensen. — Słyszałem, że świnki morskie są specjalnie wrażliwe, więc używa się ich do rozmaitych szczepień, a ostatecznie jeżeli przyjechaliśmy tutaj, żeby badać rozmaite choroby, to pewno trzeba czasami coś szczurom i świnkom szczepić...

— Na pewno — powiedział Dobrey. — A zwróciłeś uwagę na takie okrągłe, jakby zamknięte talerzyki na biurku „Naczelnego“?

— Może tam i było coś takiego...

— To są tak zwane płytki Petriego, a wyglądają jak dwa szklane spodeczki, dopasowane jeden do drugiego. Przez szkło widać kolorową galaretę, to jest pożywka agarowa i na niej posiew bakterii...

— Czy to widać? Przecież bakterie widać tylko pod mikroskopem?

— Owszem, pojedynczą bakterię można zobaczyć tylko pod mikroskopem, ale całą kolonię w postaci podłużnych plamek na pożywce można odróżnić gołym okiem. Ale widziałem jeszcze coś — dodał Dobrey.

— No?

— Szczura. Żywego szczura żartego żywcem przez pchły,

— No, każdy szczur...

— Ale ten specjalnie. To był żywy, tłusty szczur, przypięty do ścianki naczynia uchwytami, żeby się nie mógł ruszać. Naczynie było pełne łuski ryżowej. I pchły się na tym szczurze karmią.

— Na żywym?

- No pewnie. Ze zdechłego uciekałyby.
 - I dużo ich tam jest?
 - Kilkadziesiąt. Tam się mnożą i żrą szczura, a on nie może się bronić, nie może uciekać, dopóki go zupełnie nie zagryzą,
 - I... i co wtedy?
 - Wtedy go pewnie zmieniają.
- W tej chwili rozległ się dzwonek. Zwiastował on rozpoczęcie nabożeństwa.

ROZDZIAŁ PIĄTY

— Nie pójdę ja dziś na to ich pieskie nabożeństwo — powiedział nie ruszając się Rene Simmier — jestem niereligijny. Niech się sami modlą, idę spać.

Marynarze, którzy już wstali, żeby zejść do ogólnej sali jadalnej, usiedli teraz z powrotem.

— Oszalałeś? — spytał Sven. — Będzie draka.

Rene wzruszył ramionami i obojętnym ruchem skrzyżował ręce na piersiach.

— Kto mnie zmusi?

Tymczasem na pokładzie zrobił się ruch. Na głos dzwonka ze wszystkich stron ściągali ludzie. Drzwi otwierały się i trzaskały, słychać było tupot nóg i zmieszane głosy. Na nabożeństwo szła załoga, która korzystając z niedzieli spała dotąd albo reperowała sobie i czyściła ubrania, szli palacze i trymerzy, szły siostry szpitalne i sanitariusze, szli lekarze, stewardzi,

radiotelegrafiści, szli wartownicy. Jeden z nich, nazwany kiedyś przez Ratcliffa Labanem, począł zaganiać marynarzy jak stadko gęsi.

— No idziemy, dzieci, no idziemy...

— Pasterz Laban — powiedział Homer Ratcliff wskazując szerokim gestem idącego.

Obok marynarzy przeszedł Charles Bollow, dopinając paradny mundur. Na jego szerokiej, czerwonej twarzy szklily się drobne kropelki potu. Tuż za nim posuwał się bocianim krokiem duński kapitan statku, Per Henning.

Widząc przed sobą niezdecydowaną grupę marynarzy Bollow zatrzymał się.

— No i nad czym myślicie? Naprzód, naprzód — przy-
nagłał, niby dobrodusznie — już dawno dzwoniło.

Rene czuł za plecami milczące poparcie grupki kolegów, nie wypadało mu się cofać.

— Jestem, ha, ha, jestem niereligijny — powtórzył nadrabiając miną — mama chciała, żebym chodził na rekolekcje, ale ksiądz zawsze mnie wyrzucał, bo zadawałem głupie pytania. — I znów się roześmiał.

— Co? — spytał Charles Bollow przystawiając ręką do ucha, jakby źle słyszał. — Co?

Jego tonące w zwałach tłuszczu oczka zwężyły się jak dwie szparki, usta, przypominające mordę buldoga, opadły ku dołowi, wielką dłonią ogarnął mięsiste ucho. Następował teraz na cofających się marynarzy, wyraźnie odszczekując słowa.

— To jest statek wojenny, rozumiano? I tu jest dyscypliną wojenna, rozumiano? Nikt się ciebie, durniu, o zdanie nie pyta. Marsz!

Marynarze ujrzeni straszłą, czerwoną twarzą, zwężone ze wściekłości oczy, złote zęby wynurzające się spoza drgających

warg i drobniutkie kropelki potu występujące coraz wyraźniej na czole. Jego wielka ręka odsunęła się powoli od ucha i sięgnęła do rewolweru.

— Marsz! — powtórzył.

Kapitan Per Henning obojętnie spoglądał w dal. Rene stchórzył, na twarz jego wypełził niepewny uśmiezek. Wyprostował się, ręce przepisowo spoczęły na szwach szerokich spodni.

— Tak jest, panie kapitanie.

Charles Bollow ruszył naprzód nie oglądając się. Hennig kroczył obok z twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu. Za nimi w dwuszeregu poszli marynarze. John Dobrey zamykał pochód. Przypadkiem zapewne znalazł się koło niego Oluf Petersen, pozostali nieco w tyle.

— Chciałem cię ostrzec — szepnął Dobrey nie poruszając ustami — nie czułeś, że na ciebie patrzę?

— No? — spytał Oluf potrząsając rudą czupryną.

— Sven to pies, donosiciel, dusza całkowicie zaprzędana dowództwu. Trzeba uważać, co się przy nim mówi.

— Czy tak? — spytał Oluf pozornie bez troski, ale jego rozumne, przenikliwe oczy o ciężkim spojrzeniu nie odwracały się od twarzy Dobreya, jakby z niej chciały wyczytać o wiele więcej niż prostą odpowiedź na pytanie. — Czy tak? — powtórzył.

— Nie myśl zresztą, że tylko on tu jest taki, jest ich paru... o których wiemy — dodał John po namyśle. — Ten blondyn z kotłowali... zwróciłeś uwagę? Bronsen, czy jak się nazywa. Jest jeden steward, no i Poul Farsen, oficer. Siedzisz tu przecież dłużej niż ja, powinieneś ich znać.

— Może i znam — powiedział Oluf — ale lubię, jak mi taką rzecz potwierdzi ktoś, komu mogę ufać.

Ostatnie słowa wymówił jeszcze wolniej, nie spuszczać oczu z twarzy Johna Dobreya, który zamiast odpowiedzi wzruszył tylko ramionami. „Proszę cię, sprawdzaj” — zdawał się mówić ten ruch. Zwolnili kroku. Gromadka marynarzy oddalała się coraz bardziej. Oluf ciągnął dalej,

— Ty sam nie jesteś zbyt ostrożny. Wiele z tego, co dziś powiedziałeś, było aż nadto wyraźne.

— Staram się nie odzywać, ale nie zawsze mogę wytrzymać. Kiszki się przewracają, kiedy człowiek słucha tych bredni. Mnie już wszystko jedno.

— Jak to?

Oluf trzymał rękę w kieszeni, teraz wysunął ją trochę, w palcach miał małą, ciemno oprawną książeczkę, na wierzchu było wydrukowane: „Danmarks Kommunistiske Parti, København”. Kiedy zobaczył, że oczy Dobreya rozbłyły, wsunął ją z powrotem.

— No? — powtórzył wyczekująco.

Głos Johna nabrał ciepłych, miękkich tonów.

— Niech tylko mrok zapadnie, towarzyszu. Mam ich potąd. Bardzo dobrze pływam. A może sami wyślą mnie na ląd.

— Więc po toś się zaokrętował? Takiś ty dowcipny? — Nie wiadomo było, czy to pochwała, czy nagana. — A w jaki sposób się tu dostałeś? Taki statek jest diabelnie strzeżony, a personel dziesięć razy przesiewany przez najcieńsze sito.

Dobrey odpowiedział pytaniem.

— A ty?

Oluf uśmiechnął się.

— Dla chcącego nie ma nic trudnego. Sygnalizowano nam ten statek. Przede mną próbowali dwaj towarzysze, mocni towarzysze. Amerykanie przeprowadzili jednak wywiad i coś wywąchali. Jeden się nie dostał, drugi się nie dostał, ja się

wreszcie dostałem. To dlatego, że umiałem się lepiej zakonspirować i że nasza policja dotychczas mnie nie zanotowała. Ale ty?

— A ja tu jestem przypadkiem. Dobrnąłem jakoś na kargowcach do Nagasaki, a dalej ani rusz. Zacząłem się kręcić po porcie i szukać sposobności. Nigdy by mnie nie przyjęli na ten statek, tylko że w drodze, jak wiesz, rozchorował się tu i umarł mechanik, kapitan musiał go kimś zastąpić. No i padło na mnie. Zauważ, że jestem Amerykaninem, jedynym Amerykaninem wśród załogi. I dokumenty też mam w porządku. Jedy-ny Amerykanin! Mają pecha, co?

Roześmiał się pokazując duże zęby, ale zaraz spoważniał.

— Sygnalizowano wam ten statek, powiadasz... więc wiesz, co się tu naprawdę odbywa?

— Są podejrzenia — powiedział wymijająco Oluf. — A ciebie obserwuję od dawna. Od samego Nagasaki.

— No i jak ci się spodobałem? — John roześmiał się znowu.

— Niczego sobie — odrzekł — niczego sobie. Więc chcesz się przedostać do wojsk ludowych?

— Tak — rzucił krótko Dobrey i dodał wyzywająco. — Nie podoba ci się to?

Oluf zamyślił się. Twarz jego przybrała nieprzenikniony wyraz. Dobrey oczekiwał aprobaty, ba, może i więcej jeszcze, toteż brak natychmiastowej odpowiedzi zdziwił go.

— Co? — powtórzył pytanie.

— Czy mi się nie podoba? Że sam idziesz do Korei? O, nadzwyczajnie. Dzielny chłop z ciebie. — Oluf wygłaszał pochwały tak chłodnym, obojętnym tonem, jakby treść ich była wręcz przeciwna. — Inny by i tego nie potrafił. Bardzo dobrze

jak na komunistę, bardzo dobrze. Nadzwyczajnie — powtórzył.

— To wymyśl coś lepszego — powiedział z pasją Dobrey i odwrócił głowę.

— Może by się i dało wymyślić coś lepszego. Może jest coś do zrobienia tu, na tym statku.

John zwrócił się raptownie w stronę Olufa.

— Co?

Petersen nie odpowiedział. Po dłuższej chwili spytał.

— Ilu nas tu jest na te 150 osób załogi, razem z personelem? Raptem dwóch komunistów. Jak myślisz, na kogo by tu jeszcze można liczyć?

Szybko myśl Dobreya skierowała się zaraz w stronę nowego zagadnienia.

— Na Murzyna, tego, na Homera. Rozmawiałeś z nim?

Oluf milcząco skinął głową i dalej pytał.

— Ratcliff jest nam bliski, ale do partii nie należy, co?

— O ile wiem, nie. Można też liczyć na trymerów. Tam ich jest paru takich, morowe chłopy.

Oluf znów potwierdził skinieniem.

— Wiem, mówiłem z nimi.

— Na Jensena, radiotelegrafistę.

— Ma pstro w głowie.

— Nie szkodzi. Na siostrę Amę też chyba można liczyć.

Podchodzili już do drzwi prowadzących ku wąskim schodkom, zstępującym do wielkiej jadalni, gdzie weszli już wszyscy marynarze. Dobrey przystanął i pochylił się zawiązując sznurowadło.

— Chodźmy prędzej, zauważą, że nas nie ma,

— Tak, żadna siła nie powstrzyma sprawiedliwości — powiedział w zamyśleniu Oluf, czekając, aż towarzysz upora się ze sznurowadłem — żadna siła.

John Dobrey wyprostował się i ruszył różnym krokiem.

— Porozmawiamy jeszcze o tym.

Oluf skinął w milczeniu głowią. Obaj przestąpili wysoki próg i zaczęli wstępować po schodach.

Owionęło ich duszne, zastałe, pachnące lakierem i metalem powietrze. i

Szli dalej wąskim korytarzem, na który otwarły się drzwi kabin oznaczone kolejnymi numerami.

Oluf zatrzymał się i zaczął:

— Wolałbym...

Ale Dobrey nie przestając iść położył palec na ustach i Oluf zamilkł.

Byli teraz na pokładzie D, na prawo od schodów i głównego korytarza odgałęziały się boczne przejścia, przy których położone były pa cztery przeciwległe kabiny.

Na lewo były kondygnacje służbowe, mógł tam ktoś stać, nie było bezpiecznie mówić między ciasnymi ściankami, gdzie wzrok nie ogarniał więcej niż najbliższy metr.

Tutaj właśnie na D-decku znajdowały się dwie ogromne sale przeznaczone na jadalnie dla ewentualnych lżej rannych czy chorych żołnierzy, w tych dniach oczywiście puste.

Pomieszczenia, gdzie tłoczyli się w ciasnocie marynarze, znajdowały się jeszcze niżej. Tam też były mesy, w których zazwyczaj ja dali. Nie mogli nawet marzyć o rozpieraniu się we wspaniałych fotelach i wygodnych leżakach, w które były wyposażone wyższe, dla uprzywilejowanych przeznaczone pokłady.

Na samej górze najwyższy górny pokład służył do przechadzki.

Tu były liczby określające długości, żeby spacerujący wiedzieli, ile kilometrów robią dla zdrowia, nie ruszając się ze statku.

Na górze był też bar z wytwornymi szafkami połyskującymi kryształem i srebrem, była palarnia, salon i biblioteka zawierająca książki o specjalnej tematyce.

Tu mieściły się jednoosobowe, luksusowo urządzone kabiny dla personelu lekarskiego, obszerne salony i duża pływalnia.

Pokład B zawierał obok zwykłej rozległej promenady pomieszczenia dla sklepów, salę gimnastyczną, biura, laboratoria oraz sale jadalne dla kapitana i personelu lekarskiego. Załoga miała swoją jadalnię pod pokładami obok kuchni. Po drugiej stronie na tym samym pokładzie były jadalnie stewardów i służby.

— Chodź prędzej, chodź — powiedział Oluf — czego się namyślasz, trzeba asystować. Sam widziałeś...

Weszli od tyłu do dużej jadalni. Stoły zostały specjalnie na nabożeństwo usunięte, oprócz jednego niewielkiego stolika nakrytego amerykańską flagą. Na stoliku stał krucyfiks, a obok Biblii leżał śpiewnik. Przed stolikiem poustawiane były w rzędach krzesła przeznaczone dla tych, którzy przybędą na nabożeństwo.

Małe bulaje były uchylone, ale żaden przewiew nie poruszał kartami otwartej książki. Na niskim, oślepiająco białym suficie grały drobniutkie, jak łuska rybia, migocące odbłaski wody.

Sala już była szczelnie wypełniona. Oluf i John Dobrey weszli niemal ostatni, udało im się wszakże precyzyjnie do ko-

legów i nawet znaleźć siedzące miejsca, które tamci dla nich zarezerwowali. Obok siedzieli stewardzi i stewardessy, nieco dalej, zbici w ciasną gromadkę, sanitariusze i niższy personel techniczny, jeszcze dalej siostry szpitalne. Na samym zaś przodzie lekarze, zastawiając dostęp do improwizowanego ołtarza murem granatowych pleców.

John Dobrey usiadł, podciągając, ile się dało, długie nogi, które nie chciały się zmieścić pod krzesłem. Leżąc na krześle książka z psalmami, której nie zauważył, zawadzała mu, wziął ją więc na kolana.

Poszukał oczami Amy. Siedziała w trzecim rzędzie krzesel, świeża różowa jak zawsze. Widział tylko zarys jej policzka pod przepisowym, nakrochmalonym czepkiem. W pewnej chwili nachyliła się do koleżanki, jej jasne włosy muskały ciemne loki tamtej, coś sobie z cicha szeptały. Potem obróciła się i oczy jej zetknęły się z jego oczami. Przeleciał przez nie jakby cień uśmiechu.

Jaka to dobra dziewczyna — pomyślał Dobrey.

Charles Bollow siedział w pierwszym rzędzie. Jego szeroka pierś pracowała ciężko, wydobywało się z niej coś w rodzaju rżenia czy sapania, które było słychać aż w ostatnich rzędach krzesel. Lekarze; rozmawiali między sobą, rozglądając się znudzonym spojrzeniem po całej sali. Ta cotygodniowa ceremonia nużyła ich śmiertelnie. W samym środku siedział naczelny lekarz szpitalny, doktor Humphrey Humej, wielki jak góra, ponury i zarośnięty, choć niestary. Obok doktor Robinson, doktor Ray Luskin, doktor Mac Dane, wreszcie nieco z boku okrągły i rumiany doktor Rose zacierający jednostajnym ruchem krótkie rączki.

Odwróciwszy wzrok od tego świetnego grona i obejrzawszy się za siebie Dobrey ujrzał wysokie czapy dwóch kucharzy

i zadarty nos kuchennego chłopca Runge. Wszyscy oni musieli asystować przy nabożeństwie.

Pastor stanął za stolikiem, przeżegnał się i złożył ręce. Był to drobny człowieczek o odstręczającej powierzchowności. Poruszał wąskimi wargami i choć żaden dźwięk z nich się nie wydobywali, miało to oznaczać, że się szeptem modli. Potem nienaturalnie gardłowym, specjalnie widać na tę okoliczność wystudiowanym głosem odczytał jakiś werset z Biblii, podał numer psalmu i zaintonował go poddając pierwsze słowa. Źle śpiewał, co nadrabiał fachową pewnością siebie. Przez chwilę słysząc było tylko szelest kartek, wszyscy szukali w śpiewnikach podanej pieśni, po czym przyłączyli się do śpiewu. Muzykalna siostra Konstancja grała na fisharmonii. Ludzie znali tę starą, ładną pieśń, toteż melodia popłynęła dość składnie.

Zaledwie odśpiewali pierwszy psalm, zrobił się ruch. Kapitan Per Henning wyłaził z rzędów, kierując się ku nakrytemu flagą stolikowi. Długi i chudy, za każdym krokiem uginając ramiona, kiwał wąską głową.

— Kapitan Charles Bollow pragnie do was przemówić.

Nie powiedział „chce“, powiedział „pragnie“. Wydawało mu się to bardziej uroczyste, lepiej dopasowane do okoliczności.

Pastor usiadł. Bollow wyskoczył jak piłka na środek sali i rozejrzał się po zgromadzonych. Jego czerwona twarz starała się przybrać wyraz dobroduszny. Lekarze patrzyli z niezmienną obojętnością przed siebie, tylko doktor Humey przeżegnał się manifestacyjnie, ostatecznie kończąc tym gestem pierwszą część nabożeństwa.

— Ladies and gentlemen — zaczął Bollow — panowie lekarze, dzielna nasza załogo! Nie mogę pominąć sposobności, żeby nie uprzytomnić raz jeszcze wam i sobie samemu też —

celów, dla których tu jesteście, i zadań, które mamy przed sobą. Dziesiątki tysięcy kilometrów dzieli nas od naszej wielkiej ojczyzny, ale sercem zawsze jesteście przy niej. Znaleźliśmy się tu jako żołnierze, tak panowie, nie waham się powtórzyć tego słowa, jako żołnierze wielkiej sprawy, która została oddana w nasze ręce. Ta sprawa to przede wszystkim dobrobyt moralny, materialny i najcenniejszy skarb — zdrowie tego nieszczęśliwego, obałamuczonego narodu, który systematycznie oszukiwany i terroryzowany przez wywrotowców nie potrafi już niestety rozróżnić, gdzie wróg, a gdzie przyjaciel.

Nierozsądny opór tych ludzi przeciw zdobyciom cywilizacji, które im przynosimy, sprawia, że miasta ich obrócone zostały w perzynę, a w gruzach i ruinach panoszą się najokropniejsze epidemie, które dzieciom odbierają rodziców, a matkom dzieci. Tak, stan zdrowotny tej pięknej krainy jest w tej chwili katastrofalny, a przyczynia się do tego zarówno niski stan higieny na tych ziemiach, jak i wojna, którą lud ten wywołał i w której trwa wbrew wszelkiemu rozsądkowi i słuszności.

Ale wielkoduszna Ameryka, mając sojusznika w Narodach Zjednoczonych, które ją wspierają w tej ojcowskiej wyprawie dla przywrócenia pokoju i porządku w Korei — nie pamięta obelg, darowuje urazy i wyciąga pomocną dłoń do tego krnąbrnego ludu. Nie szczędzimy największych ofiar ani kosztów, czego najlepszym dowodem jest ten wspaniale wyposażony statek, który przybił do wybrzeży Korei Południowej, by nieść ulgę cierpiącym.

Rozumiem, że służba wasza — i do was to mówię, panowie lekarze, wydaje wam się czasami niewdzięczna, niech was krzepi jednak pamięć wielkich celów, które dane wam będzie osiągnąć. Oto pod waszymi błogosławionymi rękami rozkwitnie ta kraina pogrążona dotąd w wojennym zamęciu, rozjaśni

się twarze dzieci, a twarze matek opromieni radość. Będziecie ratować tysiące istnień od okropnej śmierci, zbrojni w wiedzę i doświadczenie rozdawać będziecie hojnie naj-43 większe dobrodziejstwo, jakim rozporządza cywilizowana ludzkość — zdrowie.

I do was zwracam się wreszcie, dzielna nasza załoga i personelu techniczny naszego szpitalnego, samarytańskiego zaprawdę statku. Jakkolwiek ciężka wydaje wam się wasza służba, powinniście być szczęśliwi, że dane jest wam uczestniczyć w wielkim dziele. Oprócz zadowolenia moralnego, które każdy z was odczuje w swym sercu, i tej nagrody, której Chrystus udziela w niebiesiech — powiedział przez nos — materialne wasze wynagrodzenie też chyba jest nie do pogardzenia. Nie mówię już o pierwszorzędnym warunkach waszego codziennego życia...

— Nie wytrzymam — szepnął do sąsiada któryś z pałaczy — a to bezczelność!

— Oprócz więc luksusowych warunków waszego codziennego życia — ciągnął dalej Bollow — które są przedmiotem stałej troski dowództwa statku, prócz godnego najżywszej zazdrości wynagrodzenia i premii, macie zagwarantowaną rzecz najważniejszą, całkowite bezpieczeństwo. Płynąc pod flagą Międzynarodowego Czerwonego Krzyża wiecie doskonale, że życie wasze i zdrowie jest pod najlepszą ochroną.

Kończąc przypominam wam raz jeszcze, że gwarancją spełnienia waszych wzniosłych celów jest i musi być doskonała dyscyplina. Posłuszeństwo i praca, oto co rychło i bezpiecznie doprowadzi naszą sprawę do końca.

— No nareszcie — odetchnął z ulgą Francuz, kiedy Bollow skierował się na miejsce.

Tymczasem Per Henning dał sygnał do oklasków. Wyciągając manifestacyjnie swoje masywne ręce bił brawo pod nosem Bollowa, a grdyka chodziła mu niestrudzenie, jakby ciągle coś przełykała. Bollow, składając swoje szerokie usta w coś, co miało przypominać uśmiech, zginał w ukłonach swój ciężki korpus, dziękując za uznanie. Jego przymrużone oczka przenosiły się tymczasem niestrudzenie z jednego słuchacza na drugiego, a gdzie spoczęły, podnosiły się ręce i rozlegały się nowe oklaski. Przebiegłszy w ten sposób spojrzeniem wszytkie niemal rzędy, zadowolony z efektu, jaki wywarły jego słowa, Charles Bollow usiadł z powagą. Siostra Konstancja podpłynęła znów ku fisharmonii, a pastor zaintonował nową pieśń, którą z reguły kończyły się wszystkie morskie nabożeństwa: „Za tych, co na morzu...”

Rozległ się głuchy huk: wszyscy podskoczyli na miejscach, tak to było nieoczekiwane. Okazało się jednak, że to tylko źle umocowane okienko, które uderzyło o ścianę.

— Zaczyna się — mruknął Oluf. — Od razu mówiłem, że będzie burza.

Przez salę popłynął ożywczy prąd powietrza chłodząc spocone czoła. Statek zakołysał się na kotwicy. Ściemniło się. Blaski, które dotąd grały na białym suficie, przygasły.

Ludzie zaczęli się rozchodzić, tylko Homer Ratcliff siedział nieporuszony na swoim miejscu, jakby nic nie widział i nie słyszał. Helge przechodząc obok spostrzegł, że na kolanach Murzyna leżała biała kartka papieru, na której kończył coś notować podłożywszy pod nią śpiewnik.

— Co ty — roześmiał się Helge — notujesz mowę kaptana?

Murzyn podniósł głowę, na jego twarzy pojawił się zakłopotany uśmiech, szybkim ruchem zasłonił kartkę.

— Nie — powiedział po chwili — układam wiersz...

Charles Bollow skierował się przez korytarz ku schodom, omijając biuro, w którym zwykle urzędował. Szedł do małej jadalni, którą dzielił z Henningiem, kiedy zastąpił mu drogę Sven Ahlborg. Spostrzegłszy go Bollow bez słowa rozejrzał się dokoła, szybkim ruchem otworzył drzwi biura, popchnął tam marynarza, po czym już zwykłym swym powolnym krokiem przestąpił próg, zamykając starannie za sobą obite materacem drzwi.

— Co tam nowego? — spytał siadając w fotelu.

— Pan mówił, żeby wszystko...

— No wszystko, oczywiście...

Bollow wyciągnął do Svena papierosy.

— Dziękuję panu — powiedział Sven zaciągając się — o, to mi papieros! Chodzi mi o Dobreya.

— Znowu? — Bollow wzruszył ramionami.

— Ja bym nim panu kapitanowi nie zawracał ciągle głowy, ale on po prostu buntuje ludzi.

— Co powiedział? — zapytał nie patrząc Bollow.

— Niby nic takiego... Trudno przytoczyć... Niby on nic takiego nie mówi, ale ma taki jakiś sposób...

— Głupstwa.

A swoją drogą — myślał Bollow — nie można powiedzieć, żeby nas tu kochali. Ot, choćby taki Dobrey. Jedyne Amerykanin w załodze i już im jest solą w oku...

— Nie, panie kapitanie, to nie są głupstwa — upierał się Sven. — Ośmielam się zaprzeczyć. Mało mówi, niby się wcale nie odzywa, ale nagle powie coś takiego, że wszyscy muszą o tym myśleć.

— Urn — Charles Bollow w zamyśleniu oparł nogi na biurku — hm, miałem go wieczorem posłać razem z tobą po

więźniów... to jest po chorych chciałem powiedzieć, bo to cwaniak... zdolny, sprytny... Ale wobec tego... Wobec tego weź chyba Sorensena.

— Tak jest, panie kapitanie.

— A jaki jest Sorensen?

Sven niezdecydowanie pokręcił głową.

— Zdaje się... w porządku.

— A tamten Petersen... co mówił?

— Nie bardzo mi się i Petersen podoba. Ale jeszcze go nie rozgryżłem.

— I co na przykład mówił ten... Dobrey?

— Opowiadał, że widział zadżumionego...

Charles Bollow raptownie zdjął nogi ze stołu. Po krótkim namyśle rzucił tonem rozkazu:

— Zrobimy tak. Podrzucisz mu książeczkę, no broszurkę, ja ci dam... Ale zręcznie... Odbierając od żandarmerii połowej tych tam więźniów, przekażesz mój rozkaz, żeby dali ze dwóch żandarmów na motorówkę. Zrobi się zaraz rewizję i zabiorą go. Ostatecznie stoimy na miejscu, mechanika jakoś się znajdzie. Nie mamy szczęścia do mechaników, co, Ahlborg? No, idź na obiad, nie trzeba zwracać uwagi.

Ale Sven nie odchodził.

— Co tam jeszcze?

— Bo oni, panie kapitanie, zaczynają rozpuszczać gadki, że w razie ataku...

— W razie ataku?

Sven mieszał się coraz bardziej pod spojrzeniem przekrwionych oczu amerykańskiego łącznika.

— No, że niby... może coś ze statkiem... że załoga może nie wyjść.

— Przeklęty tchórze — ryknął Bollow — żebym ja ci tych gadek kolbą nie wybił? Kto mówił? Ty sam, ty sam, przeklęty tchórze.

Podskoczył do drzwi, rozejrzał się i zobaczywszy, że nikogo nie ma w pobliżu, wypchnął przerażonego Svena na korytarz.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Lekarze, pastor oraz wykwalifikowane siostry szpitalne jadali razem w niedużej jadalni pokładu C. „Naczelnny” miał początkowo zamiar przenieść się z obiadami na najwyższy pokład i organizować małe uczyty na werandzie kawiarni, ale okazało się to niepraktyczne. Pogoda wiosenna nie była pewna, a obsługa utrudniona. Jedli więc w niewielkiej salce, gdzie zestawiono stoły w jeden duży stół. Prezydował jak zwykle doktor Humey, siostry skupiły się po przeciwległej stronie, jedna czy dwie zamieszały się w szeregi lekarskie. Ama siedziała obok siostry Konstancji. Podano dobre wódki i rozmowa potoczyła się wartko, choć statek kołysał się coraz silniej.

— No i Bollow celebrował — powiedział Mac Dane zabierając się do grape-fruita, którego połówkę wziął sobie właśnie na talerz i posypywał obficie cukrem.

— Dobrze się stało, bo musiałbym ja to zrobić — mruknął doktor Humey — z wieku i z urzędu.

Doktor Robinson siedział cicho, patrząc w talerz. Była to jego pierwsza odpowiedzialna posada, bał się więc ją utracić, narażając się komuś niebacznym słówkiem. Był chemikiem

raczej niż bakteriologiem, z tego tytułu dostał przed rokiem asystenturę przy uniwersytecie Vancouver w swej rodzimej Kanadzie na wydziale „Home economics”. Praca jego polegała na tym, by pouczać 400 studentek, jak mają smażyć pączki.

— Kolega zna przecież warunki pracy naszych uniwersytetów... — zwrócił się do niego „Naczelny”.

Wzdrygnął się: więc znowu coś przegapił. Nie dosłyszał, o czym była mowa, ale na wszelki wypadek recytował usłużnie:

— Och, ja miałem doprawdy wspaniale warunki. Korytazze wykładane kauczukiem, cisza absolutna... Katedry z plastyku, wspaniale wyposażone laboratorium kulinarne... Doprawdy, praca była prawdziwą przyjemnością.

— A na czym właściwie polegała? — spytała Ama i zaśmiała się swawolnie. — Żałuję, że nie byłam słuchaczką doktora.

Spojrzał na nią, jakby prosił o litość, bał się jej języka. Nic nie pomagało, patrzyła mu prosto w oczy, wyczuwał, że pielęgniarki między sobą śmiały się trochę z jego awansu.

— Praca... no cóż... — nie zdążył odpowiedzieć.

— Mówiliśmy o wyposażeniu naszych laboratoriów — przerwał „Naczelny”. — Ja osobiście bynajmniej nad tym nie ubolewam, że w wielu wypadkach państwo przekazuje swoje agendy trustom. Tak się na przykład stało z „Narodowym Centrum Badań...”

— Czy tak? — spytał doktor Rose. — Jakoś przeoczyłem tę wiadomość. Kto ich zakontraktował?

— Już nie pamiętam, „Western Mining” czy coś podobnego. Chodziło o geologów, wypożyczyli ich na trzy lata od państwa razem 2 pracownikami, zawarli królewskie kontrakty, dali królewskie warunki, nie rozumiem, skąd się jeszcze biorą malkontenci. Trusty kierują badaniami naukowymi, nadając

im od razu praktyczny kierunek, kontrolując prace i publikacje, nic się w ten sposób nie marnuje.

— A „Centrum Badań Aeronautycznych”? To samo — powiedział Mac Dane — i wszyscy są zadowoleni. Spod opieki państwa przeszli pod opiekę trustu budowy samolotów.

— Na to, żeby nieść prawdy naukowe w całej ich niepokalanej czystości, trzeba mieć całkowitą niezależność materialną, a któż dziś może ją zagwarantować jak nie potężne trusty.

— Ale trusty to tylko wytwórcy — powiedziała Ama. — Ja słyszałam... — głos jej zgiął w ogólnym rozgwarze: nikt nie był tak bardzo ciekaw, co też ona takiego słyszała.

— Nauka musi być niezależna od chwilowych koncepcji politycznych i przemijających prądów społecznych — mówił dalej doktor Mac Dane — badania naukowe muszą niejako iść za swoim własnym prądem, muszą w harmonijny sposób wywodzić się jedne z drugich, nauka musi być całkowicie wolna. Oto, czego nie rozumieją komuniści.

Muzykalna siostra Konstancja spytała:

— A dlaczego?

Doktor Mac Dane wziął ją pod brodę, siedziała tak blisko niego.

— Żebyś się miała o co pytać, głuptasie.

Konstancja uśmiechnęła się pokornie.

— Ja jednak — powiedział doktor Rose zacierając krótkie rączki — ja jednak uważam, że w obecnym stadium naszej polityki zagranicznej nauka może i powinna podeprzeć silnym ramieniem to, co podeprzeć należy. Naukowa organizacja życia to piękna rzecz i tu będziemy górować.

— Otrzymałeś dziś depezę? — spytał dobrodusznie „Naczelnny”.

Doktor Rose w wolnych chwilach bawił się psychoanalizą i miał

wielką modną poradnię dla psów w samym centrum Nowego Jorku. Usłyszawszy pytanie ożywił się znacznie.

— Nie miałem i bardzo się niepokoję. Od dwóch dni wspólnik nie daje mi znać, co się tam dzieje. To dobry człowiek, ale nie ma tej zręczności, tej, powiedziałbym, elastyczności, giętkości postępowania z ludźmi, która jest potrzebna w naszym zawodzie.

Rozpocząłem właśnie kurację psychoanalityczną suczki — pinczera należącej do znanej śpiewaczki Svengali z Metropolitan Opera House. Ale po dwóch, trzech seansach otrzymałem nominację na ten statek...

— O tę nominację zresztą bardzo się starałeś... — uzupełnił Humey.

— Starałem się, nie przeczę. Miałem zresztą do tego specjalne powody... Wiecie przecież, że chciałem się zetknąć z taoistami, którzy urządzają specjalne seanse dla „Długich Lanc” i stowarzyszenia „Ośmiu Demonów”... Kompleksy ludów na tak niskim stopniu kultury, chociaż badane w warunkach wojennych...

— Ale na to musiałbyś być na lądzie.

— Wtedy jednak nie korzystałbym, a przynajmniej nie zawsze mógłbym korzystać z ochrony, jaką przedstawia nasz szpital.

— Ale pies — dziwiła się Konstancja.

— Chciałabym być przy tym, jak doktor analizuje psychikę pinczera — dodała Ama.

— Większość psów, tak samo zresztą jak i większość kotów, jest o wiele sympatyczniejsza niż ludzie — powiedział z niespodziewaną goryczą doktor Luskin.

Doktor Ray Luski mówił sam o sobie, że jest starym kawalerem, choć był człowiekiem w średnim wieku. Życie jego upływało pogodnie. Już na uniwersytecie wyrażano się o nim niezmiernie pochlebnie, a rozprawa doktorska zwróciła powszechną uwagę na początkującego bakteriologa. Doktor Luskin żył dostatnio, wakacje spędzał w podróżach, bywał nie rzadko w Europie, zwiedzał miasta i okolice godne zainteresowania. Kiedy po rozgromieniu armii kwantuńskiej i niesławnym procesie w Chabarowsku generał Ishii, twórca porcelanowej bomby, przedostał się do Ameryki, doktor Ray Luskin był tym, którzy wraz z Ishii, niemieckimi specjalistami I. G. Farben i parotysięczną armią chemików, fizyków i bakteriologów pracował w jednym z ośrodków badań bakteriologicznych, słynnym Camp Detrick pod Waszyngtonem, olbrzymiej enklawie otoczonej drutem kolczastym i pilnowanej stale przez oddział uzbrojonych marynarzy. Wszakże przez cały ciąg swojej uniwersyteckiej kariery i potem także, w Camp Detrick, doktor Luskin pracował wyłącznie metodą biurkową, a jego doświadczenia życiowe ograniczały się do obcowania ze zwierzętami doświadczalnymi. Zresztą doktor Luskin lubił zwierzęta, był przyjacielem zwierząt. Widział i rozumiał ich ważną rolę w rozwoju nauki, doceniał je w pełni, starał się zabijać je i operować humanitarnie, kłócił się o to.

Rozpoczęła się wojna w Korei. Doktor Humphrey Humey wrócił z Tananariwy, gdzie pracował w Instytucie Pasteura nad szczepami Yersin i otrzymał polecenie skompletowania personelu naukowego dla statku szpitalnego nr 1092. Wtedy to skierowano do niego uczonego, który zdobył już sobie lokalną sławę w Camp Detrick. Ray Luskin był świadomy zadań, jakie to wyróżnienie za sobą pociąga, ale świadomy niejako peryferycznie, tak jak człowiek, który wpatrzony w pewną

zajmującą go akcją, dziejącą się na wprost, widzi jednocześnie brzeżkiem oka postaci poruszające się na peryferiach obrazu. Nie był zadowolony, że go się odciąga od pracy laboratoryjnej, w której celował i do której przywykł. Wypomniał to Humeyowi przy jakiejś okazji. Humey przyjął jego oświadczenie z pewną dozą ironii, ale odpowiedział poważnie, krzywiąc przy tym z lekka wargi w gąszczu niechlujnej brody.

— Dla uczonego cały świat jest jednym wielkim laboratorium. Nie wykręćcie się, kolego.

W ten sposób doktor Ray Luskin, sława naukowa z Camp Detrick pod Waszyngtonem, znalazł się na wodach koreańskich.

Gd rana czuł się jakiś niepewny i zdenerwowany. Szczepiot sióstr przy stole bardzo go męczył. Właściwie zaczęło się to już w Nagasaki. Prawdę powiedziawszy miałby ochotę wracać.

Podano dwie zupy do wyboru. Usłużny steward nachylając się pytał każdego z osobną, którą z nich woli, i stosownie do tego napełniał filiżanki albo zmieniał talerze. Doktor Humey wolał czystą zupę rakową. Przez chwilę jedli w milczeniu.

— Co to jest właściwie to stowarzyszenie „Ośmiu Demonów”? — spytał po paru łyżkach doktor Robinson, który starał się każdemu przypodobać i gdy tylko mógł, tak kierował tematem rozmowy, żeby pochlebić zamięłowanym partnerów. „Najpierw stanę się tu niezbędnym, a potem ich osiodłam” — myślał.

Doktor Rose przełknął gładko resztę zupy i odpowiedział:

— „Długie Lance”, „Żółty Pas”, „Osieć Demonów” to pododdziały stowarzyszenia „Powszechnego Błogostanu”, które do ostatniej niemal chwili trzęsło Chinami i nieledwie w ostatnich miesiącach uległo niestety, likwidacji. Mówię „niestety”,

gdyż stowarzyszenie to, pod dziwacznymi pozorami, spełniało bardzo poważną rolę polityczną, wspierając rząd Czang Kajsze. Jestem zresztą pewien, że pomimo terroru niedobitki tych stowarzyszeń tułają się jeszcze w Chinach, a ponadto dowiedziałem się niedawno, że niektórzy członkowie znaleźli schronienie w amerykańskiej strefie Korei. Myślę specjalnie o duchownych, którzy odprawiali tam rozmaite obrzędy dla podniesienia morale swych członków, wmawiając w nich, że są nieśmiertelni i że kule ich się nie będą imać. Rozumiecie chyba, panowie, że to jest rzecz ważna, zwłaszcza że byli słabo uzbrojeni.

— Dlaczego źle uzbrojeni? Nie można im było dostarczyć lepszej broni?

— A może to też należało do rytuału? Dość, że nazwy „Długie Lance” czy jakieś tam miecze odpowiadały istotnemu stanowi rzeczy. Ci ludzie uzbrojeni byli jedynie w topory, miecze i dzidy, co im zresztą nie przeszkadzało pierwszorzędnie ściągać podatków i prowadzić doskonałej roboty wywiadowczej na terenie Chin. Teraz jednak, przyznam się, mniej mnie interesuje strona polityczna całego zagadnienia, a więcej sarn rytuał. Moja nowojorska klientela jest bardzo różnorodna, ale ogólnie wzięwszy spragniona nowości i egzotyki. Lekarz, który będzie się mógł pochwalić, że uczył się tajemnych praktyk od chińskich taoistów, ogromnie podniesie swój autorytet.

— Ale czy jesteś pewien — dopytywał się Mac Dane — że uda ci się dotrzeć do sekt? Korea jest niereligijna, te rzeczy nie mają powodzenia.

— Już sam fakt uczestniczenia w dalekiej podróży — odrzekł doktor Rose — może być dla wielu wystarczający.

— Cóż — powiedział z namaszczeniem pastor — poruszamy się w Irracjonalnym, nie można lekceważyć żadnych przejawów.

— O psychoanalizie też mówią jako o czymś irracjonalnym — rzekł znowu doktor Rose — ale to nie metoda, to sam człowiek jest irracjonalny. Obiektem psychoanalizy jest właśnie irracjonalność — podświadomość człowieka.

— Czyż w tej podświadomości — ośmieliła się zauważyć Ama — nie odzwierciedlają się obiektywne warunki życia?

Doktor Rose wzruszył ramionami.

— A cóż to są „obiektywne warunki życia”?

— No na przykład stosunki między ludźmi, stosunki panujące w społeczeństwie.

— W jakim społeczeństwie? Społeczeństwo to fikcja, istnieją tylko indywidualne grupy...

— Jak to, więc nie ma społeczeństwa — klasy robotniczej, proletariatu?

— Ama, Ama, coś się tak rozfilozofowała — powiedział z niezadowoleniem doktor Humphrey Humey chcąc uprzedzić odpowiedź pielęgniarki — milcz lepiej i słuchaj, dużo się jeszcze musisz nauczyć.

— Społeczeństwo — proletariat! — Zawsze używa się takich wielkich słów, kiedy kto chce zagwoździć dyskusję. Nie ma proletariatu, są tylko robotnicy poszczególnych fabryk. A cóż to są właściwie strajki? Znewrozowani robotnicy.

— Tak — podtrzymywał go doktor Mac Dane — ja na przykład jestem członkiem „Stowarzyszenia Zdrowia Moralnego”. Olbrzymi zasięg, nieprawdaż? To znaczy, chciałem powiedzieć, olbrzymi zakres działania. Zdrowie moralne, równowaga w Stosunkach z ludźmi, uprzejme, normalne obcowanie

nie z osobnikami wszelkich warstw i przekonań to rzecz najważniejsza w społeczeństwie.

— Najważniejsza, a niedoceniana — uzupełnił „Naczelnny”.

— Na szczęście idee naszego stowarzyszenia zaczynają przenikać do coraz szerszych warstw społecznych, jest ono doskonale widziane przez rząd, a ostatnio materialne jego podstawy były, nawet dyskutowane w Pentagonie. Dałoby się może utworzyć sekcję wojskową...

— Jak kolega to rozumie?

— Gdyby na przykład chodziło o zmniejszenie strachu w czasie działań wojennych. Czyż każda wystrzelona kula zabija? Co więcej, czyż zabija sam huk? A czego żołnierz boi się najbardziej, co budzi w nim stan podniecenia? Właśnie huk. Należałoby szczepić bitwy jak ospę...

— Ale ja nie o tym w tej chwili myślałem — mówił dalej doktor Rose — wróćmy na chwilę do strajków. Strajki dezorganizują życie w Stanach Zjednoczonych i nie tylko w Stanach. Tymczasem to wszystko można by — zwróćcie, koledzy, uwagę na termin, jakiego używam — wy-le-czyć.

— Zapewne — powiedział z wahaniem doktor Luskin — zapewne...

Tymczasem dwaj stewardzi wnieśli rybę, co na pewien czas przerwało dyskusję. Doktor Rose zaczął rozlewać wino do wysokich, zielonych kieliszków, ale „Naczelnny” przykrył swój rozstawionymi palcami.

— Nie wiem, czy uwierzycie — powiedział — ale białe wino mi szkodzi. Dostaję rozwolnienia.

— Więc piją wszyscy, którzy nie dostają rozwolnienia — rzekł doktor Rose i zaczął nalewanie od siebie.

Doktor Robinson zatroskał się.

— Steward, proszę od razu podać „Bordeaux“. Może dyrektor pozwoli.

Doktor Humey wzruszył ramionami.

— Do ryby? Doktorze! Zaczekam na pieczone, nie chce mi się pić.

Zajęli się ośćmi, choć w morskich rybach nie było ich wiele. Doktor Robinson robił to wprost artystycznie. Operując zręcznie widelcem i szerokim, tępym nożem, oddzielał szybko i sprawnie duże, białe filety od ości grzbietowej. Robinson pierwszy uporał się z rybą i odchyliwszy się nieco na krześle, wybuchnął śmiechem.

— No i kto miał rację? Stary pastor Malthus miał rację, panowie. Po prostu na świecie jest za dużo ludzi, a że ilość ich ciągle wzrasta, jakżeby miało wystarczyć dla nich jedzenia? Siedzimy przy suto zastawionym stole, ale gdybyśmy mieli zaprosić do naszego stołu „guków“, nie zostałoby dla nas ani okrucha.

I znów zaniósł się wesołym rżeniem.

Pastorowi udało się usiąść koło siostry Konstancji. Podał mu się jej wydatny biust, myśl, że ona nim gardzi wskutek jego brzydoty, zatruwała mu życie. Chciał zwrócić na siebie jej uwagę i to mu się bez trudu udawało. Konstancja wzdychała, podnosiła oczy ku niebu i w ogóle zachowywała się jak wzorowa parafianka. Nie udawało mu się natomiast przebić tego muru uszanowania, którym go otaczała jako osobę duchowną. Musiał okazywać zadowolenie, musiał udawać, że czuje się doskonale w atmosferze religijnego uwielbienia, którą umiała wytworzyć koło niego. Postępowała zawsze trafnie, oto co musiał przyznać. Była wrażliwa, wyczuwała sytuację jak tonację psalmu, który on intonował, a który ona odnajdywała natychmiast w swej muzycznej pamięci.

Wiedział doskonale, że kiedy już zajmie koło niej miejsce przy stole, spotka się z jej uległym spojrzeniem, ale wiedział też doskonale, że go unika i że czuje się wtedy tylko dobrze, kiedy siedzi koło niej Rose albo Bollow. Rose ze swoimi manierami dobrego chłopca, z okrągłymi ruchami krótkich rączek i czubkiem języka, ukazującym się zza różowych warg, bawił ją, wybuchała co chwila śmiechem, jego sposób opowiadania o własnym życiu, o psiej klinice, jego niepoważny stosunek do samego siebie wprowadzał ją w dobry humor. Krwisty Bollow obiecywał jej zapewne inne słodczyce. Woląta ich towarzystwo. Ale uśmiechała się z nieskończoną łagodnością, kiedy pastor, zaznaczając podczas nabożeństwa paznokciem numer psalmu, pochylał się nad nią i prosił ją do fisharmonii.

Tylko raz jeden, kiedy już mu się zdawało, że dosyć wypięła przy obiedzie, by mógł zaryzykować śmielsze słowo i musnąć policzkiem jej policzek, odsunęła się i powiedziała świszczącym szeptem:

— Co, z takim oddechem?

Nie mógł tego zapomnieć, choć znał swoje defekty. Wiedział, że nie zdobędzie jej tym, czym mógł ją zwabić pierwszy lepszy chłystek z marynarki: emanacją męskości, brutalnymi manierami. Brakowało mu pewności siebie, jej wyzywające zachowanie się wytrącało go z równowagi. I wiedział doskonale, że maskując niechęć i nudę odezwie się, kiedy ją poprosi o towarzystwo przy stole:

— Ależ chętnie, księżę pastorze. Proszę bardzo, księżę pastorze.

Byle nie dalej, byle nic więcej, księżę pastorze — powtarzał sam sobie i krew mu biła do głowy, kiedy schylając się po serwetkę widział nogę Bollowa przytuloną ciasno do jej pończochy albo jego uwłosioną rękę obejmującą jej kibić.

Podniósł głowę. Miał ochotę powiedzieć jej: chodźmy do mojej kabiny i ja jestem mężczyzną! A zamiast tego mówił:

— Droga siostrzo, teraz trochę muzyki. Po świeckich rytmach tańca z rozkoszą podniesiemy choć na chwilę, serca nasze ku Panu.

W jej oczach zapalały się błyski nienawiści. Nudził ją, niczego się po nim nic spodziewała. Ale surowa dyscyplina wewnętrzna dyktowała słowa:

— Jestem zawsze gotowa, księżu pastorze. Istotnie, kiedy stoimy wobec tej niezmiernie potężnej, żywiołu morza, dobrze nam zrobi chwila oderwania się od trosk ziemi i zatopienia w niebiańskiej harmonii.

Zapatrzony w Konstancję pastor słyszał jak przez watę słowa doktora Bosego.

— Czy słuszne by było stosowanie neomaltuzjanizmu w Ameryce, to jeszcze rzecz do dyskusji, bo przecież bezrobocie obniża jednak cenę siły roboczej... Za to bezwzględnie stosowałbym tę metodę w koloniach aż do sterylizacji włącznie.

Ama w końcu nie wytrzymała.

— Bezrobocie obniża cenę siły roboczej — powiedziała. — Mój mąż właśnie strajkował w fabryce, żeby otrzymać podwyżkę. Chcieliśmy żyć jak ludzie, chcieliśmy mieć dzieci, a na to wszystko nie pozwalały małe zarobki. Jakże nie strajkować?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

— Ach, więc mąż siostry brał udział w strajkach? — spytał „Naczelnny“ odsuwając z wolna od siebie talerz i mierząc

ładną pielęgniarkę przymrużonymi oczami. — A przecież kiedy siostrę angażowałam, nic mi o tym nie opowiadałaś, moje dziecko.

— Pan dyrektor nie pytał — powiedziała Ama -z wahaniem — a przy tym sądziłam, że takie szczegóły są i tak odnotowane w mojej kartotece.

Lekarze spojrzeli po sobie.

— Nie rozumiem, o jakiej kartotece siostra mówi — powiedział Humphrey Humey tym dobrodusznym szorstkim tonem, którego używał, kiedy mu specjalnie zależało, by mu uwierzono — a ponadto zadawałam siostrze wiele pytań, i to szczegółowych, na temat życia siostry i jej stosunku do pracy.

To nie ma nic wspólnego z moim stosunkiem do pracy, w ogóle nie chodzi o stosunek do pracy, tylko do warunków, w jakich się ta praca odbywa. Mój mąż był bardzo dobrym pracownikiem.

Nastąpiła chwila kłopotliwego milczenia. Wreszcie „Naczelnny” uznał, że lepiej sprawę na razie zbagatelizować.

— Mniejsza o to, nie będziemy sobie teraz takimi rzeczami psuli apetytu — dokończył z tą samą fałszywą dobroduszością. — Więc o czym to mówiliśmy? Aha, o psychodramatach.

— To wspaniale być naukowcem — powiedziała Konstancja.

— Gdzie o tym można przeczytać? — spytała siostra Florencja.

— Przeczytamy to sobie razem w mojej kabinie — powiedział doktor Rose patrząc spod oka na doktora Mac Dane, z którym dzielił względy Florencji. Doktor Mac Dane machnął ręką i odwrócił głowę.

— Jeżeli o mnie chodzi — powiedział Hurney — to widzę w psychodramatach jedną dobrą stronę, choć nie jestem psychoanalitykiem. Oto człowiek tłumu zasadniczo i stale musi czuć się winny.

— Zapewne — twierdził doktor Rose — zapewne.

— To jest podstawą moralności chrześcijańskiej — wyłożył pastor, który z uwagą przysłuchiwał się rozmowie — psychodramaty byłyby więc rodzajem spotkań z Bogiem.

— Pozwoli ksiądz... — przerwał doktor Rose.

— Niech skończę — mówił dalej pastor — rozumiemy przecież wszyscy doskonale, że drożyzna, militaryzacja, ba, sama wojna i bomba atomowa jest, ogólnie wzięwszy, drogą powrotu do Boga. Zjawiska te nazwałbym zamaskowanymi dobrodziejstwami, z których nie każdy, na kogo one spadną, zdaje sobie jasno sprawę.

— Na kogo spadną... niby ta bomba? — zaśmiała się nerwowo Ama. — To już chyba nic dziwnego, że trudno wtedy zdawać sobie jasno z czegokolwiek sprawę...

Ale pastor nie miał poczucia humoru, więc zgromił ją tylko wzrokiem.

— Wracając do „damy atomowej “ — rzekł porywczo doktor Mac Dane — jeżeli ma ona być naszą jedyną nadzieją, to jestem jej wyznawcą.

— Widziałem niedawno na łądzie trupy kilku chińskich komunistów i daję słowo, że mam ochotę powtórzyć za biednym Macem: ten widok raduje moje stare oczy.

— Z tą różnicą, że te oczy nie są bynajmniej stare — zaśmiała się Florencja.

— Pochlebstwo, siostró...

Doktor Robinson wziął w jedną rękę butelkę, w drugą kieliszek i zaczął go napełniać. Niestety, butelka zachwiała mu się w rękę i doktor oblał sobie spodnie.

— Do diabła! — zaklął cicho.

Ama odsunęła talerz. Zaciąwszy zęby przyrzekała sobie, że więcej ust nie otworzy. Wyrzeknie się dyskusji, będzie spełniała, co do niej należy, i nic ponadto. Ostatecznie, jeżeli nie będzie ich drażnić, nie będą mogli się jej czepiać, bo dobrze zna swój zawód, i życie jakoś się ułoży. Musi tu zostać, musi, pracować i dużo zarabiać. Musi przesyłać zarobki do domu, by pomóc chorej matce. Musi... ach, co tu dużo mówić. Dość, że musi...

Czyż jednak można było milczeć słuchając wprost przestępczych twierdzeń, które oni tu wygłaszali? Nie знаła tych ludzi, nie miała pojęcia, w jakim otoczeniu przyjdzie jej przebywać, gdy angażowała się na statek. Zapewne nie miała wielkich złudzeń, ale ten bezmiar cynizmu był dla niej mimo wszystko niespodzianką. Więc mogli serio wygłaszać takie potworne głupstwa, ubierać w pseudonaukowe sformułowania najczarniejsze przesady, najbardziej zbrodnicze, bandyckie prawa?

Popatrzyła na ich twarze, spojrzała na wiecznie płaszczącego się, służalczo uśmiechniętego doktora Robinsona, tłustego, różowego Rosego, ponurego, brutalnego Humeya, nadętego i żarłocznego pastora, jakby ich widziała po raz pierwszy. Ci ludzie w nic nie wierzą. Ani to duchowni, ani lekarze, ani naukowcy. To banda oszustów, którzy tworzą „wielkie” teorie, żeby nimi okryć złodziejskie zamiary, żeby okpić biedaków.

Odsunęła od siebie talerze, zacisnęła pod stołem rękę, aż paznokcie wbiły się jej w ciało: z całej siły chciała zapanować nad sobą, stłumić słowa, które dusiły ją w gardle. Oni tymcza-

sem przeszli na politykę. Doktor Mac Dane, który dotąd niewielki brał udział w rozmowie, ciągle się dziwił.

— Mówicie znowu o Mac Arthurze. Swoją drogą, żeby go odwoływać, dajcie pokój...

— Człowiek tak zasłużony — dodał doktor Robinson.

— Bohater Korei, trudno go nazwać inaczej.

— Wspaniały człowiek — zachwycały się pielęgniarki.

Ale doktorowi Humeyowi nie w smak były te zachwyty.

— Cóż z tego, że wspaniały? Miał mylną koncepcję polityczną — powiedział.

— Jak to mylną? — spytała siostra Florencja otworzywszy szeroko błękitne oczy.

— No mylną. Co będę głupiej tłumaczył — powiedział ze złością „Naczelny”.

— Jesteś niewierny Tomasz — powiedziała Konstancja, która jak Humey szanowała każdą władzę. — Czy ci nie wystarczy, kiedy dyrektor tak mówi. Mylną to mylną.

— Nie wystarczy — opierała się Florencja nadymając po dziecinnemu usta — a w ogóle chciałabym zobaczyć więcej świata i o wszystkim sama się przekonać.

— Jeszcze więcej? Pomyśl, że inne dziewczęta w ogóle nie opuszczają Ameryki!

— Chciałabym zobaczyć coś nadzwyczajnego.

— A to, że tu przyjechałaś, to nie nadzwyczajne?

— Myślałam tak w pierwszej chwili, ale teraz? Woda i niebo, nic więcej, a dla odmiany niebo i woda.

— Ale rozmaite.

— Gdzie tam, zawsze szare.

Lekarze nie zwracali uwagi na ptasie głosiki sióstr. Doktor Ray Luskin powiedział jednak ciszej:

— Straciliśmy tu ponad 150 tysięcy ludzi. W samej bitwie nad rzeką Hangan, która trwała co prawda 50 dni, straciliśmy 25 tysięcy... A ile samolotów, ile czołgów, ile dział...

— To defetyzm — powiedział energicznie pastor — a ponadto nie można tak obliczać strat. Między zabitymi była znikoma liczba Amerykanów i to podnosi ku Stwórcy nasze serca pełne radości i dziękczynienia.

Jego niewielkie oczy ponownie uniosły się ku górze, a wąskie wargi poruszały się jeszcze, chociaż już przestał mówić, jakby istotnie składał komuś dzięki.

Ma zepsute zęby — zauważyła Ama.

— Jak tam było, tak było — powiedział gniewnie „Naczelnym” — po cóż te obliczenia? — i lekkim skinieniem głowy wskazał na skupione stadko pielęgniarek.

— A kogo tu teraz przyślą? — pytał doktor Mac Dane.

— Generała Mateusza Ridgwaya.

— Republikanin?

— Przywódca partii.

Mac Dane upierał się przy swoim.

— A ja żałuję Maca. Z wysoka zleciał.

— Ja go tam nie żałuję — wyrwało się Amie.

Doktor Robinson parsknął krótkim śmiechem. Zauważył on, że doktor Humey odnosi się życzliwie do tej pielęgniarki, więc sądził, że wypada podkreślić śmiechem to, co uważał za żart z jej strony, ale znów został surowo skarcony.

— Nic w tym nie ma śmiesznego — powiedział Rose — i nasze subiektywne „żałuję, nie żałuję“ nie ma tu żadnego znaczenia. Rząd wie, co robi — doktor Rose przechodził na pozycje Humeya, którego zresztą nie lubił — i jeżeli usunięto Maca ze wszystkich stanowisk, to znaczy, że Mac robił politykę na własną rękę i że to była zła polityka.

Doktor Robinson zamilkł na dłuższą chwilę, kurcząc się nad swym talerzem, aby uniknąć wszystkiego, co mogło na niego ściągnąć niezadowolenie lekarzy, w szczególności zaś Humeya, przy którego pomocy pragnął zrobić karierę. Postanowił on, jak sam to sobie sformułował, „zaznaczać się tylko w sposób pozytywny”, co mu się nie zawsze udawało.

— A czy on w ogóle mógł prowadzić politykę na własną rękę? — dziwiła się Arna.

— Jak to, czy mógł? Miał przecież najpiękniejsze tradycje, ojciec był gubernatorem Filipin i syn też przywykł do rządzenia.

— No dobrze — upierała się Ama — więc zajął Taiwan...

— Nie Taiwan, lecz Formozę. Nie słyszałem o żadnym Taiwanie — poprawił ją z powagą doktor Rose skrzyżowawszy znów na brzuchu tłuste rączki.

— Wszystko jedno. Więc zajął... tę wyspę na własną rękę? — Wyczula już, że przedmiot rozmowy, tak jak i tamte, jest pełen niespodzianych zasadzek, ale była zbyt podniecona poprzednimi starciami, żeby mogła milczeć.

Rose nie odpowiedział na jej pytanie, jakby go w ogóle nie słyszał, tylko najspokojniej mówił dalej:

— Mac groził, że zbombarduje **Mandżurię**, odślaniał plany dowództwa, w ogóle zachowywał się jak niesforny dzieciak, a nie jak wytrawny mąż stanu.

— Jednym słowem miał za długi język — powiedział Mac Dane — to prawda, ale ostatecznie zarzucać mu, że nie popierał szczerze polityki prezydenta, to już, darujcie, za wiele. Przypominam sobie dokładnie, że wcale mu nie broniono mówić, przeciwnie, myślano, że nastraszy...

— Człowiek rozumny nawet sprowokowany potrafi zachować umiar — rzekł Luskin.

— Więc doktor sam przyznaje, że to była pułapka? —
wmieszała się znów Ama.

„Naczelnny“ surowo spojrzał na pielęgniarkę.

— Już raz siostrze mówiłem...

Doktor Mac Dane znów się wtrącił:

— Dlaczego ma milczeć? Ogień, zapalający się w jej pięknych oczach, dodaje pikanterii naszej rozmowie.

— Więc nie wolno słowa przemówić? — spytała Ama. Oparła się lekko rękami o brzeg stołu, jakby miała zamiar wstać i opuścić jadalnię.

— Wolno — powiedział doktor Humey akcentując sylaby i patrząc na nią uporczywie — wolno — powtórzył. — Ale zawsze z sensem, w tonie odpowiednim do sytuacji i do towarzystwa. Krótko mówiąc — stul buzię.

Nastąpiła głucha cisza. Ama wstała. Koleżanki milczały, na paru twarzach spostrzegła uśmiech.

Odrzuciła fotel i skierowała się ku wyjściu. Nie mogła trafić. Podłoga chwiała się pod nią. Ama zatoczyła się i wpadła na filar podtrzymujący sufit jadalni. Wreszcie dobrnęła do drzwi.

Dziób statku podniósł się wysoko, horyzont znikł. Biała, zwiewna piana chlusnęła jej z nienacka prosto w twarz.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Doktor Mac Dane pochylił się do ucha doktora Humeya.

— Czy nie mówiłem? Jakkolwiek starannie by się przesiewało, zawsze się zaplącze jakieś podejrzanе indywiduum.

— To bardzo niebezpieczne. Jesteśmy otoczeni wrogami — stwierdził Luskin i pomyślał: „Ale właściwie dlaczego”?

— Wobec wagi, jaką władze przywiązują do badań epidemiologicznych — zakonkludował doktor Rose — należałoby się jej pozbyć w jak najkrótszym czasie.

Pielęgniarki przycichły patrząc z obawą na lekarzy, żadna jednak nie śmiała ująć się za koleżanką.

„Naczelny” słuchał uwag, jakby nie do niego to wszystko było mówione, jakby cała sprawa w ogóle go nie dotyczyła. Jego brzydka, ponura, zarośnięta twarz nie zmieniła wyrazu. Spojrzał w okienko, o które chlustała piana, roztargnionym okiem powiódł po ścianach.

Doktor Rose powtórzył natarczywie, zacierając krótkie rączki.

— Co o tym sądzisz?

Wobec przedłużającego się milczenia Humeya doktor Robinson zaryzykował:

— Ależ, koledzy, czy to ma ostatecznie tak wielkie znaczenie?

Wtedy doktor Humey powoli wstał, jego ciężka i nieforemna postać rosła nad stołem jak mors wynurzający się z wody. Nie patrząc na nikogo warknął ze złością:

— Ja z nią porozmawiam.

Wybiegłszy z jadalni i przebiegłszy korytarz Ama zatrzymała się na śródkręciu. Wiatr osuszył łzy, które spływały po jej policzkach. Stała tak trzymając się poręczy, bez jednej myśli, niezdolna do żadnego wysiłku.

Mgła pożerała daleki obraz brzegu. Ama patrzyła bezmyślnie w wodę.

Zimne odbicie chmur przełamywało się po stronie spadu fali w oliwkowy, ciepły cień. Na wszystkim leżała niby granatowa sieć o wyraźnie rysujących się okach. Niebieska luka między chmurami znikła, woda jakby się zageściła, zasłona

chmur zaciągnęła się szczelniej. Krótkie grzywacze ukazywały się i znikwały jak białe brzuchy nieznaných ryb. Wiatr ostro gwizdał w olinowaniu.

Ama podniosła oczy. Nad jej głową przewalały się kłębiaste chmury. Ściemniało się szybko. Nawracający z portu błysk latarni morskiej rozciął powietrze jak nóż.

Wysoka fala chlusnęła jej w twarz drobnym deszczem, Ama wstrząsnęła się. Trzeba iść do laboratorium, tam zawsze jest tyle do zrobienia. Po prostu weźmie się do zwykłych zajęć, zapomni. Bo cóż

pozostaje innego? Walczyć? Jak z nimi walczyć? Co wskóra sama jedna w tych warunkach, w tej sytuacji?

Resztkami ludzkiej ufności chciała wierzyć, że jest w normalnym szpitalu. Mówiła sobie, że jej obawy, jej przypuszczenia są tylko przywidzeniem, rezultatem samotności, skołatanych nerwów. Cóż się tu ostatecznie złego dzieje? Przybyli na wody koreańskie, żeby walczyć z epidemiami. Tak przecież myślała, w to wierzyła przyjmując tę pracę. Sumienie ma czyste. Nie pomaga w ujarzmieniu tego nieszczęsnego narodu. Przeciwnie, jeżeli już musi się toczyć ta najokrutniejsza z wojen, ona jest tutaj, by łagodzić jej straszliwe skutki.

Personel lekarski na statku — to przecież uczeni. Ich obowiązkiem, ich zawodem, ich, można powiedzieć, racją istnienia jest zapobiegać chorobom i leczyć.

Choćby tam, w Ameryce, ci, którzy tę wojnę prowadzą, nie chcieli, choćby się temu sprzeciwili, tu, na tym statku, oni będą się starali leczyć chorego czy rannego, który zostanie oddany pod ich opiekę.

Myśli te częściowo uspokoiły Amę. I po co unosić się, kłócić? Czyż przerobi tych ludzi? Czy pobudzi ich choćby do zastanowienia się? Umieją więcej od niej, to świetni, doświad-

czeniu fachowcy. Cóż znaczy jej skromna wiedza, jej inteligencja wobec tych autorytetów? Myśli głębiej od swoich koleżanek, to prawda, czyż jednak z tego powodu może się porywać na dyskusję z największymi naukowymi powagami? Trzeba zapanować nad sobą i robić ściśle to, co do niej należy.

Weszła do laboratorium. Był tam jeden ze starszych laborantów, sprzątał. Przygarbiony, powolny człowiek, który nie filozofuje, tylko robi swoje. Spojrzał na nią znad okularów zsuniętych na koniec nosa.

Już po obiedzie?

— Prawie — uśmiechnęła się z przymusem.

Laborant przymknął drzwi prowadzące do dalszego pomieszczenia, gdzie nikomu nie wolno było wchodzić prócz doktora Humeya.

— Nudno? Smutno? — zapytał Amę, którą znał i lubił.

— Nie, gdzieżby — odpowiedziała miękko, nie patrząc na niego.

Zdjął z wyłącznika fartuch i posuwając się cicho wyszedł. Została sama. Pochyliła się nad stołem Humeya, zajrzała do autoklawu. ale coś kazało jej się odwrócić. W nie domkniętych drzwiach stał on sam, mroczny, przygarbiony i masywny jak góra. Nie usłyszała jego wejścia. Wyglądało, jakby stał za drzwiami podsłuchując, a wszedł dopiero, gdy laborant wychodził.

Zadrżała i wyprostowała się napotkawszy to mroczne spojrzenie. Nie odzywał się. Spytała:

— Czy... czy panu dyrektorowi coś podać?

Nic nie mówiąc zrobił parę kroków. Ama instynktownie cofnęła się. Po długiej chwili milczenia odpowiedział:

— Nie. Niczego mi nie potrzeba prócz siostry.

Spróbowała się uśmiechnąć.

— Siostry w jakim znaczeniu?

Opadł ciężko na krzesło. Znowu chwilę milczał. Potem powiedział innym, zwyczajnym głosem:

— No i czego się awanturujesz? Po co się ze wszystkimi kłócisz? Co na tym chcesz wygrać?

— Wygrać? Nic nie chcę wygrać.

— Więc nic nie chcesz wygrać? Zarabiasz dużo, bardzo dużo, nigdy byś w Stanach tyle nie zarobiła. O co ci chodzi? Czy musisz mnie doprowadzać do pasji?

Milczała zaskoczona, podczas gdy on mówił dalej:

— Jesteś przy tym bardzo nieostrożna. Pleciesz, co ci ślina na język przyniesie, zwracasz ogólną uwagę. Choćbym nie chciał, muszę zareagować, żeby nie dawać złego przykładu. Nałykałaś się jakichś głupich broszur, myślisz, że wszystkie rozумы zjadłaś. Buntujesz mi siostry.

— Ja buntuję siostry?

— Dajesz im zły przykład, wtrącasz się do nie swoich rzeczy. Nie rozmawiasz z nimi? — spojrzał na nią przenikliwie. Zaprzeczyła głową. — Więc powiadasz, że z nimi nie rozmawiasz? No, zapewne — powiedział po namyśle — jesteś od nich trochę mądrzejsza.

Znów spróbowała uśmiechnąć się:

— Niewiele, ale jednak mądrzejsza.

Tupnął nogą.

— Nie przerywać, kiedy mówię. To, że jesteś od nich trochę mądrzejszą, nie upoważnia cię jeszcze do robienia głupich uwag przy każdej okazji. I nie masz racji, i niepotrzebnie się w ogóle odzywasz. W dodatku jak niegrzecznie, jak agresywnie!

— Agresja zdaniem doktora Rose... — próbowała bagatelizować.

Przerwał jej brutalnie:

— Podwyżki nie dostaniesz — spojrział na nią spod oka — chociaż właściwie mógłbym, mógłbym — wyczekał sądząc, że ją olśni — mógłbym ci dać lepsze stanowisko. Awans.

Zaskoczył ją. Patrzyła na niego ze zdumieniem, była tak naiwna, że się nie spodziewała takiego postawienia kwestii.

— No i czego się tak patrzysz? Awans ładna rzecz. Zostałabyś starszą pielęgniarką. Wszystkie by od ciebie zależały, musiałyby cię słuchać. To także ma swoje dobre strony, wierz mi. No, jak tam?

Nie mogła wyjść ze zdziwienia. Po tym, co jej nagadał, teraz taka zmiana?

— I... i co bym wtedy musiała robić? — spytała.

— Co byś musiała robić? Nie wiesz sama? — jego duży brzuch trząsł się od tłumionego śmiechu.

Pośpiesznie przebiegła myślą braki, jakie zauważyła w pracy pielęgniarek, rozmaite drobne udogodnienia, które dałoby się wprowadzić. Może spróbować wykładów dokształcających? Ona sama zdawała sobie sprawę z tego, że ma duże luki w wykształceniu, a tu wśród tych uczonych, którzy się w dodatku nudzą, można by je było uzupełnić. Nie chciała krytykować koleżanek, ale o tych sprawach można porozmawiać.

— Nie wiem... — zaczęła wahająco, po czym dodała: — A siostra Konstancja?

— Siostra Konstancja? Co siostra Konstancja? Że sobie coś wyobraziła, czego nie ma? Nie bój się o nią, nie zginie. Powiedziałem wyraźnie: funkcje rozdzieli się podczas pracy zależnie od waszych zainteresowań i umiejętności, czy nie tak?

Ama wyczuła jakąś pułapkę, ale nie wiedziała, jak się zachować.

— Owszem, przypominam sobie — powiedziała z wahaniem.

— A widzisz. No, więc mogę to teraz zdecydować. I wtedy dostałabyś też parę ładnych dolarów więcej. Na łaszki. Na gałganki. Na piórka i na futerka. To wszystkie dziewczynki lubią, co? Tu wprawdzie niewiele można kupić, ale coś niecoś się zdobędzie, jak myślisz?

— znów jego duży brzuch zatrzęsł się w bezgłośnym śmiechu. Potem, kiedy nie odpowiadała, dodał:

— To nie jest taki biedny kraj, o nie, bynajmniej... Tak się tylko wydaje w pierwszej chwili, z brzegu... Ładne futra, bardzo ładne... Słyszałaś o tym dywanie? Nie? I to kto — jakiś sierżant zdobył olbrzymi dywan czy zasłonę ze specjalnie dobieranych skór leopardów.

Gdy „guki“ dowiedzieli się, podnieśli wrzask, że to zasłona o historycznej wartości, z jakiejś świątyni czy pałacu. Ale wrzask wrzaskiem, a chłop co ma, to ma. Więc nie myśl, że to tylko ta pensja. To wojna, A ty jesteś niegłupia dziewczynka... No, zrozumieliśmy się? Daj rączkę. Tak się mówi z paniami: rączka. Bo ja nie umiem na ogół z paniami rozmawiać. Mówię tylko rzeczy najbardziej istotne. Więc rączka.

Wstał ze zwinnością, jakiej nikt by się po nim nie spodziewał, i chwycił ją za rękę, ciągnąc do siebie. Nie chciała krzyczeć, nie chciała się ośmieszać, sama chyba da radę. Odepchnęła go. Zatoczył się w tył. Ze zdziwienia aż otworzył usta.

— Co?! — wykrzyknął. — Ty, ty idiotko. Chodźże tu, z dobrej woli chodź. Nie będę cię gonił, nie mam dwudziestu lat.

— Niedawno owdowiałam — wyszeptała.

Wzruszył ze złością ramionami.

— No to co? To dobrze, z pannami zawsze więcej kłopotu. No? Przecież nie mam zamiaru z tobą się żenić.

Cofnęła się w najdalszy kąt, nie odzywała się. Zrozumiał wreszcie.

— Ach tak? — zasyczał. — Źle ci tu? Poczekaj, wieczorem przyjedzie tu MP, jeżeli masz chęć na małą przejażdżkę, to proszę, nie będę zatrzymywał. Może upatrzyłaś sobie jakiś szpital frontowy, to proszę. Dam najlepsze rekomendacje. Źle ci tu, łóżko nie dość miękkie, towarzystwo nie odpowiada? Źle?

— Czy tu źle? — zapytała wreszcie. — Tu nie jest źle. Tu jest piekło.

Zaśmiał się znowu ze złością.

— Piekło? Ja bym tu użył zupełnie innego słowa (użył go bez żenady). Ale to już wina naszych pań. No, więc usłyszałaś, masz wóz i przewóz. Dobry jestem, że ci daję wybór, co?

Znów szedł ku niej, masywny i wielki, i zdawał się wypełniać sobą całą przestrzeń małego pokoiku o niskim suficie i okrągłych jak oczy okienkach, zalewanych co chwila pianą,

Ama cofnęła się jeszcze o krok. Miała teraz tuż przed oczami dużą, coraz większą twarz doktora Humeya, jak w filmowym zbliżeniu, mogła rozróżnić każdy włos w jego niechlujnej brodzie, siatkę czerwonych żyłek na żółtawych białkach, policzyć pory jego skóry. Oparła się o ścianę... wydała cichy okrzyk: za jej plecami ustąpiły jakieś drzwi.

I nagle stało się coś dziwnego z tą twarzą, która ją jeszcze przed chwilą napawała lękiem. Zmieniła się raptownie, to już nie była twarz tego samego człowieka. Oczy rozwarły się w dzikiej grozie, usta rozchyliły się jak do krzyku, nawet włosy na brodzie zdawały się jeszcze bardziej zmierzwiene.

Doktor Humey zaczął się cofać tyłem ku drzwiom na korytarz, wyciągając przed siebie ręce. Zdumiona niespodziewanym widokiem nie zdążyła się rozejrzeć. Doktor Humey gestami wskazał jej wieszadełko, którego wpierw nie zauważyła, a na którym wisały fartuchy.

— Tam... — wykrztusił wreszcie — tam... w kotle... opaski... gaza, rękawice...

Fotem wykrzyknął rozkazująco:

— Zamykaj, prędzej zamykaj drzwi! Kto je u diabła otworzył?! Pociągnęła za klamkę, drzwi lekko się zamknęły. Patrząc na przerażonego lekarza zrozumiała, że z niewiadomych powodów jest chwilowo ocalona. Doktor Humey zadzwonił. Na progu ukazał się stary laborant tak szybko, jakby był tu gdzieś w pobliżu.

— Kto otworzył te drzwi? — a na nieokreślony gest staro-
go człowieka pytał dalej: — Kto stąd zabrał klucz?

Laborant wzruszył ramionami.

— Może wyleciał?

— Sami wiecie — zaczął „Naczelny” podniesionym głosem, po czym przerwał sam sobie: — Już dobrze, porozmawiamy jeszcze o tym. — I zwrócił się do stojącej w miejscu Amy: — Niech siostra zrzuci fartuch, o tak, na ziemię, rozpiąć guziki jak najmniej ich dotykając. Proszę to wziąć ostrożnie i zaraz zdezynfekować. Czy siostra nie wie, że tam się wchodzi tylko z opaską na ustach i w gumowych rękawicach? Nie, nie wie siostra? A prawda, siostra tam nie wchodzi.

Był widocznie mocno wzburzony, skoro o tym zapomniał. Laborant schylił się, wziął szczypcami fartuch, który Ama z siebie zdjęła, i zabrał się do odkręcania autoklawu.

— Proszę nalać siostrze lizolu do miednicy, żeby mogła porządnie wymyć ręce.

Stał mroczny, bez słowa, patrzył na laboranta, który odkręciwszy czerwony kurek wlał do miednicy gorącą wodę i potem wsypał do niej środek dezynfekcyjny. Widać było, że pragnie jak najprędzej wycofać się, nie odchodził jednak, jakby

miał jeszcze coś do powiedzenia. Nagle przypomniał sobie zastawiony stół, kolegów i kawę.

Musiał przecież do nich wrócić. Wskazał ruchem głowy drugą miednicę, zapasową, laborant zrozumiał go bez słowa. Zaczął starannie myć ręce, naciskając pedał, zmieniając wodę i obficie mydląc.

Oszłomienie Amy minęło, zdolność rozumowania wróciła jej w całej pełni. Niewiele mówiące poszlaki złożyły się nagle w jeden przerażający obraz. Nie można było wątpić. Wszystkie postanowienia, które powzięła nie dalej niż dwadzieścia minut temu, okazały się nagle bezsensowne.

Doktor Humey wytarł ręce ręcznikiem i wskazał Amie drogę przed sobą. Laborant został sam. Ama bez słowa poszła przed Humeyem wąskimi, białymi korytarzami. Statek ciągle kołysał, szli zygzakiem.

— Napijemy się czarnej kawy — powiedział „Naczelnny” otwierając przed pielęgniarzką drzwi do salki jadalnej, którą pół godziny temu opuścili, po czym nachylając się dokończył cicho: — Nie zamykaj drzwi swojej kabiny. Przyjdę do ciebie o jedenastej, po transporcie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTA

Przystanęła, idący za nią Humey zamykał jej jednak odwrót: musiała wejść. Nie mogła się już nawet odwrócić, nie mogła nic odpowiedzieć: salka była mała, wszystko było słychać. Krzyżeć, protestować? Ośmieszysz się. Było to najzupełniej bezcelowe, niczego się w ten sposób nie osiągnie.

Usiadła na swoim miejscu, steward podał jej filiżankę kawy. Przed biesiadnikami stały opróżnione już filiżanki, na talerzykach zostały tylko okruchy ciastek. Widocznie zjedli i wypili wszystko, co było do zjedzenia i wypicia. Przy stole panowało milczenie, prawdopodobnie dopiero co przestali o nich mówić. Potem zagadali wszyscy naraz, ale nad te zmieszane głosy wybił się bas doktora Humeya:

— No i po fochach!

— A my.— powiedział doktor Rose zacierając w zakłopotaniu krótkie rączki — ciągle jeszcze o Macu. Wyobraź sobie, że Mac Dane znał jego żonę.

— Duglasową? Tę rozwiedzioną? Ależ ona jest chyba o wiele starsza od doktora?

— Czy starsza? — rzekł Mac Dane. — Oczywiście, kiedy przychodziła do mojej matki jako mężatka w parę lat po ślubie, ja byłem ot taki...

W tej chwili na pastora, który nie odrywał oczu od Konstancji, spadło olśnienie. Słyszac o tych romansach i ożenkach pomyślał nagle: a gdyby się z Konstancją ożenił? Inaczej jej nie dostanie. Będzie zawsze wołała młodszych czy przystojniejszych. Ale któż z nich będzie mógł ofiarować jej bezcenny dar, który on jej przyniesie: święte ognisko domowe?

Nadawała się na żonę pastora jak mało która. Miała wrodzony takt, umiałaby się znaleźć w domu każdego, nawet najzamożniejszego parafianina. Akompaniowałyby lepiej na chórze niż ten stary niedołęga Ruthless, którego mu narzuciła Rada Zboru. Byłaby jego prawą ręką przy katechizacji dziewcząt.

Im więcej o tym myślał, tym bardziej go ta myśl urzekała. Przymknął na chwilę oczy: zobaczył ją przy sobie, zarzucała mu ręce na szyję. Usłyszał wtedy jej głos.

— I taką kobietę, milionerkę, generał Mac Arthur opuścił? Cóż za cudowna bezinteresowność!

Swoim zwyczajem podniosła oczy w górę, po czym z ukosa spojrzała na niego.

— Co panu jest księżu pastorze? Jest pan taki blady,..

Właściwie — myślała Arna — dlaczego nie miałabym iść do frontowego szpitala? Co w tym jest tak strasznego, że doktor Humey uważa to za najokropniejszą groźbę? Niebezpieczeństwo? Wyjeżdżając nie myślałam wcale, że robię wycieczkę dla przyjemności, tym bardziej że uparcie wmawiano nam, iż dla Koreańczyków nie istnieją umowy międzynarodowe. A komfort, dobre odżywianie, miękkie łóżko, o czym mówił doktor Humey? Nie jestem jeszcze w tym wieku, żeby mnie to miało nęcić. Wyższa pensja, stanowisko? Śmieszne, wszystko to jest dla mnie śmieszne. Kocham swoją pracę. Zapewne, muszę zarabiać, ale przede wszystkim chcę z pożytkiem pracować. Robić to, co uważam za godne człowieka. A przykładać rękę do tego, co tu się dzieje!

Nieprzytomnymi oczami rozejrzała się dokoła i doznała pewnej ulgi: nie napotkała wejrzenia doktora Humeya. Nie patrzył na nią. Zapomniano o niej, nikt się do niej z niczym nie zwracał, jakby jej tu wcale nie było. Sąsiadka jej, Konstancja, szeptała coś z pastorem, z daleka przyglądał im się Bollow. Znów doznała uczucia dziwnego rozdwojenia. Miała wrażenie, że jest niewidzialna, że jej wcale na tym miejscu nie ma. Nie spostrzegają jej, więc jej nie ma.

— Nawet siostra Ama musi przyznać — perorował doktor Robinson.

Wstrząsnęła się jak przebudzona z głębokiego snu, ale nie otworzyła ust. Zresztą słowa doktora Robinsona utonęły w ferworze dyskusji.

— Więc co, miał nie brać, jak mu samo lazło w ręce? — pytał doktor Mac Dane. — Nie bądźmy dziećmi i nie róbmy z siebie świętoszków. Człowiek na stanowisku ma możliwość załatwiania pewnych spraw, ot i wszystko.

— Nie ma się co dziwić — poparł go doktor Rose — że mały człowieczek, powiedzmy, no, wartości siedmiuset, a choćby i tysiąca dolarów, nie zakupi udziałów kopalni, gdzie potrzebne są setki tysięcy.

— To zresztą nie jest najważniejsze — powiedział z niesmakiem doktor Humey.

— Zapewne — podchwycił znów doktor Mac Dane — najważniejsza jest życiowa postawa człowieka. A tę miał zawsze bez zarzutu. Przypomnijcie sobie, panowie, choćby marsz na Waszyngton. Jakbyśmy dziś wszyscy wyglądali, gdyby nie zimna krew i rozwaga Maca? Niby to weterani, zgadzam się. Ale taki publiczny protest, złożony przez weteranów, odbiłby się tysięcznym echem w całym narodzie, usprawiedliwił tysiączne protesty, żądania, najdziksze zachcianki. Cóż z tego, że weterani? Weterani muszą się poddać ogólnym prawom, nie rościć sobie żadnych specjalnych pretensji. Toteż Mac nie zawahał się ani chwili. Zmobilizował wszystko, co było pod ręką, piechotę, kawalerię, ba, samoloty.

„Naczelnny" słuchał tego z pewnym znużeniem.

— No i co?

— Oczywiście powstrzymał ten marsz. Co tu gadać, to jedyny człowiek, któremu można było powierzyć takie olbrzymie zadanie, jak wojna w Korci. A Japonia?

Szpital frontowy to istotnie najlepsze wyjście — myślała dalej Ama. — W takim szpitalu nie ma tego zamkniętego kółka jak tutaj, gdzie wszyscy jesteśmy skazani na codzienne swoje towarzystwo. Nie jestem przecież żadną pięknością i w żąd-

nym innym środowisku doktor Humey nie zwróciłby na pewno na mnie uwagi, nawet gdybym z nim pracowała w jakimś szpitalu. Miałby swoją rodzinę, swoje środowisko, otoczenie, w którym mógłby, o ile by chciał, poszukać przygód. To tylko tutaj, w tym zamkniętym gronie, tylko w tych warunkach wydaję mu się interesującą osobą. Tam będę umundurowanym pracownikiem — uwolnię się wreszcie od tych niepotrzebnych w moich warunkach myśli o samej sobie.

Czyż to się jednak odbędzie tak gładko? Pielęgniarka miała już niejedną próbkę, jak w tym środowisku rozwiązywano różne zatargi. Jak przeminie ten wieczór, jak przeminie noc? Oczywiście Ama zamknie się na klucz w swojej kabinie, ale czy to wystarczy? Nikt nie będzie tak nieostrożny, żeby zdradzić się, że usłyszał krzyk, j gdyby była zmuszona wołać o pomoc. Każdy stara się nie słyszeć tego, co się tu dzieje nocą. Ama kochała dzień. Zstępujący zmierzch nie był jej nigdy miły, a zwłaszcza teraz, gdy nie spodziewała się spokojnej nocy. Morze jest wzburzone i serce bije niespokojnie, to zbyt dużo. W pełnym świetle dnia lepiej dałaby sobie radę.

Co znajduje się w tamtej zamkniętej zwykle kabinie? Ama nie miała wątpliwości: mogły tam być tylko kultury niebezpiecznych bakterii, jeżeli przy wchodzeniu do niej trzeba było zachowywać aż taką ostrożność. Nikt tam chyba nie miał dostępu prócz laborantów, żadna z siostr nigdy tam nie zaglądała.

Aż do tego popołudnia Ama nie zdawała sobie sprawy, że coś podobnego istnieje na statku. Z natury nie była ciekawa, a wobec licznych codziennych zajęć i konieczności dokształcania się nie miała nawet czasu. Sama była z natury dobra, więc nie podejrzewała w ludziach aż takiego zła, gotowa była siebie raczej karcić za zbytnią podejrzliwość.

— A ja mówię, że jest — usłyszała znów głos doktora Mac Dane. — Wyrzucić człowieka, usunąć ze wszystkich stanowisk to łatwo, moi panowie, to nie przedstawia żadnych trudności. Ale znaleźć tak prędko kogoś odpowiedniego na jego miejsce, to już, moi panowie, nie jest wcale takie łatwe, jak się z pozoru wydaje.

— Ja myślę — powiedział doktor Rose kręcąc młynka swoimi różowymi paluszkami — że to się zaraz odbije na froncie. W ogóle nasza sytuacja...

— Nasza sytuacja pozostaje ściśle taka sama jak i dotychczas.

Z Macem czy bez Maca posunęliśmy się tak daleko na północ, jak tylko mogliśmy się posunąć, to wszystko. W każdym razie tu, gdzie się teraz znajdujemy, mamy pełne bezpieczeństwo. Oddaleni od frontu tyle, żeby nie być narażonymi na ostrzał, jesteśmy jednocześnie dość blisko, by się móc zjawić na pierwsze wezwanie — mówił doktor Humey.

Jak zwykle, kiedy zabierał głos, wszyscy zamilkli. Doktor Rose kręcił ciągle młynka wielkimi palcami. Doktor Robinson zabawiał siostrę Konstancję, którą z daleka śledził pastor. Siostra Florencja wyciągnęła lusterko i zaczęła poprawiać szminką rysunek ust. Mężczyźni obojętnie palili.

Dla kogo ta deklamacja? — zapytał każdy sam siebie. — Wszyscy i tak wiemy, co mamy o tym myśleć. Dla tych kilku głupich dziewcząt?

— Nieprawdaż, księżę pastarze? — spytał znienacka Humey.

Pastor przełknął z pośpiechem ciastko, o mało się nim nie udławił, ale odpowiedział pośpiesznie:

— Niewątpliwie tak, panie dyrektorze.

Doktor Humey mówił z rozdrażnieniem dalej:

— Inczon, Inczon, toż to tylko część naszego wielkiego władania. Ludzie przechodzą i przemijają, ale idea państwa jest wieczna i niezmienna. Zostaliśmy przysłani dla wykonania bardzo poważnego zadania i to zadanie wykonamy, cokolwiek by się działo.

— Doskonale to dyrektor ujął — powiedział doktor Rose. Patrząc z uznaniem na „Naczelnego” i nachylając się do doktora Robinsona szepnął tak, że Humey musiał go usłyszeć: — Nadzwyczajna inteligencja.

Doktor Robinson głośno przytaknął, ale „Naczelny” udał, że tego nie słyszy. Jego ponura maska nie drgnęła nawet, jakby pochłonięty był śledzeniem jakichś w nim samym zachodzących przemian, nie zwracał uwagi na to, co się dokoła niego działo.

— A gdzie jesteśmy teraz? — spytał leniwie doktor Rose, zatrzymując na chwilę ruch pracowitych rąk.

— Wpinam codziennie szpilki na mapie — odparł doktor Mac Dane — i zawsze wiem, jak mniej więcej przebiega front.

— Ostatecznie wieki tu chyba stać nie będziemy.

— A czy tu źle? Byle mieć odpowiedni materiał...

— „Surowiec”, co? — podchwycił wesoło doktor Robinson.

— To nie żarty — zgromił go doktor Rose ukazując oczami pielęgniarki.

— Ameryka ponad wszystko powiedziała namaszczeniem siostra Florencja chowając lusterko do torebki.

Tymczasem Humey mówił dalej:

— Dla mnie sama istota konfliktu koreańskiego nie polega na różnicach ustrojowych. To raczej konflikt ideologii religijnej Wschodu i Zachodu.

— Słyszałem — doktor Luskin przyciszył głos — że działania wojenne przesunęły się niepokojąco w stronę Ham Dong.

— I cóż z tego? — spytał „Naczelny” marszcząc krzaczące brwi

— No jakże, ten ich słynny „iron triangle”*, kopalnie tungstenu niezmiernie rzadkiego metalu, niezbędnego przy wytopie wysokich gatunków stali. I to, psiakrew, tuż za 38 równoleżnikami! Oczywiście nie mam wątpliwości, że nie będziemy bombardować kopalni, ale to jest jednak niepokojące.

— Tak — powtórzyła muzyczna siostra Konstancja wznosząc ciemne, szeroko rozstawione oczy do sufitu — doskonale dyrektor t ujął. To jest przede wszystkim konflikt religijny.

Wstawali od stołu odsuwając z hałasem miękkie fotele. Ama usunęła się na bok, chciała przeczekać, aż wyjdą, nie chciała wychodzi pierwsza, żeby to nie wyglądało na ucieczkę. Szczęśliwie nikt się nią nie interesował. Siostry, udając, że mają jakieś ważne sprawy do omówienia, przeszły koło niej parami, zagadane, nie chciały wyraźnie stawać po jej stronie. Doktor Humey nachylił się z lekka i ujął pod ramię niewysokiego, szczupłego doktora Mac Dane. I oni przeszli koło Amy nie spostrzegając jej.

Doktor Ray Luskin zatrzymał się przy niej na chwilę, jakby chciał coś powiedzieć czy o coś spytać. „Biedna mała — pomyślał. — Nie jest jej tu chyba za wesoło, dokuczają jej. Jest za poważna. Niezbyt ładna i niewyfiokowana. Tu miejsce dla takich srok jak Florencja”. Przyszło mu na myśl, że mógłby z niej zrobić swoją asystentkę. Ale Ama źle sobie wytłumaczyła jego ruch. Usunęła się szorstko i wyszła. Poczul się zawie-

* *Iron triangle* — żelazny trójkąt.

dziony. Co jej zrobił? Doprawdy, dzień się nie układa.

Mac Dane przechadzał się z Humeyem.

— Chciałem ci powiedzieć, że raporty z lądu były zadowolające— powiedział Mac Dane, którego zadaniem było śledzić pracę laboratoriów portowych i być w kontakcie z sanitariatem.

— A jaki mieli ostatnio index pulex?*

--- Pięć.

— Ja to uważam za niebezpieczne. Nie byłoby wskazane, żeby, póki tu jesteśmy — wybuchła epidemia. Co innego po naszym odejściu, choć wolałbym i tego uniknąć. Przypominacie sobie, kolego, że w Tunisie w roku największej zarazy wskaźnik nie był bynajmniej wysoki, o ile pamiętam, nie przekraczał 3,9.

— Ba, przypomina sobie dyrektor zapewne, że w 1931 znaleziono na jednym szczurze 712 pcheł, ale ten szczur bił wszystkie rekordy.

— Ja już pięć uważam za niebezpieczny wskaźnik — powtórzył Humey. — A jak pracują? Byliście tam chyba przedwczoraj.

— Owszem, zaraz jakeśmy tu przybyli. Brygada deratyzacyjna pracuje jak zwykle. Widziałem ich zresztą w ostatniej fazie roboty, już zakładali trutki. Przewracali wszystkie leżące na brzegu stare lodzie, sięgali pod każdy kamień, nie ma co, pracują bardzo porządnie.

— W ostatniej fazie?

— Tak, zgodnie z najnowszymi zaleceniami, przynajmniej tak mi to referowali, nie zakładają bezpośrednio trutek. Trzeba wziąć pod uwagę, że szczur to stworzenie niezmiernie

* *Index pulex* — wskaźnik zapchlenia.

ostrożne, musi się przyzwyczać do miejsca i do pożywienia. Jednego dnia brygada zakłada zwyczajne, czyste kawałki chleba, po paru dniach sprawdza, czy są ruszone, i nie powtarza prób w miejscach, dokąd szczury nie przychodzą. Ale jeszcze i na drugi raz zakładają w wybranych miejscach czysty chleb i dopiero kiedy szczur przyzwyczai się stale znajdować w tej samej szczelinie jado, zakładają trutki chemiczne albo przyrządzone z cebuli morskiej.

— Tak, metody się zmieniają — powiedział Humey — ale ja tam jestem za traperskimi pułapkami, to zawsze najpewniejsze.

— Stosują i to, i to.

— Czy są porządnie wyekwipowani, mają wszystko, co trzeba?

— Owszem, nawet pomimo zniszczeń w porcie. Fartuchy, rękawice, szczypce, hermetycznie zamykane manierki do chleba, wszystko mają.

— Nie wiem, jakie zamiary ma nasze dowództwo, a nie chcę uprzedzać faktów, ale mała dywersja na tyłach byłaby Jednak moim zdaniem bardzo wskazana, nawet w obecnej fazie wojny.

— A swoją drogą — powiedział Mac Dane — taka wojna to prawdziwe błogosławieństwo dla lekarza. Gdzież mielibyśmy okazje wypróbować leki, które Pentagon zamawia w naszych fabrykach chemicznych? Można by było co prawda i w Stanach używać w tym celu skazanych na śmierć przestępców politycznych, komunistów...

— Nie na taką skalą — powiedział Humey — wojna daje o wiele większe możliwości, przy tym wyobraża sobie doktor, jaki wrzask podnieśliby komuniści? Ostatecznie to przecież biali. Zresztą, ilu my ich tam łapiemy?! Nasze sądy skazują

rocznie, no ilu, bo nawet nie wiem, kilkunastu czy kilkudziesięciu? A tu mamy wprost nieograniczone pole działania.

— Jak to się stało, że dziś dostajemy zaledwie paru?

— Zażądałem większej ilości, ale żandarmeria nie była o tym dość wcześniej powiadomiona i wszystkich więźniów rozstrzelała. Zwykły bałagan, a nieodżałowana szkoda. Zdaje się, że dziś będzie zaledwie sześciu czy siedmiu. Kazałem przysyłać również i kobiety. Doświadczenia dokonywane wyłącznie na mężczyznach nie byłyby miarodajne.

— Teraz to już będzie szło, sam interweniowałem w porcie, za kilka dni prześlą większą partię. Wolę jednak przyjąć tymczasem tych, których mają. Zresztą to nie pójdzie tak prędko. Powiedzmy, że jeszcze dziś wieczór poddamy ich ukąszeniom...

— Zależy, o której przybędą.

— Myślę, że trzeba wysłać szalupę do portu zanim się ściemni.

— A tu mocno kołysz. Wracając do rzeczy — okres inkubacji trwa trzy dni, potem od razu powinny nastąpić pierwsze objawy. I w takim razie z tych pierwszych postawiamy troje nie leczonych, a trojgu dajemy preparat nr 45.

— Nr 45? To firma Lederly?

— Nie, Park & Davis, Chicago. Przysłali prototypy seryjnych lekarstw nr 45, 48 i 202,

— Pastyłki.

— Tak — roześmiał się doktor Humey w gąszcz brody — cała farmaceutyka amerykańska jedzie teraz wyłącznie na pastylkach. Można by jednak przyrządzić maść 5-procentową albo 20-procentowe zastrzyki.

— Nie rozpraszajmy się. To już będzie dalsza sprawa. Więc preparat nr 45 może pójść na pierwszy ogień, bo fabryka

sama miała tu najwięcej wątpliwości — proponował doktor Mac Dane. — Będziemy teraz mieli roboty pa uszy. Przede wszystkim szczegółowa obserwacja: skuteczność, dawkowanie.

— A czy kazałeś Florencji przygotować pudełka?

— Och, to leń — powiedział Mac Dane, ale się uśmiechnął.

— Wojna bakteriologiczna ma jedną dobrą stronę...

— Tylko jedną?

— Przede wszystkim może być prowadzona w najzupełniejszej tajemnicy: pchły, muchy i mrówki są wszędzie, to nie zwróci żadnej uwagi.

— Dodaj jeszcze, że jest o wiele tańsza, a niszczą ludzi nie niszczy zupełnie dóbr materialnych, czego bynajmniej nie można powiedzieć o brutalnych bombardowaniach i pożarach. Wymarzony środek, jeżeli idzie o kraje mało uprzemysłowione, a nadające się do eksploatacji z powodu swoich bogactw naturalnych. Ja wojnę bakteriologiczną uważam za wojnę przyszłości. Ludzi, ludzi przede wszystkim trzeba wyniszczyć szczególnie w krajach kolonialnych, żeby mogła zapanować silniejsza i rozumniejsza rasa.

— Powoli, powoli. Widać jeszcze nie pora. Rozmawiałem przed wyjazdem z Roseburym, na razie nie ma mowy. Jesteśmy ciągle w okresie przygotowawczym. Ale moim zdaniem ten okres minie prędzej, niżby się kto spodziewał, i dlatego przedwstępne badanie w terenie jest szczególnie ważne. Kiedy strefa zakażona przetnie cały kraj, nie będzie już mowy o dostawach dla wojska i życie będzie powoli zamierać.

— Ha, ha — roześmiał się doktor Mac Dane — wyobrażam sobie te miny! Sam moment zaskoczenia jest niezmiernie ważny. Któż się orientuje, jakie nauka amerykańska zrobiła

postępy od czasu pierwszych, nieśmiałych doświadczeń japońskich? O, taki Luskin, gdyby chciał, mógłby dużo opowiedzieć. Przyciśnij go kiedy. Bo ja to już raczej od strony praktycznej, od fabryki, od podwórza — dobrodusznie śmiał się dalej Mac Dane.

— Luskin? Dajże pokój, to był bardzo nieszczęśliwy wybór. Ja go nie znałem, to Rosebury się uparł, ale mam wrażenie, że tylko z powodu jego prac naukowych. Dziś przy wyborze człowieka trzeba bardzo uważać. Boję się, że z Luskinem będzie jeszcze bieda.

— Mówimy o zmianach — ciągnął dalej doktor Mac Dane — weź choćby bombę Ishii. To już nie porcelana jak w jego pierwszych koncepcjach. To za ciężkie, za kosztowne, dużo owadów ginęło przy rozprysku. Kiedy Mac sprowadził generała Ishii Shiro na Koreę, mogliśmy się dużo od niego nauczyć. Byłem przy próbach z nowym materiałem, z celuloidem. A to wszystko ogromnie przyspieszyłoby koniec wojny. Co tu się z nimi cackać? Ale. tymczasem wracajmy do naszych spraw, bo Park po powrocie uszy mi oberwie. Więc preparat nr 45?

— Ja się zgadzam — powiedział z szerokim uśmiechem doktor Humphrey Humey i mocniej przycisnąwszy ramię doktora Mac Dane skierował się z nim ku laboratorium.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ama nie chciała pytać o Dobreya, po cóż zwracać uwagę na niego i na siebie samą. I tak nie miała wątpliwości, że ich powinowactwo i rzadkie rozmowy nie były tajemnicą dla

władz statku. Ktoś tu był wśród załogi, kto się bacznie przyglądał współtowarzyszom i niezwłocznie informował dowództwo o wszystkim, co zauważył. Dobrey utrzymywał, że to był Sven. Postanowili rozmawiać ze sobą jak najrzadziej, żeby nie budzić podejrzeń, które mogłyby przeszkodzić zamiarom Johna. Ale to, co się tu działo, było zbyt ważne, nie podobna było milczeć.

Ama wzięła pudełko z przyborami do szycia i usiadła w palarni na widocznym miejscu, by nie ulegało żadnej wątpliwości, że się z niczym nie kryje i do nikogo nie śpieszy. Nawykła do roboty — zręcznie trzymała igłę, choć łapała siebie na bezczynności: płótno często wypadało z rąk na kolana, a palce nieruchomiały. Trzeba się opanować. Ale z tych, którzy mogli ją obserwować, nikt tam nie zaglądał. Siostry i lekarze przechodzili obok nie zwracając na nią uwagi.

Kiedy osądziła, że dość już odgrywania komedii, poszła szukać Dobreya. Zeszła aż do kubryku załogi. Wiedziała, gdzie John sypia, uchyliła więc cicho drzwi. Ale w sypialni nie było Johna, natomiast na środku stał odwrócony tyłem Sven, kiwając się w takt przechyłów statku, jakby nad czymś medytował.

Zamknęła bezgłośnie drzwi. Dobrze, że jej nie zobaczył. Usłyszała jeszcze jego głos: halo, kto tam? Drzwi znajdowały się tuż za zakrętem korytarza, przywarła ciasno do lakierowanej ścianki, nie mógł jej ani usłyszeć, ani dostrzec, choć za nią wyjrzał. Widocznie miał tam jednak jeszcze coś do roboty, bo zaraz się cofnął.

Zbiegła na dół, spuściła się po trapie do ciemnego wnętrza okrętu, poczuła na twarzy ciepły oddech maszyn i zapach oleju. Choć kotwica trzymała statek na redzie, pracowały agregaty, pracowały chłodnie. Przechyliła się przez pajęczą poręcz. Jakże się bała, kiedy pierwszy raz zeszła — było ich

parę ciekawskich — żeby zobaczyć pracę maszyn! Chodziło się po żelaznej pajęczynie, tak tylko można to było nazwać. Nie było tam podłogi, tylko rzadkie stalowe pręty, a gdy robiło się gorąco, marynarze usuwali rozłożone na prętach maty, żeby nie utrudniać wentylacji.

Pamięta, jak po raz pierwszy zobaczyła Johna, młodego mężczyznę o końskiej, za długiej nieco twarzy i dziecięcym spojrzeniu oczu. Fotografię jego oglądała wielokrotnie w męzkim domu. Poznała od razu tego włóczykija, którego paliła ziemia rodzinnej Kalifornii i który nie mając jeszcze lat osiemnastu zaokrętował się na pierwszy lepszy statek. Z rzadka tylko dochodziły o nim wieści do rodzinnego miasta. Bywał na wozie i pod wozem. Ale czyż nie był nawet kapitanem jakiegoś małego przybrzeżnego trampa,* który obijał się z drobnicą wzdłuż Półwyspu Skandynawskiego? Czasami przysyłał im egzotyczne zdjęcia, niekiedy nawet małe podarunki. I oto niespodzianie stoi tu pod wentylatorem, który wygląda z daleka jak rozkrojony plaster miodu, niedaleko wodowskazu, chronionego przed rozbiciem czterema kryształowymi, zielono opalizującymi szybami.

— Więc to jest Ama — powiedział wtedy John Dobrey ukazując w uśmiechu trochę za długie zęby, a potem dodał idąc za jej wzrokiem w kierunku wodowskazu: — Woda musi grać, bo jak stoi martwa, trzeba zaraz szukać, co tam jest...

Od razu nabrała do niego zaufania. Był zawsze dokładny i rzeczowy. Poczęstował ją papierosem. Nie paliła. Zaśmiał się.

— A ja tak po hajcersku...

Mówił o świecie, który zwiedzał, mówił też o Ameryce. Ale nie rozmawiali wiele ze sobą. Bali się. Było za dużo tematów. Dla Amy, która dotąd nigdzie nie wyjeżdżała i dla której

**Tramp — statek handlowy — włóczęga żeglugi przybrzeżnej.*

nie istniał świat poza czterema ścianami rodzinnego domu — było tego za wiele. Samobójstwo męża, który nie zniósł długoletniego bezrobocia, dzika, nedorzeczna wojna, której po raz pierwszy w życiu mogła się z bliska przypatrzeć.

Teraz Ama nie znalazła Johna, słyhać było tylko miarowe kroki wachtowego. Cofnęła się i wbiegła po grytyngach* na górę. Statek jest tak wielki, że mogą się nawet przez parę godzin nie spotkać.

Wróciła na swoje miejsce w palarni, ale czuła się zbyt niepokojna, żeby się czymś zająć. Było tu teraz zupełnie pusto, widocznie wszyscy odpoczywali. Zmierzchało się, jednakże nie zapalono jeszcze lamp. Ama siadła przy jednym ze stolików umieszczonych koło okna i przytuliła twarz do szyby. Szkło było twarde i chłodne.

W widmowym, sinym zmierzchu widać było fale zbliżające się i co chwila ginące gdzieś pod kadłubem okrętu. Gdyby nie milczenie maszyn, mogłoby się zdawać, że statek płynie. Podchodziła wysoka fala, obniżała się środkiem, zsypując w przód białą pianę albo podrzucając ją nonszalancko w tył i naprzód na ościstym grzbiecie, i przepadała gdzieś pod dnem okrętu, wprawiając go w posuwisty ruch.

Gdzieś za chmurami zachodziło słońce, krajobraz znie-nacka zabarwiał się kolorem czerwonej kapusty. Koło burty wznosiło się i opadało stado mew, jak samoloty w akrobatycznych figurach podczas lotniczego święta. Kucharz wyrzucił widać resztki z obiadu. Mewy pikowały gwałtownie, wyciągając naprzód koralowe nogi, jakby szponami chciały zagarnąć całe morze w swoje wyłączne posiadanie. Chwyciwszy zdobycz odbijały się z pluskiem od fali, ich ciemne, tępe, wyraźnie

* *Grytyngi — drabinki.*

odmiennym kolorem ubarwione głowy zdawały się należeć do innych ptaków i fruwać oddzielnie, bez kadłubów, których jasne barwy zlewały się z siniejącym horyzontem.

Ama ujrzała Dobreya, jak szedł pokładem obok palarni, zaglądną do okienek. Teraz i on zobaczył policzek, z lekka uniesiony i przyklepiony do szyby. Nie odezwał się, odwrócił tylko głowę, powiódł oczami po pustym pokładzie i nie patrząc na Amę zastukał palcem w szybę.

Wstała i przytrzymując się mebli wyszła z palarni. Mżyło, szybko biegnące kropelki kłuły jak szpileczki. Nad nimi roztaczało się niebo. W mieście widzisz je kawałkami, tu rozpościerało się olbrzymie, całkowite, w każdym miejscu inne, jak scena, na której każdym skrawku coś się dzieje.

John przeszedł pokładem, zszedł w dół po schodach, potem ślizgał się po pochyłych deskach pokładu ściemniałych i mokrych od kłującego deszczu. Szła za nim jak automat. W pewnej chwili przecięła jej drogę siostra Florencja, trzymała w ręku dzbanek. Zagadała żywo i Ama poczuła, jak na jej własne wargi wybiega konwencjonalny uśmiezek. Dobrey wyminął zakręt, Ama poszła dalej.

Znaleźli się za załamaniem nadbudówki, na które otwierały się drzwi maszynowni, osłaniając je od reszty świata. Zwisające płótna tworzyły na nim rodzaj daszku. Przewiewnie, a niby trochę cieplej. Tam John Dobrey stanął.

— Chciałem się z tobą pożegnać — powiedział — już tu nie będę nocować.

— Jak się stąd wydostaniesz? — spytała. Poczuła nagłe ogromne znużenie. Przecież go nie zatrzyma, trzeba będzie zostać samej i stawić czoło wszystkiemu, co się tu ma stać, a to było ponad siły jednego człowieka.

— Za długo gadać — mruknął. — Karl miał dać znać, sama widzisz, że go nie złapali, Bollow się miota, a niczego się nie może dowiedzieć.

— A jeżeli go złapią wieczorem?

Wzruszył ramionami.

— To wtedy będziemy się martwić. Wiesz, co jest najważniejsze? Błyskawicznie zmienić plan. Dostosować go do nowych warunków. Wyciągnąć korzyści z najdrobniejszych, prawie nieuchwytnych szczegółów. Tak przynajmniej ja to rozumiem. — Uśmiechnął się i dodał: — I ja też zmieniłem plan, dowiedziałem się, że wieczorem ma być pierwszy transport chorych. Wyślą mnie pewno po nich do portu. I wtedy ucieknę. No, po prostu nie wrócę z nimi.

— Ale czy to możliwe?

— Owszem, to jest w zasadzie możliwe. Gdybym trafił do robotników portowych... Oni są strasznie wyzyskiwani, można by się z nimi dogadać. Jedno mnie tylko niepokoi: ty. Nie chciałym, żeby matka miała do mnie pretensje, że cię nie pilnowałem -- i pokazał długie zęby w nieśmiałym uśmiechu.

— Jeżeli niepokoisz się o mnie — powiedziała porywczo, bez namysłu — to słusznie się niepokoisz.

Nie dodała, że potrzebuje obrony, pomocy. Byłoby to naiwne i głupie. Nikt jej nie mógł obronić, nikt jej nie mógł pomóc. Ale w głębi duszy jakoś nie traciła nadziei. To wszystko tutaj zamierzone i straszne nie mogło się dokonać. Nie niosła też opowiedzieć Johnowi o Humeyu. To już była uboczna, jej własna sprawa, z której wcale nie była dumna. Mówiąc o niej do tego młodego mężczyzny miałyby wrażenie, że się chwali czymś bezecnym.

— Dlaczego? — spytał będąc o sto mil ód jej myśli. — Na brzeg cię nie puszczą, to robota dla mężczyzn. Wyślą jednego

czy dwóch sanitariuszy, to wszystko. Nie wiesz, kto ich ma zdawać?

— Owszem, wiem, mówili o tym przy stole. Żandarmeria.

— Żandarmeria?

Teraz i ona zamilkła. Wokoło nich nie ustawał odgłos jakby trzepania mokrych, niewidzialnych prześcieradeł. Teraz przyłączył się do tego odgłos szamoczącej się na uwięzi zasłony. Rzeczywiście, jakże to, żandarmeria będzie zdawać chorych?

— Wieczorem może być burza — powiedziała Ama i wzdrygnęła się.

— To mi tylko ułatwi ucieczkę — mruknął niedbale Dobrey, ale zaraz zmarszczył wielkie brwi — niepokoi mnie raczej ta żandarmeria. Odkąd to żandarmeria przekazuje chorych?

— A ja widziałam... — zaczęła Ama.

— Czy to ty prowadziłaś korespondencję?

— Owszem, umiem pisać na maszynie, a że my, pielęgniarki, nie mamy nic do roboty i zachorowała sekretarka, „Naczelnny” rozdzielił między nas funkcje biurowe.

— No i co, czy dawno trwa korespondencja w tej sprawie? Dlaczegoś mi o tym wpierw nie powiedziała?

— Wiesz, bardzo trudno jest od razu zorientować się we wszystkim. Dopiero jak już wszystko jest jasne, człowiek koordynuje szczegóły i wie, że one od samego początku tworzyły pewien obraz, ale wyodrębnić je od razu to za trudna sprawa. Pisałam pewne listy, ale nawet nie po kolei, więc gubiłam niektóre ogniwa, a potem nie zastanawiałam się, co one oznaczają. Niektóre rzeczy były szyfrowane, te wysyłał Bollow.

— I jak to wyglądało?

— Dokładnie już nie pamiętam, bo przecież pisałam w tej sprawie jeszcze, zanim stanęliśmy na redzie, a nawet i wcześniej. Mam wrażenie, że to musiało być uzgodnione, w każdym razie w jednym z ostatnich listów była mowa o tym, że oczekujemy „specjalnego transportu” i że wszystko jest przygotowane. Ponieważ lekarze otrzymują tu samolotami rozmaite leki, więc myślałam, że i tym razem o to chodzi. Przecież i niektóre zapasy środków opatrunkowych też musimy uzupełnić. Rozumiesz, nic nie wskazywało na to, że chodzi o ludzi.

— A teraz widzisz, że chodziło o ludzi?

— Bo skojarzyłam to z żandarmerią, chociaż i teraz możemy się mylić.

— Myślisz, że się nie mylimy?

Bez słowa pokręciła przecząco głową. Widziała teraz tuż koło siebie jego twarz i oczy przysłonięte do połowy długimi rzęsami. Niebieskie tęczęwki jaśniejsze były ku obwodowi, żółtawe białka — poprzecinane w kącikach, drobniutkimi, czerwonymi żyłkami. „Rzęsy to chyba jedyny ładny szczegół w tej twarzy” — pomyślała. Oczy utkwione były w lakierowane deski pokładu z wyrazem skoncentrowanej uwagi.

— Dlaczego?

— Bo zobaczyłam...

Odetchnęła głęboko, jak dziecko przed jakimś wyznaniem.

— Zobaczyłam... Przypadkiem otworzyłam drzwi do laboratorium, które zwykle były zamknięte... stały tam specjalne naczynia metalowe służące zazwyczaj do przechowywania gwałtownie działających trucizn czy bakterii. Na tych naczyniach nie było żadnych napisów, nic prócz malowanych farbą numerów. Ale najbardziej podejrzana była reakcja Humeya, no

„Naczelnego”. Przeraził się, jakby śmierć zobaczył. Tak się zmieszał, że sam nie wiedział co robić, Najpierw rzucił się do autoklawu, kazał mi wziąć opaskę na nos i usta. Mamy takie, wiesz, przepojone specjalnym dezynfekcyjnym płynem, który zabija drobnoustroje. Kazał mi też wziąć gumowe rękawiczki. Potem, kiedy już zamknęłam drzwi, zawołał laboranta, kazał zdezynfekować mój fartuch, a sam mył się potem z go-dzinę!

— A szczury?

— Szczury są w kotle... Pokazywałam ci przecież z daleka, tego nam także nie wolno dotykać. I pchły...

— Nie boisz się? — spojrzał na nią badawczo.

Znów potrząsnęła głową.

— Nie. Przypuszczam, że on się tak przeraził na myśl, że inni też tam wchodzili. Chciał temu zapobiec na przyszłość, zląkł się też trochę o siebie. On często odgrywa takie komedie, przybiera dobroduszne tony jak nasz pastor i robi z siebie pocziwca. To niebezpieczny człowiek, nigdy nie wiadomo, co właściwie myśli.

— A ja myślę — powiedział po chwili Dobrey — że Amerykanie wraz z japońskimi dywizjami przywieźli także japońskie metody. Nie zaniedbują niczego.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytała ze zmarszczoną brwią.

— Chcę powiedzieć, że tu się przygotowują jakieś bakteriologiczne świństwa, które mają być próbowane na żywych ludziach.

— O, Boże — wykrzyknęła Ama — Amerykanie?!

Milczeli przytłoczeni grozą tego, czego się od dawna spodziewali. Potem Dobrey znów zaczął mówić:

— Amerykanie, Amerykanie, i cóż z tego? Ja jestem Amerykaninem i ty jesteś Amerykanką, a czyż nie wierny, do czego są zdolni nasi rodacy? Czyż ja nie musiałem uciekać z kraju, czy twój mąż nie został pozbawiony pracy i doprowadzony do samobójstwa, czy ty sama nie musiałaś podjąć się zajęcia tak niebezpiecznego i tak wyczerpującego tylko dlatego, że póki Grzegorz żył, jako mężatce groziło ci wyrzucenie z pracy, bo pielęgniarzka nie może mieć ani męża, ani dzieci? Czyż nie wiesz, że kapitalizm jest do wszystkiego zdolny

A kiedy milczała, pytał dalej:

— Przecież sama mi mówiłaś, że hodują pchły. bo inaczej po cóż by trzymali szczury? Teraz trzeba tylko dowiedzieć się, czy te szczury są chore. Myślę, że tak, bo inaczej nie otaczałoby tego wszystkiego taką głęboką tajemnicą i tyloma ostrożnościami, ale czy ukąszenie takiej pchły jest zawsze śmiertelne?

Złożyła ręce.

— Śmiertelne? Dżuma nie jest nieuleczalna, naturalnie jeżeli nie chodzi o jej odmianę płucną, bo ta jest śmiertelna niemal w 100 procentach. Ale ukąszenie zarażonej pchły nieuchronnie sprowadza dżumę.

— Nieuchronnie?

— Tak. Czytałam o tym, mogę nawet powiedzieć, że trochę studiowałam to zagadnienie. Zanim tu przyjechałam, chciałam wiedzieć, z czym się zetknę. Pchła jest specjalnie zbudowana, szczególnie jej żołądek. Ma on rodzaj komory czy fałdy przedżołądkowej, zwanej proventriculus, i ta komora bywa czasami tak zapchana bakteriami, że pchła pomimo odczuwanego głodu nie może przełknąć więcej krwi.

W tym proventriculus znajdowano nierzadko do 50 tysięcy bakterii dżumy, a jedna bakteria wystarcza, żeby zakazić szczura.

— Ohyda — powiedział Dobrey. — Podobno są różne rodzaje pcheł.

— To prawda — odrzekła — ale wszystkie one mogą zmieniać żywiciela i w braku szczura rzucają się na człowieka.

Znów zapanowało między nimi milczenie, które po chwili przerwał Dobrey.

— Prowadzącym wojnę bakteriologiczną chodzi nie tylko o to, żeby zniszczyć wroga, ale również i o to, żeby oszczędzić własnych ludzi, może więc tutejsi lekarze chcą wypróbować jakieś lekarstwo? Czy są jakieś chemiczne lekarstwa?

— Owszem, są. Można używać preparatów sulfapirydynowych i sulfatiazolowych. Ach! — wykrzyknęła — już rozumiem. Doktor Humey otrzymuje ciągle jakieś przesyłki z fabryk chemicznych.

— Zapewne chciałby sprawdzić działanie nowych leków — uzupełnił Dobrey — i szuka do tego sposobności. Proces w Chabarowsku niczego ich nie nauczył. A teraz przypomnij sobie, czy nie czytałaś gdzieś o doświadczeniach przeprowadzanych i w innych wypadkach na żywych ludziach?

— Owszem — powiedziała Ama szukając w pamięci — uczeni wystawiali się własnowolnie na ukąszenia komarów, by zbadać działanie malarii...

— Tak, ale to byli inni, prawdziwi uczeni, którzy nie wahali się poświęcić swego zdrowia i życia dla ratowania ludzkości od trapiącej ją plagi i jak sama mówisz, dokonywali tych doświadczeń własnowolnie i na sobie samych. Postaraj się przypomnieć jednak inne próby.

— Ludwik Pasteur — powiedziała wahająco — umierając zapisywał objawy, które na sobie obserwował...

— Dobry geniusz ludzkości, zapadłszy na ciężką chorobę, chciał z niej wyciągnąć naukę dla swoich bliźnich. No, kto jeszcze?

— Mam! — zawołała Ama. — Czytałam o doświadczeniach doktora Liston w Bombaju.

— Mianowicie jakie?

— Zamknął on w opróżnionych barakach tubylca, Hindusa, a potem każdego dnia liczył pasożyty, które na nim znajdował.

— Jakże się to liczy, żeby samemu nie zostać obskoczonym?

— Och, widziałam takie rzeczy. Bierze się po prostu małeńki pędzelek, który się macza w chloroformie, i zdejmuje się nim pasożyty ze skóry człowieka. Nawet pamiętam cyfry, bo pomimo że doświadczenie nie skończyło się żadną katastrofą, wydało mi się nieludzkie. W pierwszym dniu profesor Liston znalazł na nieszczęsnym Hindusie 40 pasożytów rozmaitego rodzaju, drugiego dnia znalazł 55 ludzkich, 51 szcurzych i 7 kocich, trzeciego dnia 40 ludzkich, 36 szcurzych i 2 kocie. Przypuszczam, że go potem zwolnił, bo zapewne chodziło mu tylko o przekonanie się, czy pasożyty przechodzą do innych żywicieli.

— No, oczywiście — powiedział Dobrey — przedstawiciel wyższej, anglosaskiej rasy nie zawahał się poddać tym wstrętnym próbom ciemnoskórego. A ty nie chcesz w to wierzyć.

— I co teraz będzie? Więc tu, na statku, ma się dokonać tak okropna zbrodnia, a my będziemy spokojnie na to patrzeć?

A prawda — powiedziała z rozpaczą — ty nie będziesz na to patrzeć, bo uciekasz.

— Nie uciekam, chcę walczyć z bronią w ręku.

— Ci ludzie są pierwsi — powiedziała namiętnie — ci ludzie są pierwsi. Nie mogę myśleć o tym, że to się stanie w naszej obecności i że nie zrobimy nic, żeby temu przeszkodzić.

— Ale jak?

Znów załamała rękę.

— Ja... ja nie wiem... Oni są silni. Ich jest wielu. Co możemy zrobić?

— Posłuchaj, Amo — rzucił nagle, jakby uderzony jakąś myślą — będę próbował. Powiedziałem ci już, że mam nadzieję dostać się wieczorem do portu. Może się uda sprowokować jakieś zamieszanie i ułatwić im ucieczkę. Czasami to przeszkadza, jak jest więcej ludzi, ale czasami może pomóc.

Wyciągnęła do niego rękę:

— Gdybym się mogła na coś przydać!

— Nie mnie, im. Już się przydałaś, bo przecież patrzysz i mówisz.

— A ty? Pomagając jeńcom narażasz siebie jeszcze więcej.

— Och, ja — powiedział i roześmiał się z cicha — och, ja...

— A potem powiedział: — A teraz rozejdźmy się, żeby nas ktoś nie zauważył. Dam ci jeszcze znać. Gdybyż to naprzód wiedzieć, ilu ma być chorych, kim oni są? A może się w ogóle mylimy?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Rzekomi chorzy już w sobotę wieczorem byli dostawieni pod silną strażą do Inczonu i zamknięci w niewielkim budynku drugiej linii portowych składów. Budynek był masywny, zbudowany ze sporych, niezgrabnych, kamiennych sześcianów. Jedyne okno, głębokie jak strzelnica, było zakratowane. Więźniowie mieli kajdany na rękach, nogi ich były skrępowane łańcuchem. Ścisłe w myśl instrukcji. Pilnowali ich na zmianę dwaj tępi Filipińczycy, których bezmyślne twarze nic nie wyrażały.

W ciągu dnia więźniowie dostali nieco fasoli, dzbanek z wodą stał w rogu izby, ciężko tylko było po niego sięgnąć. Dwóch spośród nich miało wyrwane paznokcie przy badaniu, nie mogli poruszać rękoma. Ok Lan, jedyna między nimi dziewczyna, musiała ich poić jak dzieci, choć każdy ruch ramię sprawiał jej niewysłowione męki: plecy miała poranione, z nie wygojonymi bomblami od oparzeń. Kiedy ich napoiła, siadła na brudnej, zleżałej słomie. Chłód kamiennych ścian działał łagodząco na oparzelizny, bała się tylko oprzeć, żeby wstając nie zostawić tam skóry. Delikatny owal jej twarzy odcinał się jasną linią od kołnierza munduru.

Zmierzch już zapadł, potem noc, ale jak i wczorajszego wieczora więźniów pozostawiono bez światła. Wyłącznik był na zewnątrz, nie mogli sami do niego sięgnąć. W mroku, który gęsto wypełniał kamienną izbę, odcinała się jasna plama — głowa chińskiego ochotnika Lu Czen-minga. Miał on na sobie mundur bez żadnych dystynkcji i wysoki kołnierzyk, zapięty pod samą szyję. Ciemności izby i ów mundur sprawiały, że jego blada twarz o wystających kościach policzkowych i głębokich, nieco skośnie ustawionych oczodołach, zdawała się wisieć w przestrzeni, a światło rozjarzających się raz po raz błą

skawic nadchodzącej burzy upiornie wydobywało ją z ciemności.

— Na ciebie kolej — powiedział — u nas w armii urządzi się takie wieczory biografii, każdy opowiada o sobie. Koledzy, którzy byli w wojsku, opowiadali, że wielu żołnierzom Czan Kai-szeka wystarczyło usłyszeć, co mówią nasi bracia, wystarczyło nawet, gdy sami opowiadali o swoim życiu, by bez żadnego przymusu przejść do nas.

Zawieszona w powietrzu głowa twardo skandowała wyrazy, krótkie słowa oddzielone były długimi, dłuższymi niż u ludów Europy przestankami, gardłowe spółgłoski kanciasto przechodziły przez wąskie, bezkrwiste wargi,

— Biografia? — spytał Li Don-chen. — Czemu używasz takiego słowa?

— No, co robiłeś w życiu?

— Byłem chłopem — poprawił się — jestem chłopem. Dostałem od rządu ziemię, którą obszarnik zabrał mi przedtem za długi, dostałem nawet więcej.

— Ile dostałeś? — zainteresował się Coj.

— Cztery tysiące trzysta pchen — rzekł z dumą Li.

Coj gwizdnął z uznaniem.

— Nieźle.

— Zabrałem się zaraz do pracy, bo dostałem też byka, ziarno do siewu i trochę nawozów.*

— My czyściliśmy kany** na wiosnę i używaliśmy tłustych sadzy jako nawozu — Coj przyczołgał się bliżej.

— A co ty myślisz, że my nie? Ho, ho, w dobrym gospodarstwie nic nie ginie! Przywoziłem ił z dna rzeki, paliliśmy

* *Koreańczycy nie używają nabiātu, a bydło rogate hodują jako zwierzęta pociągowe.*

** *Kany — przewody ciepłne pod podłogą chaty.*

trawę i chwasty. Matka była jeszcze wtedy zdrowa i koszami wynosiła nawóz na pole. Czy uwierzysz, że potrafiła wtedy przenieść 3 000 koszu? Liczyła je i była z tego bardzo dumna. Potem wychodziła ze mną do orki, jak Wszystkie nasze kobiety. W pięć dni zaoraliśmy całe pole.

— Całe? — spytała Ok Lan. — Musieliście się dobrze zmachać!

— Cała wieś pracowała razem, wszyscy sobie wzajemnie pomagali.

— Sialiście i kukurydzę?

— Ma się rozumieć.

— Nocą — zaśmiał się z cicha Coj.

— Przy księżycu, żeby zdążyć. W dzień sialiśmy czumizę, gaolan i proso. Ho, ho, nie było czasu na odpoczynek, choć dmuchał zimny wiatr i wiosna wcale nie chciała przyjść. Nad nami powiewały wesoła kolorowe flagi. Gdzie potoczyłeś okiem, widziałeś szerokie kapelusze i białe ubrania ludzi, którzy nareszcie mogli pracować na swoim. Ech, bracia, dobre to były czasy!

Zamilkł na chwilę, jakby wspomnienie wesołych czasów siewu przeleciało gołębiem przez zakratowane okno i dotknęło go swoim skrzydłem.

— A potem?

Zasępił się.

— Potem? Wiadomo, co było potem. Urodzaje mieliśmy dobre, nigdy jeszcze nie pracowaliśmy tak, jak tamtej wiosny. Ale przyszła zima — i jeszcze się nie skończyła, kiedy przyszła wojna. Matka mi się rozchorowała, nie mogła uciekać ze mną w góry. Leżała na kania pod oknem, opiekowałem się nią, jak mogłem najlepiej. Ale wtedy wtargnęli do naszej wsi amerykańscy zbrodniarze i wypędzili mnie z domu, nie dali zabrać

matki. Popędzili nas po długiej, nic kończącej się drodze. Potem dowiedziałem się, że spalili całą wieś, w mojej chacie spalili mi matkę. Więc myśmy tak szli, a ze wszystkich wsi przyłączano do nas tysiące i tysiące wygnanych jak my ludzi z żonami i małymi dziećmi. Tak doszliśmy do morza. Znasz Czangien?

Głowa chińskiego ochotnika wykonała ruch przeczący. Drugi Koreańczyk, leżący opodal w słomie, powiedział leniwie:

— Ja znam.

— No to właśnie tam doszliśmy, nie opodal Czangienu. Stopy mieliśmy okrwawione, kobiety ledwo się wlokły, dzieci, uwiązane na plecach, ciążyły jak ołów. Niosłem dziecko jednej kobiety, ale umarło mi na rękach. Rzuciła się w piasek, powiedziała, że też chce umrzeć. Ludzie leżeli pokodem na zmarzniętym brzegu, usta ledwo łapały powietrze. Wtedy amerykańscy żołdacy zaczęli ich spychać żerdziami z urwistego brzegu do wody. Nie wiem, jak znalazłem siły, żeby się odczołgać nieco w bok i lec bez ruchu za diuną. Potem morze wyrzuciło trupy. Było ich tysiące.

Ok Lan odwróciła się, leżała teraz na brzuchu w mokrej słomie, której nie było gdzie usunąć. Podparłszy rękami wąską twarz patrzyła nieruchomymi oczami na rozmawiających.

— A ty skąd jesteś? — spytał drugi z chłopów koreańskich, Coj Sek-won.

— Z Dairenu. Słyszałeś o takim mieście? Ze stalowni.

— Gdzie to leży, daleko od granicy?

— Granica, granica — powiedział Ming — musieliśmy wam pomóc bez względu na granicę. Przyszła nas z Dairenu cała gromada, szczególnie po ostatnich nalotach. Jak zaczęli bombardować Antung, to już widzieliśmy, co się święci, cho-

ciąż naliczono tam tylko ze 30 bombowców, no tych, B-29, a w eskorcie 50 myśliwców.

— Kiedy to było?

— Niedawno, dziesiątego. Bombardowania mnożyły się. Amerykanie nie byli niby z nami w wojnie, ale z chwilą kiedy ONZ uznała Chiny za napastnika, zdawało im się, że im wszystko wolno. Chiny napadły na Amerykę, rozumiecie wy to? Bo ja nie. Bombardowali Czi Lien-czang, Linkiang, Kuan-lien. Stare to sposoby, wtargnąć do Chin przez Mandżurię i rozszerzyć wojnę na całą Azję. Zrobiliśmy w walcowni masówkę, zapał był nieopisany. Sekretarz organizacji partyjnej opowiedział nam, jak się przedstawia międzynarodowa sytuacja, i spytał, kto chce iść. Wszyscy chcieli.

— Jakeście się tu dostali? — spytała dziewczyna unosząc z lekka głowę znad kamiennej posadzki.

— Na własnych nogach, dziewczyno — odpowiedział, twardo oddzielając słowa — na własnych nogach aż do Jalu i przez Jalu też, brodem. Kilku tragarzy dźwigało na nosidłach nasze rzeczy i zapasy żywności. Kiedy zobaczyli, że przeprawiamy się przez rzekę, błagali, żeby im pozwolić pójść razem z nami. Ale nie mogliśmy się na to zgodzić. Zabierając ich ze wsi przyrzekliśmy uroczyście rodzinom i im samym, że gdy przeniosą ciężary, wynagrodzimy ich i odprawimy. Daliśmy na to słowo. Wszyscy nam wierzą, wszyscy wierzą komunistom. A teraz mogliby pomyśleć, że zmusiliśmy ich do dalszej drogi. Cała wieś musi się upewnić, że chiński żołnierz ludowy zawsze dotrzymuje danego słowa.

— Kra już spłynęła z Jalu, srebrzysty wstaje ranek — zanucił Czen Ir-mu.

— Co to jest? — spytała Ok Lan.

— To taki wiersz. A potem?

— Potem przeprawiliśmy się przez rzekę. Szliśmy dniem i nad brzegiem doczekaliśmy nocy. Jakiś stary rybak z rzadką, siwą brodą pokazał nam bród. Było nam ciężko, bo musieliśmy rozdzielić między siebie ekwipunek. Nie mogliśmy też opasać się długimi woreczkami z ryżem, bo trzeba było wejść do wody i ryż mógłby zamoknąć i zwiększyć ciężar. Dopiero za rzeką znaleźliśmy nowych tragarzy. Szedłem pierwszy. Świtało, wiosenna noc jest krótka. W niektórych miejscach woda dochodziła niemal do warg, trzeba było wysoko podnosić ręce, żeby rzeczy nie zamokły.

— Wtedy, kiedyście szli, psy amerykańskie nie były daleko — powiedział Li Don-chen — wyobrażam sobie, jak serdecznie powitał was lud Korei.

— Lud jest podobny do wody — rzekł Ming — a wojsko do ryby. Jaką trudność może sprawić rybie przebywanie tam, gdzie jest woda? Dopiero kiedy wojsko występuje przeciw ludowi, woda wysycha.

— Dobrześ to powiedział — rzekła dziewczyna. Wsparła się na łokciach, nie odrywała swoich migdałowych oczu, które nawet teraz zachowywały słodki wyraz, od słabo rysującej się w ciemności twarzy Chińczyka.

— To nie ja powiedziałem.

— A kto?

— Mao Tse-tung.

— Tylko miesiąc walczyłeś razem z nami?

— Miesiąc. Nawet niecały. Ale towarzysze zostali. Oni nie opuszczą koreańskiego ludu aż do zwycięstwa. Póki walki, poty i my z wami. Z tych, których znam, mnie jednego tylko złapali. A ty, dziewczyno?

— po raz pierwszy zwrócił się bezpośrednio do Ok Lan.

— Mnie trzymają już pięć tygodni. Mężą. Widziałeś? Mam całe plecy spalone. Oni nas nazywają „surowiec”.

— Gdzie cię wzięli?

— W górach, niedaleko Seulu. Jestem szoferem, prowadziłam ciężarówkę, woziłam żywność i amunicję do naszych oddziałów. Szczęśliwi żyją dniem, Korea żyje nocą. I ja żyłam nocą. Poznałeś nasze bezdroża, nie łatwo tam iść, nawet gdy słońce świeci, a cóż dopiero kiedy nie ma i księżycy. Nasze dróżki wiją się jak koreańskie żmije, trudno im na kark nastąpić. Jedziesz, policzkiem ocierasz się o skałę, drugi policzek chłodzi ci wiatr wiejący z przepaści. Nieostrożny ruch i wylatujesz w powietrze wraz z wielkim fajerwerkiem twojego wozu.

— Amunicja wybuchła?

— To byś mnie dzisiaj nie oglądał. Z tyłu na wóz dosiadło się dwóch towarzyszy. „Trzymajcie się — wołam do nich — albo się lepiej przywiążcie!” Samoloty amerykańskie ostrzeliwały wszystkie drogi, kaemy kosiły każdą trawkę. Zrzucali rakiety na spadochronach. Świece te opadały zwolna, ich białe światło spotykało się na brzegach sosnowego lasu z czarnym smokiem cienia. Jechałam zygzakiem pod górę, żeby mnie nie mogli trafić. Szalona to była jazda! Tydzień przedtem ścigający mnie samolot roztrzaskał się o skały. Lot jego był zbyt szybki. Ale teraz dosięgli mnie. Tamci dwaj zostali zabici, ja, niestety, ocalałam. Nasz oddział cofnął się, wpadłam w ręce nieprzyjaciół.

— O co pytali? — rzekł ponuro Czen Ir-mu.

— Tylko o jedno i zawsze o to samo. Dokąd jechałam, gdzie jest oddział.

— Co powiedziałaś?

Wzruszyła ramionami.

— Obiecywali, że mi darują życie. Co miałam im powiedzieć? Potam był taki jeden — oficer amerykański. Dwóch sierżantów trzymało mnie, a on przypiekał mi skórę zapalniczką. Oni takiego oprawcę nazywają oficerem — powiedziała z pogardą.

Pierwszy grom rozdarł powietrze jak wystrzał.

— Ofensywa — poderwał się Coj Sek-won.

— Tylko burza.

Brzękły łańcuchy.

— Daj mi wody, Ok Lan.

Podniosła się i przyłożyła mu do warg chropowaty brzeg dzbanka,

krople ściekały po wargach, cała skóra nasyciała się błogostawioną wilgocią. Okaleczone ręce niezdarnie okręcone brudnymi bandażami, leżały nieruchomo wzdłuż ciała.

— Gdzie my właściwie jesteśmy, nie wiecie? — zapytał Chińczyk.

— Jakże, to Inczon, najdogodniejszy port w pobliżu Seulu, główna baza amunicyjna Amerykanów i ich poddanych. Inczon, połączony z Seulem autobusami i tramwajami, Inczon, przez którego rurociąg płynie z Seulu nafta.

— A jak daleko jesteśmy od Seulu?

— Trzydzieści dwa kilometry. I na co ci to wiedzieć? Do nieba stąd czy stamtąd jednakowa droga.

— Ależ to jedna ruina!

— Kiedy zdążyłeś to zobaczyć? Gdy nas wieźli tym przeklętym wozem bez okien, gdzie nie dochodzi blask dziennego światła?

— Możemy przecież uciekać — powiedział Li Don-chen. Zamilkli, ta myśl poraziła ich jak prąd elektryczny.

— Ja nigdzie nie uciekną — powiedział ponuro Mu — jestem bez sił. Bili mnie tak, że kości nie czuję.

— Siły muszą się znaleźć, kiedy ich trzeba. Możemy próbować ucieczki — powtórzył Li.

— Jestem bez sił teraz — powiedział słabym głosem Mu — ale walczyliśmy dobrze. Mnie wzięli z całą grupą pod Tu Kulien, to taka mała wioseczka. Walczyliśmy i zwyciężali. Byliśmy we wsi, kiedy czujki doniosły, że zbliża się piechota nieprzyjacielska. Nauczyli ich uderzać, ale nie nauczyli bronić się. Kiedy im się nie udało pierwsze, błyskawiczne natarcie, rozproszyli się w zamieszaniu, widocznie zamierzając poczekać na ciężką artylerię, która by ich osłoniła. Stracili tempo. Wtedy my ruszyliśmy do kontrataku. Po tygodniu z ich dziesięciu dywizji pozostało trzy. To byli zdrajcy, lisymanowcy. Zaczęła się walka z Amerykanami.

— Kogo nazywasz Amerykanami? Oni oszczędzają swoich ludzi, biorą Europejczyków, biorą kolorowych, to im taniej wypada. Kiedyś nasz oddział wziął 370 jeńców. Kogo tam nie było! Anglicy, Turcy, Filipińczycy, Murzyni, a samych Amerykanów ani na lekarstwo.

— Ginę i oni, przeklęte dranie. Nasi obliczyli, że Amerykanie stracili dotąd przeszło dwieście tysięcy ludzi. Nie tylko koreańskie matki opłakują swych synów, amerykańskie matki także płaczą. A ile sprzętu stracili! Ot, weź choćby taką bitwę 8 marca, w której brałem udział. Wzięliśmy do niewoli dwadzieścia kilka tysięcy ludzi, zestrzeliliśmy kilkaset samolotów, zniszczyliśmy setki czołgów, zatopili wiele statków, zdobyli tysiące dział różnego kalibru! Liczyliśmy to wszystko. Kim Irsen powiedział, że Li Syn-man to nasz arsenał.

Wyciągnął ręce jak do oklasku, zapomniał, że są skute, ponuro zabrzączał łańcuch.

— U nas we wsi — powiedział Coj — była cała heca. A trzeba ci wiedzieć, że mamy wspaniałą nauczycielkę, która jest także przewodniczącą miejscowej Organizacji Kobiet Koreańskich. Jej czip* stał koło czipu naszego dowódcy, Li u Tingchena, który ma krewnych w Korei Południowej. Wszyscy jednak wiedzieliśmy, że źle żył z nimi, byli to przyrodni bracia, dzieliła ich jeman-aman — rodowa zemsta. Otóż kiedyś nauczycielka wychodzi rano z czipu, żeby iść do szkoły, i widzi, że koło ściany Liu ktoś się czai. Nie zwróciła na to wielkiej uwagi, ale jednak zapamiętała. Na drugi dzień wraca wieczorem — to samo. Ona niczego się nie boi, podeszła do człowieka, zatrzymała go i pyta, co za jeden? Początkowo nie odpowiadał, ale potem zrozumiała z tego, co mówił, że przyjechał z całą rodziną od Amerykanów, którzy puścili ich tylko pod tym warunkiem, że zabije Liu.

— No i zabił go? — spytał Mu.

— Jakże go teraz mógł zabić?

— Czy wytłumaczył nauczycielce, że musi zabić swego wroga? A może ona mu to wyperswadowała?

— Tak, wybiła mu to z głowy i to bardzo skutecznie. — „Czy ty jesteś Koreańczykiem, synem swojej ojczyzny?” — pyta. „Jestem nim — odpowiedział — ale przodkowie upomną się o krew, która próżno będzie wołać pomsty...”

Wezbrana ciemność nocy uderzała o kamienne ściany więzienia, co chwila widmowe światło błyskawic rozświetlało ponure wnętrze, tym jaskrawszą bielą malując nieruchomą głowę Chińczyka, który słuchał w milczeniu. Dwaj zmęczeni chłopcy koreańscy wsparli się o ścianę. Ok Lan opuściła głowę na złożone ręce. Coj mówił cicho i z długimi przestankami, wyczuwało się, kiedy tak szeptał w ciemnościach, że jest

* *Czip — chata koreańska.*

śmiertelnie znużony. Opowiadał jednak dalej. Ściany kamiennego więzienia, zamknąwszy się ciasno nad nimi, dawały złudzenie bezpieczeństwa, izolacji od okrutnego wroga, chociaż właśnie ten wróg zawarł je nad nimi i mógł ich każdej chwili wyciągnąć stamtąd na gorsze jeszcze męki.

— A przodków można będzie przecież wykopać i przenieść na inną górę*, lepszą górę, to się ułagodzą — szeptał swoim łamiącym się głosem Li — może to była niedobra góra, gdzie oni leżeli, i stąd poszła cała sprawa.

— Niedobra góra — powtórzył Mu — my, młodzieź, nie wierzymy ani w dobre, ani w niedobre góry. To są przesady.

— W Dairenie na targu możesz kupić bogów na wagę, Buddów o wielkich uszach. To wszystko dobry metal, może ci się przydać w gospodarstwie — poparł młodzieńca Chińczyk. — Pięć lan takiego metalu kosztuje dwa mandżurskie juani.

— Lan to jak moje imię. Ile to jest — „lan”? — spytała dziewczyna.

— Lan to jedna dziesiąta część kyn, a dwa kyn to jeden europejski kilogram. Widzisz, dziewczyno, ile jesteś warta — powiedział Ming i coś jakby uśmiech przewinęło się po jego wyschłych, wąskich wargach.

Coj przeczekał cierpliwie, póki oni między sobą rozmawiali, a kiedy zamilkli, wspominał dalej:

— Nauczycielka powiedziała mu to wszystko, co teraz mówił Mu, i wiele innych rzeczy. Powiedziała mu też, że powinien wszystkie swoje siły oddać ojczyźnie, a nie pozwalać się wyzyskiwać przeklętym Amerykanom, którzy się śmieją z niego i z jego rodowej zemsty. I co powiecie; przekonała go! Wieczorem zrobiliśmy przed szkołą małą uroczystość. Nasi wyciągnęli przybysza na „wzajemne wspomnienia”, sami opowiadali

* *Koreańczycy grzebią swoich zmarłych na wysokich górach.*

swoje życiorysy i on zachęcony też opowiadał o sobie. Kiedy mówił, widzieliśmy wszyscy, jak bardzo dziwi się swojemu życiu i temu, że żył nie myśląc o nas zupełnie. Kiedy doszedł do tego, jak wyzyskiwali go kapitaliści amerykańscy w fabryce, jak musiał pracować w przędzalni po czternaście godzin na dobę i kiedy to porównał z porządkiem wprowadzonym w naszych fabrykach, rozplakał się. Czuliśmy wszyscy, jak z tymi łzami spływa z jego serca pragnienie rodowej zemsty.

Znów zamilkł dysząc ciężko. W ciszy doniósł się z dali wzburzony głos morza. Więźniowie nasłuchiwali pilnie: fascynowała ich wolność niezmiętej wody. Mu wsłuchiwał się w ten głos jak inni, ale potem potrząsnął głową: po cóż myśleć o swobodnych okrętach? Rybackie statki kryją się w porcie przed burzą, małe dżonki o łatanych, brunatnych żaglach kładą się na fali.

— Tańczyliście? — spytała Ok Lan.

— Najlepsza tanecznica w całej wsi odtańczyła taniec z bębniem, potem śpiewaliśmy pieśń o rybaku, jeżeli chcesz wiedzieć. A potem... potem byliśmy wszyscy przy tym, jak się godzili. Nauczycielka siedziała przy nich na plecionej macie, a oni ubrali się, w co każdy miał najlepszego, włożyli czapki na głowy, na ramiona narzucili płaszcze i usiedli naprzeciwko siebie ściskając sobie ręce. Ba, ogarnął ich taki zapach, że przybysz nadciął sobie skórę na wielkim palcu, kazał podać pędzelek i maczając go we własnej krwi, napisał: „Proszę o zaszczyt wystania mnie na front”. Nauczycielka wezwała nas uroczyście, żebyśmy świadczyli, jako iż zemsta rodowa została na wieki poniechana, a dwaj dawni wrogowie przyrzekają wszystkie siły poświęcić ojczyźnie. Potem jedliśmy białe bułki, gotowane na parze, była to prawdziwa uczta. Rano Liu zebrał swój oddział, a jego niedoszły wczorajszy morderca przyłączył się do

nas. Poszliśmy błotnistą ścieżką wzdłuż ryżowisk, deszcz padał. Wtedy — dokończył z goryczą — narzekaliśmy na błoto.

Burza stopniowo zdawała się oddalać, szum dochodził z oddali jak poryki gniewnego, ale przegnanego zwierzęcia.

— Tak — powiedział Mu — Amerykanie nasyłają nam tu różne typy. Ja na przykład widziałem taki wypadek...

— A jednak moglibyśmy spróbować uciec — powtórzył z uporem Li Don-chen.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

— Bredzisz — powiedział Coj, ale w oczach zaświeciła mu nadzieja i głos był miękki niż przedtem.

— Dlaczego bredzi? — spytał Chińczyk. — Dopóki człowiek żyje, wolno mu mieć nadzieję.

— Bredzi — powtórzył Coj — bo jak? Czy myślicie, że te mury z surowego kamienia rozstąpią się przed nami, jak Li trzaśnie o nie głową?

— Przecież mnie tu nie zostawicie? — rzekł na pół pytająco Mu i westchnął głęboko.

Jego obawa zagrzała ich, jeżeli tak się pyta, znaczy, że widzi możliwość wymknięcia się. Dodało im to sił. Nie chciałby, żeby towarzysze pozostawili go w rękach katów, znaczy to, że już ich widzi poza ciasnym, kamiennym więzieniem.

— Oszalałeś? — spytał szorstko Coj. — Wyniesiemy cię w razie potrzeby.

— Burza minęła — rzekła Ok Lan, mimo woli przyciszając głos.

— Bynajmniej, przeleciała jedna chmura, nadleci druga. Czuję to w powietrzu, czuję w moich kościach. Kiedy jest burza, giną inne hałasy, a wartownicy niechętnie wychodzą spod dachu.

— Więc co chciałbyś zrobić? — Ok Lan uniosła się z lekka i w tej pozycji, posuwając raz jedną, raz drugą nogę, zdołała doczołgać się do obydwóch chłopców. Klęczała teraz nad nimi jak posąg.

— Zaczniemy łomotać w drzwi...

— Przecież już próbowaliśmy, nic z tego nie wynikło.

— Będziemy poty łomotać, póki się ktoś nie zjawi, choćby ten Filipińczyk.

— No i co dalej?

— Barak nie był przeznaczony na więzienie, nie ma w drzwiach

żadnego okienka, na to, żeby nam tu coś podać, trzeba je zupełnie otworzyć.

--- Tak, ale właśnie dlatego orli tu zawsze przychodzą we dwóch.

Żeby nie było niespodzianek.

— Powiemy, że Mu zemdłał i będziemy krzyczeć o wodę.

— Nie wzruszy tego bydlaka!

— Nie chodzi o to, żeby go wzruszyć, chodzi po prostu o to, żeby trochę uchylił drzwi.

Chińczyk nie odzywał się, ale pochylił się nieco ku nim i w widmowym świetle okienka jego głowa zdawała się przyłączać do jakiegoś ciała, a na tle czerni ścian można było dostrzec jaśniejsze zarysy ramion.

— Nie mamy wolnych rąk — powiedział.

— Co to znaczy: nie mamy rąk? — bronił swej myśli Li.
— Kajdany krępują nam ręce, ale kajdany to także broń. Ty, Ming, jesteś najwyższy z nas, kiedy my będziemy łomotać, staniesz z tyłu, z tej strony, w którą drzwi się otwierają, i w chwili gdy któryś się pokaże, zarzucisz mu na szyję łańcuch. Myślę, że jeżeli skrzyżujesz ręce, uda ci się udusić go.

— A drugi?

— Może nie usłyszysz, może nie przyjdą razem, trzeba liczyć na odrobino szczęścia.

— Narobi krzyku.

— A to już twoja rzecz — powiedział zwolna Li i cień uśmiechu przeleciał po jego wargach — a to już twoja rzecz.

Chwilę rozmyślali wszyscy nad tymi możliwościami. Wreszcie odezwała się Ok Lan:

— A dalej?

— Będziemy na wolności.

— Tak się to mówi. Tu wszędzie pełno żołnierzy.

— Jeżeli nikt nie zaalarmuje, żołnierze się nie ruszą.

— Nie możemy czekać do rana.

— A któż ci mówi, że będziemy czekać do rana? Burza wróci, będziemy uciekać wśród łoskotu piorunów, w gwałtownym deszczu nikt nie będzie chciał bez potrzeby wytknąć nosa z hangarów.

— Zapominasz o kajdanach.

— Jeden dobry kamień wystarczy. Patrz, nie są zbyt grube. A zresztą cóż ryzykujemy?

I znów na chwilę zamilkli. To prawda: nic nie ryzykowali. Nie mieli w gruncie rzeczy ani chwili wątpliwości, że czeka ich najgorsza, najokrutniejsza ze śmierci. Byle to nie trwało długo. Walczyć, uciekać — okrutny strach i ryzyko takiego przedsięwzięcia w tej sytuacji nie miało żadnego znaczenia. Gdybyż tak

móc nie torturować myśli daremnym wyczekiwaniem i zgadywaniem najokropniejszego, gdybyż jeszcze raz poczuć na obojczyku błogosławiony ucisk karabinu, w rękę uchwyt granatu, w sercu upojenie ostatniego zwycięstwa. Gdybyż raz jeszcze otwały się te zimne, te obojętne drzwi, gdybyż poczuć na skórze policzków ciepłą kroplę deszczu! A może, jeżeli już nic się innego nie uda, wyzwoli ich wrogi karabin ostatnią salwą?

— Ale oni — powiedział Chińczyk — nie wejdą. Oni nie są tacy głupi. Oni wiedzą, że każdy więzień chce uciekać.

— Ja nie dożyję jutra — rzekł Mu.

— Owszem, dożyjesz — powiedziała Ok Lan — jutra dożyjesz na pewno.

— Ja... ja... nie mogę o tym myśleć.

Mu był młody, bardzo młody, Mu nie miał jeszcze dwiętnastu lat. Ale tych właśnie słów nie wolno tu było wymawiać. Przeciw takim słowom bronili się tu wszyscy całym natchnieniem woli. Nie zgadywać, nie zastanawiać się, kosztem największych wysiłków odpędzać bezustannie myśl o tym, co dalej z nimi zrobią. Można śpiewać, można opowiadać nie kończące się historie z wojny, można wspominać, ale nie wolno jednego: zgadywać. Przyszłość i tak odłoni w porę swoje oblicze.

— Będziemy wisieć — rzeki szorstko Coj — i żadnych co do tego wątpliwości. Nie gładź. Tu hartu potrzeba, a nie rozczulania się nad sobą! Zaczęłeś przecież opowieść o jakimś ptaszku...

Mu otrząsnął się, nawet w tym szarym, niepewnym świetle widać było, że jego rozbiegane oczy spojrzały nieco przytomniej

— Zacząłem opowieść? — przypominał sobie.

— Tak — rzekła Ok Lan — mówiłeś o tym, że Amerykanie nasyłają nam różnych ludzi...

Mu ożywił się, myśl jego powędrowała wstecz, do walcowni stali, w której od roku pracował, do miasta, które po gwizdzie syreny tętniło krokiem stu tysięcy chodaków.

— Tak, tak — powiedział — teraz jut sobie przypominam. Bo oni walczą z nami na wszelkie sposoby, niczego nie zaniedbują. Każda broń jest dla nich dobra.

— No tak, jeżeli już wykorzystują ludzi, którzy myślą o zemście rodowej...

— Nie przerywaj — powiedziała Ok Lan.

— Był u nas pastor, ha ha — Mu nieoczekiwanie roześmiał się dźwięcznym, chłopięcym śmiechem. — W Seulu było na pewno więcej pastorów, ale tego specjalnie pamiętam, bo zjawiał się czasami w fabryce. Nazywał się Mac Milian, czy jakosć.

— W fabryce? — Ming zmarszczył czoło. — To już na pewno szpieg.

— Ba, czy myślisz, że wtedy przychodziło nam to na myśl? To przecież było rok temu, na wiosnę, nikt jeszcze nie myślał o wojnie. Pastor, rozumiesz, przychodził niby po to, żeby „nawrócić” robotników, tych oczywiście, którzy by się nadawali i chcieli, jak on to mówił, oświecić się światłem prawdziwej wiary. — Mu zamilkł na chwilę, przypomniał sobie, jak to było, i znów zaśmiał się krótkim, szorstkim śmiechem. — A ja przecież... a ja... gdy już przestałem wierzyć w trzy dusze człowieka, wyrzuciłem amulety, i oczy mi się otworzyły — ujrzałem prawdziwe światło... No, ale on o tym nie mógł wiedzieć. Byłem wtedy sekretarzem organizacji młodzieżowej w fabryce. Czy on o tym wiedział, czy nie wiedział...

— Oczywiście wiedział — rzekł Coj.

— Jakoś zawsze był zapatrzony w niebo i zdawał się niewiele wiedzieć, co się dzieje na ziemi. Tak nam przynajmniej powiadał. Często się zdarzało, że po robocie brał mnie pod rękę i chodził po fabrycznym podwórzu, a ja, domyślacie się, młody byłem i głupi, interesowało mnie, co jeszcze powie taki człowiek starszy ode mnie, który przyjechał z daleka i wiele rzeczy widział.

— Oczywiście starał się ciebie wybadać — rzekł znowu Coj.

— No, ze mną takie wypytywanie nie bardzo mu się wiodło, bo byliśmy czujni i towarzysze ostrzegali, raczej więc ja jego pytałem o różne rzeczy, które mnie zajmowały, choć muszę przyznać, że bestia był sprytny i mówił tyle tylko, ile chciał, chociaż udawałem głupiego. Nie możecie sobie wyobrazić, co on mi naopowiadał!

— No? — spytała Ok Lan.

— Więc że jestem niezwykłym młodzieńcem i że mam taką piękną przyszłość przed sobą, i że mógłby mi dopomóc się uczyć, że gdybym tylko chciał, dostałbym dużo lepszą pracę... Oczywiście, jak zmienię wyznanie, jak zostanę — nie pamiętam już — anglikaninem czy baptystą... Ja mu na to, że u nas można na palcach policzyć religijnych ludzi, bo to nikogo nie interesuje, a on, że religia to właśnie oznaka wyższej kultury i że powinienem dawać pod tym względem przykład... Różne tam takie androny.

— A ty powinieneś być na próbie — rzekł Chińczyk.

— Ra, czy myślisz, że nie rozpatrywaliśmy z towarzyszami różnych możliwości? Ale to by nie wyszło, trzeba by było za daleko przejść na ich pozycję, bardzo się strzegli. Więc tak się to wałkowało w tę i w tamtą stronę. Zbliżał się czerwiec... a my, naturalnie, nie podejrzewaliśmy jeszcze niczego.

— To było niemożliwe — rzekł Li — mówię, że było niemożliwe przewidzieć, że nagle lisymanowcy rzucą się na nas.

— Nie, dlaczego było niemożliwe, ja dziś myślę, że to było możliwe, cała polityka amerykańska zmierzała do wywołania takich awantur na Wschodzie, żeby ze wszystkich stron otoczyć Związek Radziecki.

— I nie zapominaj o naszym „żelaznym trójkącie” — powiedziała Ok Lan.

— Dobrze, dobrze, dziewczyno — powiedział Chińczyk z uznaniem. Siedział już znów bez ruchu, skute ręce położył na kolanach.

— W czerwcu — mówił dalej Mu — pastor ciągle jeszcze namawiał mnie, żebym się „nawrócił”, ale miał widocznie coraz mniej nadziei, więc zmienił taktykę. Przyprowadził Koreańczyka niby z jakiejś oddalonej, górskiej wsi i powiedział nam, że szuka dla niego pracy i mieszkania. U nas nie było bezrobocia, chętnie braliśmy ludzi, produkcja ciągle się zwiększała, więc majster go przyjął. I rozumiecie, w tej chwili, kiedy o tym opowiadam, sam widzę, jakie to było od razu podejrzane. Układam wypadki i teraz ukazują mi się one jasno w całej swojej prawdzie. Ale wtedy wszystko działo się powoli, jedno za drugim, i trudno było połapać się, jaki związek istniał między poszczególnymi wypadkami.

— No i co się wtedy okazało?

— Co się okazało — powtórzył ze złością Mu — okazało się, że to zwykły sabotażysta. Oni nam umyślnie pakowali do fabryk takich, żeby psuli robotę u nas, w Korei Północnej. Znaleźli sobie ludzi, co się podejmowali takiej haniebnej roli i dla grosza byli na wszystko gotowi. No, zwykły szpicel!

— Od razu mi się twój pastor nie podobał. Ja bym takiego przez próg fabryki nie puściła — rzekła Ok Lan.

— A szpicla nawet nie trzeba było oddawać milicji. Sam się przyznał. Powiedział też o wszystkich, którzy byli wysłani z nim razem. Bo to była cała grupa, dziesięciu. Rozprowadzili ich tak po wszystkich fabrykach.

— No i coście zrobili?

— Daliśmy wszędzie znać. W niektórych zakładach już wyłapali

ptaszków, dla niektórych to była prawdziwa niespodzianka. Rozumiecie, gdzie aktyw był słabszy, gdzie czujność robotnicza nie była tak rozwinięta... i...

Zamilkł, sięgnął pamięcią do tamtych dni — wspomnienia rodziły się i gasły. Śledził swój młodzińczy dzień, który od wczesnego zarania aż do tak okrutnie i nagle zapadającego zmierzchu wypalał się dla jednej tylko sprawy. Ach, poczuć raz jeszcze w sercu ten ucisk, kiedy zgorączkowany powracał z towarzyszami swoimi do domu i myślał, czy aby niczego nie przegapił, czy wszystko tak jest u nich w fabryce, jak przykazują wodzowie rewolucji, jak jest zapewne w zakładach pracy Związku Radzieckiego. Ileż razy po chłopięcemu zaciskał pięści, a jego łzy mieszały się z pierwszym wiosennym deszczem, kiedy daleko na zboczach zakwitał różowy kwiat „pindarre“.

— Wy wszystko wiecie — powiedział Coj i uśmiechnął się — wy zawsze wszystko wiecie. A przecież przyszłość jest niewiadoma.

Spojrzał na nich i zmartwił się. Są we władzy wspomnień, duch w nich upada. Siedzą zwiesiwszy ponuro głowy.

— A ja opowiem wam zaraz starą bajkę — mówił dalej — o takim jednym, co zawsze wszystko wiedział. — Zauważył z zadowoleniem, że podnieśli na niego oczy i czekają jak dzieci.

— Był sobie raz mąż i żona, dobrzy ludzie, nie można powiedzieć, ale strasznie przemądrzali. Gdy im ktoś coś opowiadał, przerywali mu zaraz i krzyczeli: wiemy, wiemy! — tu przerwał i zapytał spoglądając wkoło: — Nie znacie tego?

— Żebym nawet znał, to już teraz nie ośmieliłbym się powiedzieć — rzekł ochotnik chiński ze znużonym uśmiechem.

— Więc nie znacie. Raz przychodzi do tego małżeństwa pewien człowiek, przynosi płaszcz i powiada do męża: jeżeli włożysz ten płaszcz i zapniesz na jeden guzik, to polecisz na jedno mi w górę, jak zapniesz na dwa guziki, to skoczysz na 10 mi, a jak zapniesz na wszystkie guziki, to polecisz aż do nieba. „Wiemy, wiemy“ — krzyczą jedno przez drugie. Mąż w pośpiechu wcale nie pyta, co trzeba zrobić, żeby wrócić na ziemię, tylko od razu zapina płaszcz na Wszystkie guziki i leci do góry.

Zawiesił głos.

— No i co? — spytał Li.

— Ano nic. Poleciał i nigdy nie wrócił. I skończona bajka.

Zyskał tyle, że się uśmiechnęli. Uśmiech przeleciał po tych wynędzniałych twarzach i chociaż zaraz pierzchł, zostawił po sobie nikły poblask.

— Nie śmiej się z nas — powiedział Mu — my jesteśmy trochę mądrzejsi, bo już mamy szkoły za sobą.

— Czy uwierzysz — rzekł Coj — że teraz już i w naszej wsi jest szkoła i że moje dzieci mogą się uczyć?

— A co się stało z żoną? — wracając jak dziecko do bajki spytała Ok Lan.

— Albo ja wiem, co się stało z żoną? Czeka.

I nagle zobaczył swoją żonę i swoich dwoje małych dzieci, których nie widział od sześciu miesięcy. Nie chciał o nich pa-

miętać, ale oto znów wrócili do niego. Widział ich delikatne, uniesione w kącikach powieki, czuł pod palcami gładkie, proste włosy. Widział nawet puszystego psa, którego nazywali Pa, widział byka, którym dwa razy do roku orali swoje wodne pole. Przypomniawszy sobie swój czip kryty ryżową słomą, która spływa z niego jak fala sytości i dobrobytu.

Oto sadzą z żoną ryż. Żona trzyma w ręku pęczek rozsady i rozwiązuje go powoli, żeby nie połamać wątlwych pędów. Za trzy dni ukaże się pierwsza zieleń. Trzeba ją będzie nakrywać na noc przetłuszczonym papierem dla ochrony przed chłodem. Kobiety rzędami pochylają się nad polem, stopy ich toną w wodzie, w wodzie odbijają się białe chustki...

A potem przyjdzie jesień i jego nie będzie, nie będzie mógł cieszyć się zbiorem. Przypomniawszy sobie, jak o zachodzie wracał z dziećmi do czipu. Chata żółta, gliną umazana, na ścianach suszą się mięsiste, gładkie owoce czerwonego pieprzu, żółte kolby kukurydzy, zielone, jeszcze płaskie, aromatyczne liście tytoniu, na skraju dachu leżą wielkie tykwy... Czyżby naprawdę nie miał oglądać swej ukochanej ojczyzny?

— Więc uciekamy — powiedziała Ok Lan z nową energią. — Kto z nas zacznie się dobijać do drzwi? Wieczór upływa, nadchodzi druga burza. Jutro powiodą nas na śmierć. Kto zacznie się dobijać do drzwi?

Teraz zaczęli mówić wszyscy naraz. Nikogo nie zwiódł pozorny spokój, z jakim Mu opowiadał o wy Chowańcach angielskich misjonarzy. Pragnienie wolności sprawiło, że odzież zaczęła ich palić jak ogień, kamienne ściany zaczęły dusić, pułap walił się na głowy, zabrakło tchu — zostać tutaj przez tę noc? Nie, za wszelką cenę nie! Wszystko, co sobie opowiedzieli, ukazało im jeszcze dobitniej cel walki. Słowa, wspomnienia, obecność towarzyszy, z którymi tu się dopiero poznali, pod-

trzymywały ich w zamierzeniach. Znów byli silniejsi o tę moc, którą w sobie wzajemnie wyczuwali. Każde ich słowo było wezwaniem i dążeniem, a męki, które wytrzymali, aby nie zdradzić towarzyszy, były jeszcze jedną pieczęcią wspólnoty. Chcieli żyć. Chcieli walczyć razem ze swoim narodem, chcieli patrzeć na wielkie, na ostateczne zwycięstwo, a gdyby nawet przyszło zginąć, chcieli zginąć w walce, jak na żołnierzy przystało.

Chociaż nie mówili konkretnie o planie ucieczki, dojrzał on w nich przez tę krótką chwilę, której starczyło na opowiadanie. Teraz więc, kiedy Ok Lan zaczęła znów mówić o ucieczce, wydało im się to zupełnie możliwe.

Jak przewidział Coj, burzowe chmury powróciły. Szły teraz napastliwie gęstym, zwartym szykiem, wysyłając przed sobą swoich połyskliwych zwiadowców. Pierwsza błyskawica rozdarła powietrze jak szrapnel, jej ostry zygzak przeciął na pół matową szybę czerni za oknem. Zmaterializowana ciemność posypała się nagle trzaskającymi, połyskliwymi okruciami. Mu podniósł się i sarn się zdziwił, że to tak łatwo mu poszło. Stał oto na nogach i posuwał nimi, choć kajdany przeszkadzały. Poszedł teraz w kierunku drzwi. Mimo woli mówili teraz ciszej, choć grube, kamienne bloki nie przepuszczały głosu, a żołdak filipiński, choćby ich nawet mógł zrozumieć, przechadzał się przecież daleko po kamiennym nabrzeżu.

— Ty staniesz tutaj — powiedział Mu — ja z tamtej strony.

Coj Sek-won i Li Don-chen, wiedzeni jedną myślą poczołgali się niemal równocześnie w stronę drzwi. Nie myśleli nawet o tym, że takimi rękami nie można uderzać, rany jakby przestały ich boleć.

— Gdyby dał krok, podstawię mu nogę — rzekł Coj.

— A co zrobisz z drugim?

— Tego ty bierzesz na siebie.

Ok Lan stała za nimi.

— Krzyczcie — powiedziała — musicie bardzo natężyć głos, te drzwi są bardzo grube.

— Można uderzać łańcuchem — rzekł Ming — albo bu-tem.

— Tylko tak, jak mówiłem — powiedział szeptem Coj — ty, Ming, stoisz za drzwiami z tamtej strony, Ok Lan i Mu na przedzie. Dużo tu zależy od tego, jak się ustawimy. Każdy ma swoje zadanie, nie wolno nam się pomylić, bo nie uda się.

Znów lunął deszcz, a szeroki grom przewalił się z grzechotem po niebie. Błyskawice następowały jedna po drugiej, a były tak długiej że ściany kamiennego więzienia stawały co chwila w mleczej, widmowej białości. Pioruny następowały tak szybko po błyskawicach, że niemal zlewały się razem w jeden nie ustający łoskot. Burza wisiała nad Inczonem, dotykała bezpośrednio kamiennego sześcianu, w którym zamknięci byli więźniowie.

— Musicie bardzo natężyć głos — powtórzyła Ok Lan — żeby przekrzyczeć burzę.

— Więc pamiętaj — rzekł Coj — jeśli uchyli drzwi, rzucisz mu łańcuch na szyję.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Radiotelegrafista Helge Jensen wszedł z meldunkiem do kajuty nawigacyjnej, gdzie przy biurku siedział kapitan Per

Henning. Kapitan robił notatki w dzienniku okrętowym i nie podnosił głowy, Helge stał z uszanowaniem w progę, ostatecznie nie paliło się. Stał z wąskim paskiem papieru w ręku i rozglądał się po ścianach, które przecież znał doskonale.

Bo toż teraz wyglądało tu wszystko inaczej. Strzałka barometru stała wprawdzie bez ruchu w samym środku tarczy, ale cały przedmiot kiwał się niezmordowanie sztywnymi ruchami w prawo i w lewo, jakby go ktoś w obie strony szarpał. Ciężkie meble stały nieruchomo, a kapitan niestrudzenie wodził piórem po liniowanym papierze dziennika i tylko czasami ręka mu drgnęła. Między bocznymi deseczkami półek ustawione były książki w kilku językach, wśród nich locja chińska w dwóch tłumaczeniach. Pod pułapem za przegródkami znajdowały się ściśle poutykane, sztywne rulony map. Kajuta tchnęła spokojem, ale za szybami działo się coś niezwykłego.

W widmowym świetle nocy, rozjaśnionej dwoma potężnymi reflektorami, ukazywały się znienacka to w lewym, to w prawym oknie olbrzymie fale.

Spiętrzona fala ukazuje się w prawym oknie i zaraz znika, pozostawiając miejsce dla nieba, które zatacza się jak pijane. Potem fala wznosi się w lewym oknie, zasłaniając grzbietem horyzont, i znów pojawia się pijane, chwiejne niebo. I znów wzrok kieruje się automatycznie na prawe okno, gdzie wszystko powtarza się od nowa. Tylko przytwierdzona do biurka lampa o białym, neonowym świetle niezmiennie wyznacza na papierze ten sam spokojny, nie wystrzępiony krąg.

Helge chrząknął, kapitan podniósł głowę.

— I po cóż chrząkać powiedział wysokim, piskliwym głosem — przecież widzę, że tu jesteście. Co tam macie?

— Tajfun się zbliża.

— Skąd meldunek?

— Obserwatorium Meteorologiczne w Szanghaju.

Per Henning zrobił minę, która mogła oznaczać: „spodziewaliśmy się tego“, i wyciągnął rękę. Helge podał mu wąski pasek papieru. Henning zaczął czytać: „Ostrzeżenie. Godzina 7 wieczorem. Szanghajske Obserwatorium Meteorologiczne ostrzega, że tajfun średniej szybkości osiągnął styk 19 szerokości północnej i 121 długości zachodniej w okolicy północnego wybrzeża Luzonu, Wysp Filipińskich i porusza się na wschód i północo-wschód z szybkością około 10 mil morskich na godzinę. Tajfun jest o dzień odległości od zatoki Taiwanu i Morza Chińskiego w okolicach Kwantungu i Fukieniu. Za 24 godziny osiągnie 167 mil na południo-wschód od Taiwanu”.

— Znaczy, że u nas... Podajcie no mi mapę, nie tę, tę drugą, z tyłu. Znaczy, że u nas... — wziął cyrkiel do ręki i zaczął mierzyć odległości. Cyrkiel poruszał się w ręku jak żywy, sadząc wielkimi skokami i drąc ostrzami papier. — No tak, u nas może nie będzie wcześniej, jak jutro wieczorem. — I zaklął: — Bałwańska służba! — Tu spojrział bystro na Helgego i dorzucił swoim wysokim, przenikliwym głosem: — Możecie iść, telegrafisto.

Podniósł tubę.

— Bollow? Może wpadniecie na sekundę... tak, tak.

Barometr kołysał się nieustannie krótkimi, mierzonymi ruchami, kiedy Charles Bollow wchodził do „nawigacyjnej”, chwytając się po drodze wszystkich mebli.

— Co nowego?

— Mamy meldunek o tajfunie. Oczywiście, jeżeli mu trochę zejdziemy z kursu, może nas bokiem ominąć. Możemy się równie dobrze schronić do portu.

— Co? — poderwał się Bollow — co? Instrukcja jest jasna, zostajemy na pełnym morzu.

— Jak pan uważa. W każdym razie dla statku byłoby bezpieczniej...

— To pana rzecz.

— Ja wyrażam tylko swoje zdanie.

— A ja panu przypominam odpowiedzialność. To wojna i odpowiedzialność wojenna.

Per Henning skłonił się z lekka i nic już nie odpowiedział, czekał. Lubił popić z Bollowem, który częstował go zawsze wyborowym alkoholem, spodziewał się, że i teraz to nastąpi. Noc zapadała, robiło się nieprzyjemnie i Per Henning nie miałby nic przeciwko paru kieliszkom dla rozgrzewki i dodania sobie otuchy. Ale Bollow milczał, a jego wysokie, cofnięte czoło, krótki nos i mocna szczęka ni wyrażały w tej chwili żadnych przyjaznych uczuć. Nasrożony wyglądał doprawdy jak buldog.

Podniósł się ciężko. Henning odezwał się, żeby zyskać na czasie:

— Pracuje pan?

Bollow zatrzymał się, ale nie złagodniał. Upragnione klepnięcie po plecach nie następowało. Henning westchnął i pochylił głowę na dziennikiem, ale wtedy odezwał się Bollow.

— Aha, mam nadzieję, że pan nie zapomniał, trzeba spuścić szalupę na morze i wysłać ludzi do portu, jak było zarządzone.

— Pomimo sztormu? A może by to odłożyć do rana?

— O tym nie może być mowy. Szczególnie wobec mel-dunku z Szanghaju nie może być o tym mowy.

Per Henning znów się lekko skłonił. Nie tak, żeby to wyglądało na płaszczanie się, ale zawsze dość wyraźnie, żeby Bollow mógł wszystko zauważyć. Odpowiadać, sprzeczać się? A po co? Bollow i tak wiedział wszystko lepiej, a ostatecznie sta-

tek był wysoko ubezpieczony i opłacony tak sownie, że kompania w żadnym wypadku nie poniesie uszczerbku. On sam? On też da sobie zawsze radę.

Henning stracił już nadzieję na miłą godzinę, gdy Amerykanin niespodziewanie burknął:

— Teraz mam jeszcze robotę, ale za jakieś dwadzieścia minut bądź pan w palarni, pogadamy.

— To już w takim razie za pół godziny — powiedział z satysfakcją Henning — żebym ich zdążył wyprawić.

Po powrocie do kabiny Bollow wezwał bosmana.

— Sven, więc ruszacie — powiedział.

Bosman rozejrzał się dookoła z pewnym przestachem, ale dyscyplina przemogła i powiedział służbiście:

— Tak jest, panie kapitanie.

— Chciałem się dowiedzieć, czy schowałeś broszury tak, jak kazałem.

— Tak jest, panie kapitanie — odrzekł Sven z szybkością o wiele większą niż poprzednio.

— Gdzieżeś je wsunął?

Sven mrugnął porozumiewawczo.

— Nie pod poduszkę, bo tam każdy sięga, a to po zegarek, a to po chustkę. Ułożyłem je w nogach, trzeba uchylić róg prześcieradła i tam siedzą, he he, jak ptaszki w gniazdku! Pod materacem.

— Jego koją?

— Numer dwudziesty czwarty.

— Więc nie zapomnij, durniu, bo tobie i taka rzecz może się przytrafić, że nagle stracisz głowę. Zaraz po przybyciu do portu zamelduj się w żandarmerii, niech oni sami ich wam oddadzą, no i zabierzesz dwóch MP do motorówki.

— Duże morze — ośmielił się powiedzieć Sven. Zdawało mu się, że teraz może troskę o siebie przemycie pod pozorami dbałości o ścisłe wypełnienie rozkazu — czy porucznik nam ich da?

— No, no, nie kłopotz się. Tam, zdaje się, stoją teraz Filipińczycy.

— Tak jest, panie kapitanie.

— I pośpiesz się, bo już na pewno spuszczają łódź.

Sven odsalutował słuźbiście i ruszył. Ledwo zamknął za sobą drzwi kabiny, ogarnęła go nieprzenikniona ciemność, reflektory bowiem umocowane były na przeciwległej burcie. Stał chwilę chwiejąc się, oczy jego przywykały do ciemności. Zwolna, jakby zza unoszącej się kurtyny teatralnej, otworzył się przed nim wspaniały widok na groźny żywioł, wielkie fale szły i szły bez końca. Cóż to za wspaniały dar — wzrok,

Właśnie szturman krótko uderzył w dzwon, czarna pętla szarpnęła się i zwiśla bezsilnie.

— Druga wachta na deck!

Dudniły po schodach ciężkie, gumowe buty, ludzie byli zaniepokojeni. Per Henning stał obok szturmana, głowę miał pochyloną, po zydwestce spływały ciężko pierwsze krople deszczu. Ręce włożył w kieszenie ciemnego, gumowego płaszcza, wiatr rozwiewał mu poły koło nóg. Wielka lampa rzucała jaskrawe światło na miejsce, gdzie stał. Był jakby w zaklętym kręgu, skrawek cienia na białej, okrągłej płaszczyźnie. Marynarze formowali się przed nim w dwuszeregu. Poul Parsen zakomenderował:

— Szalupa numer dziewiętnaście na wodę! Dwójkami do łodzi marsz!

Z tupotem nóg rzucili się do wielkiej, brezentem przykrytej łodzi, która kołysała im się nad głowami. Zgrzytnęły bloki.

— Bosman Sven Ahlberg, występ.

John Dobrey stał na uboczu, stał i oczom nie wierzył. Po-
dejść, zapytać? Było to nie do pomyślenia. Słowa komendy pa-
dały rzeczowo, ludzie zwijali się, po mokrym pokładzie ślizga-
ły się gumowe buty, skrzypiały bloki, dzwoniły łańcuchy,
świszczały naciągnięte liny. Więc jadą. Jadą bez niego. To nie
on podzieli dziś z Parsenem komendę i odpowiedzialność. W
pewnej chwili napotkał wzrok Henninga i zdawało mu się, że
we wzroku tym przemknęło coś, jakby złośliwa radość, ale za-
pewne było to przywidzenie: czymże on jest dla kapitana? I
czy kapitan może wiedzieć, że on, John Dobrey, ma jakieś spe-
cjalne powody, żeby się rwać do portu w tę okropną noc?

Ciężkie boki statku uderzały o nadbiegające fale. Dziób
podniósł się tak wysoko, że słychać było spadające z niego
strugi wody. Kiedy znów z rozmachem opadał, wokoło podno-
siły się istne fontanny wody. Per Henning poruszył się, prze-
suwając w ten sposób granatową plamę cienia na jaskrawo
oświetlonym decku, a Parsen zakomenderował:

— Luzuj talie!

W tej chwili rozległ się głuchy odgłos niby wystrzał i
wielka fala spod rufy zalała całkowicie podoficera. Marynarze
gruchnęli złym, krótkim śmiechem. Parsen nie poruszył się,
miał zalane oczy, przez chwilę nie widział, co się wokół niego
dzieje. Kiedy wody się przewaliły, potrząsnął ze złością ra-
mionami i wysokim głosem powtórzył rozkaz:

— Luzuj talie!

Łódź dotykała już rozpadliny między falami, marynarze,
którzy z nią razem spadli, wystawili bosaki, chodziło o to, żeby
się nie rozbić o boki okrętu i odsądzić się jak najdalej od nie-
bezpiecznego pudła. Motor już był zapalony.

Poul Parsen skoczył ostatni do łodzi i ujął ster.

Per Henning poszedł pić. John Dobrey stał z boku, patrząc za oddalającą się łodzią, miotaną wściekłymi uderzeniami fal. Cóż teraz robić? Na dobitkę idzie burza. Wszystkie jego plany uległy rozbiciu. Niepojętym zbiegiem okoliczności usunięto go z miejsca, które mu się bezspornie należało. A tak był pewien, że on, właśnie on, będzie miał powierzone eskortowanie „chorzych”, tym bardziej że zadania było trudne, a on wywiązywał się zawsze najlepiej ze wszystkich trudnych poruczeń. Więc ta możliwość odpadła całkowicie. Ale wraz z nią odpadła także inna. Cóż to było, zbieg okoliczności czy wyjątkowe zrządzenie losu, które tu go zatrzymało? O tym, żeby się dostać do brzegu przy tak wysokiej fali, nie mogło być nawet mowy, choć był wspaniałym pływakiem. Stalowe mięśnie jego rąk i nóg nie ulegną wprawdzie w walce z żywiołem, ale łyknie raz, drugi wody, zdradziecki, słony płyn dostanie się do płuc i koniec. Czyż taka ma być jego walka? Trzeba wszystko odłożyć do jutra, ale wypadki toczą się tak szybko, że nie podobna zgadnąć, co jutro przyniesie. Jutro to wielka niewiadoma. A chorzy? Mogą przed jutrem zginąć bez ratunku.

raz zaszczepionej śmierci **nie** wyrwiesz **im** z ciała. **Jutro?**
Tylko głupiec liczy na jutro, gdy dziś trzeba coś zrobić. Pa-

trząc na wzburzone morze John Dobrey wyłamywał sobie palce.

Łódź znikła w oddali, jakby ją pochłonęła ciemność. Marynarze odsunęli się od groźnych boków okrętu, byli teraz na pełnym morzu. Jeszcze chwila i pierwszy oficer statku nr 1092 wydał rozkaz skierowania silnego reflektora w stronę szalupy, by oświetlić jej drogę. W jego jaskrawym świetle wałaca się zewsząd woda zdawała się załodze jeszcze groźniejsza, rozmiar fal wzrastał, przerażającą czarnością ziały ich przepaście.

— Psiakrew! — zaklął Lenart Westerlund, który siedział ze Svenem — mogliby zgasić tę świeczkę, byłoby raźniej.

Z trudem chwytał oddech, wiatr dosłownie urywał mu u samych ust wyrazy i rzucał daleko na morze, jak rzecz zbędną i nikomu niepotrzebną.

— Aha — mruknął Sven, ale sam usłyszał tylko sapnięcie, które wyrwało mu się z ust. Claes Norling, sanitariusz, milczał, drugi sanitariusz wzdychał ciężko.

Parsen ustawił wreszcie szalupę w dryf, nie groziła jej już tak bezpośrednio każda nadbiegająca fala, mimo to jednak łódź miotana się jak szalona na wściekłej kipieli pian, stając dęba i gwałtownie opadając w tył jak narowisty koń. Marynarze sprężyli mus kuły, przyjmowali instynktownie najwłaściwszą pozycję, żeby nie dać się zmieść z ławek. Za nimi ziała woda, wzburzona, nieustannie w ruchu, miotająca się bezcelowo w tę i w ową stronę, nieogarniona. Ludzie byli otoczeni czymś, co robiło raczej wrażenie roztopionej lawy czy kamienia, przybierającego w blaskach reflektora kolor chińskiej jaszmy, jaskrawszej od trawy; kamień ten rzeźbił się co chwila w jakiś inny kształt, wznosił się i zapadał, wydymał od spodu, ścigał ich, dolatywał, wspinał się, przechylał, w spadaniu znowu wygładzał i tracił ostrość kantów, rozlewał się w rozle-

głą dolinę, która znów stawała się górą, nachylał się z szałem i groźbą, pękał z hukiem i zatapiał.

Claes skulił się, wielka fala zaproszyła go deszczem. Poul Parsen kierował sterem. Jego oczy w jaskrawym świetle były nieruchome i szkliste.

— Uwaga! — krzyknął Sven — musimy stać w dryfie, na prawo, ciągle na prawo.

Górą niósł się świszczący wiatr, reflektor wyławiał rozmaite, wciąż szybko mknące obłoki, które, ożywione własnym życiem, wyłamywały się nagle z jednolitej masy chmur. Los skupionych w kruchym pudle ludzi zależał od podmuchu wiatrów.

Zrobiło się zimno, woda przemoczyła ich do nitki, niewiele pomogły sztormowe ubrania i zydwestki, zawiązane pod brodą. Wicher kazał zamykać oczy, przekłuwając na wylot powieki, by sięgnąć tęczówki. Początkowo sprężali mięśnie, żeby się bronić przed żywiołem, żeby mu się przeciwstawić, żeby go przyjąć, jak zapaśnik przyjmuje zapaśnika, ale po dwudziestym czy trzydziestym uderzeniu osłabli, zmiękli i tylko uchylali się, kiedy woda chlustała w każdą fałdę odzieży, przenikając wymyślne zagięcia impregnowanego materiału.

— Psia... psia służba! — wykrzyknął Sven, kiedy bałwan uderzył go w twarz.

Pierwsze błyskawice zapalały się na horyzoncie, szalupa wjeżdżała już w zasięg światła morskiej latarni Inczonu, z daleka widać było główki falochronu, koło których wściekle miotła się woda, wybuchając tryskającymi do nieba słupami. Dłonie pękały od sterowego koła, zdawało się, że skóra zostanie na jego wyslizganym drzewie.

— Uwaga! — krzyknął Parsen — teraz największa sztuka. — Potem nachylił się do ucha sanitariusza i wrzasnął: -- Wpaść między te przekłete główki, rozumiesz!

Wyniosła fala wzdęła się nagle pod nimi i rwała ich ku kamiennym wałom.

— Cofnij, cholero, trzymaj! — ryczał Sven chwytając sternika za ręce. Przelecieli bokiem, omal nie otarłszy się o granitowe głazy. Szalupa śmignęła jak strzała wystrzelona z łuku, już byli poza wałem. Woda kipiała i przelewała się wściekle, jakby z rozpaczy, że jej umknęły ofiary. Zawrócili.

— Teraz! — krzyknął Lenart.

Trafili na falę wielką, ryczącą i złowrogą, która wzdęła się nagle i poniosła ich na swoim rozłożystym grzbiecie.

Z lewej strony ludzie nastawili bosaki, ściana przesunęła się kolo nich błyskawicznie, wypluło ich z rykiem na spokojne wody. Łódź jak naoliwiona zakręciła się w nagłej ciszy.

— Zjedzą diabła, jeśli mnie dzisiaj zobaczą — mruknął Sven zarzucając cumę na nabrzeże — jeszcze mi życie miłe.

Ryk wody został teraz zagłuszony innym, potężnym, narastającym z każdą sekundą szumem. Nadlatywała eskadra koreańskich bombowców w asyście śmigających wokoło jak jaskółki ścigaczy. Syreny portowe zawyły.

— Ha, ha — roześmiał się szaleńczo Lenart — nalot! A tośmy trafili! Po sto dolarów murowane!

Potężny huk zagłuszył jego słowa.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Wyskoczyli z szalupy. Ograniczona przestrzeń, niepewny, kolebiący się żywiół pod nogami przerażał ich.

— Biegiem! — krzyknął Parsen.

Runęli przed siebie jak szaleńcy, ale nie było to łatwe. Tu, przy nabrzeżu, piętrzyły się żelazne grzyby słupów, wiły splątane liny, zagradzały drogę naprężone łańcuchy przytrzymujące jole, sampany i łodzie. Gdziekolwiek leżały sterty desek, przyzmy brukowych kamieni, góry pak. Sanitariusze przewracali się i zrywali znowu. Nie obeznanym z morzem zdawało się, że goni ich, spiętrzone, złe, że wyciąga za nimi złośliwe języki, lepkie jak język kameleona, do którego lgną drobne stworzenia.

Żywa ściana ognia zagroziła im drogę.

— Padnij! — ryknął Parsen.

Podcięło im nogi. Twarze kaleczą się o łańcuch, o kamień, o żwir. Chcieliby zapaść się w jakieś głębiny, chcieliby, żeby zatrzasnęło się nad nimi wieko czegoś, co może ich odgrodzić od płonącego świata. Paznokcie drapią kamienne płyty nabrzeża, ciało szczelnie przylega do gładkiej powierzchni. Niebo zieje ogniem.

I nagle — cisza. Grupa bombowców przeleciała, ogień przygasł, kamienie wróciły na ziemię. Oto przed nimi, tam gdzie znajdowały się flizy chodnika, zieje ogromny lej. Sorensen jest lekko ranny, krew cieknie mu po skroni i zalepia oko.

— Nic nie widzę — jęczy.

— Ty ciemnego — kinie Sven Ahlborg — nie zatrzymuj się! A teraz biegiem do posterunku!

Żołnierze pochowali się, poprzywierali ciasno do ścian, pokładli się w błocie za węglem. Teraz wynurzają się, wstępują w światło, nerwowo wyciągają bagnety.

— Kto idzie?

Poul Parsen podaje hasło pod ulewnym deszczem.

— Może byście nas tak zaprowadzili na posterunek żandarmerii? — pyta po angielsku.

Sven szczęka zębami. Więc to tak. wygląda wojna. Leży się w pełnym oświetleniu na kamiennych płytach, a z góry do ciebie strzelają. Lenart Sorensen już nie kpi, palcami rozmazuje krew po brudnym policzku, krew miesza się z błotem i słoną, morską wodą. Sól dostała się do rany i piecze. Tylko Claes patrzy wokoło zdziwionymi, rozszerzonymi oczami dziecka.

— Też się wybrali, do ciężkiej cholery — mruczy żołnierz. To Turek, który w czasie długiej i niebezpiecznej służby nauczył się już kilka słów po angielsku, więc rozumie, czego od niego chcą.

Idą ostrożnie po nabrzeżu, gdzie teraz nie ma żywego ducha. Wszystko, co żyje, pochowało się przed niespodziewanym nalotem. Nogi płaczą się w łańcuchach, ostre światło elektrycznych lamp wyolbrzymia przedmioty i umasywnia.

Pierwsza linia hangarów zamknięta jest żelaznymi prętami bramy.

Turek podszedł do niej, pchnął, zamek nie ustępuje.

— Allach il Allach — mruczy — trzeba obejść.

Zawrócił ich w prawo, patrzy z obawą w górę, deszcz pada niemal prostopadle i zalewa powieki, na horyzoncie znów zapalają się błyskawice. Ruchem ramienia wskazuje, że mają wspinać się za nim na rampę.

Rampa jest wąska, w pokojowym czasie spychano tędy wory z ryżem i fasolą, teraz ładuje się tu amunicję. Na boku stoją skrzynie, opakowane w jaskrawozielony papier. Mur z cegieł sięga wysoko, na boku mała, żelazna drabinka bez poręczy prowadzi na rampę. Turek wspina się po niej jak małpa,

tamci za nim. Idą po rampie, zeskakują na tamtą stronę, są teraz przed drugą linią hangarów.

Oddalony grzmot trzasnął biczem po niebie, sanitariusze instynktownie rzucają się na kamienie. Lenart Sorensen przywarł plecami do budynku, tu go może nie wypatrzą. Ale to nie bomby, to burza. Z małego, kamiennego sześcianu słychać szaleńcze krzyki, ktoś całą Bilą wali w drewniane, mocne drzwi.

Sven podniósł się, mimo woli wstrzymuje krok. Noc, piekło i wycie szatanów. Co krok zdarza się coś, co podnosi mu włosy na głowie.

— Co się tam dzieje?

Turek wzrusza ramionami i podrywa głowę do góry w geście zaprzeczenia, on o niczym nie wie. Koło budynku nie ma zresztą nikogo, wartownicy, jeśli tu tacy byli, ukryli się.

— Następne drzwi — mamrocze.

Podchodzą bliżej, jaskrawa łukowa lampa strzeże wejścia. Jak spod ziemi zjawia się wartownik o zmierzwionych pod hełmem włosach i ciemnych, wydętych ustach. Na kolanach i łokciach ma ślady błota, nadrabia miną. Wchodzą. Jasno, kłęby tytoniowego dymu, na stole butelki wódki i szklanki. Ostatni amerykański żandarm wyłazi właśnie z piwnicznego schronu. Tamci poprawiają na sobie mundury. Nawet szyba nie wyleciała.

— Cholera was tu przyniosła, przeklęte cywile — mruczy — czego?

— Specjalny transport — mówi onieśmielony Sven.

— Ofensywa się zaczęła, rozumiesz ty to, idioto? Front podchodzi, zaczyna się ofensywa, a wy tu wybieracie taki moment, talii moment...

— Kto mógł wiedzieć? — mówi Sorensen.

— Macie rozkaz?

Sven wyciąga papiery, na które sierżant tylko pobieżnie rzuca okiem, potem wstaje, dopina pas, nakłada powoli hełm.

— Jak myślisz, Ted — zwraca się do towarzysza — wrócić czy nie wrócić?

— Mogą wrócić — odpowiada po namyśle.

Claes odzywa się powolną mową jąkały.

— Ja... jak się zaczęło, to się tak prędko nie skończy.

— Milcz, durniu. Patrzcie go, będzie nam tu krakał. Skończy się, nie skończy się, nic tobie do tego. Kto to jest?

— Sanitariusz — odpowiada Sven.

Sven nadrabia miną. Są tu ludzie dobrze uzbrojeni, palą papierosy i fajki, na stole wódka. Ostatecznie nie ma powodu do przerażenia. Przylecieli i polecieli. Nie łatwo to chyba trafić z takiej wysokości.

— A gdzie wasze zenitówki? — pyta. Odpowiedzi nie otrzymuje.

Tylko Lenart Sorensen nie może się uspokoić. Zaciska ciągle palce na skroni, wydaje mu się, że w ten sposób zatamuje krew, która ścieka wąskim strumyczkiem do oka i zmarszczką pod nos.

— Nie macie bandaży? — pyta Claes.

Oczywiście, bandaże mają. Jeden z żandarmów otwiera żelazną, biało pomalowaną szafeczkę ze znakiem Czerwonego Krzyża.

— Na — powiada.

Lenart decyduje się wreszcie odjąć palce, rzeczywiście nic poważnego, powierzchowne draśnięcie, tylko naczyńko jakieś mocno krwawi. Claes z nadspodziewaną lekkością i zręcznością zaczyna mu bandażować twarz. Miednica, w której go mył, zabarwia się powoli krwią.

Żandarmi Military Police dopełnili umundurowania, zapięli pasy i kabury od pistoletów, nałożyli nieprzemakalne płaszcze. Jak trzeba, to trzeba. Lenart Sorensen czuje się o wiele lepiej, kiedy nie potrzebuje już myśleć, że życie może z niego wypłynąć razem z tą czerwoną ciecżą, która napełnia jego żyły — ale na myśl o wyjściu z izby strach oblatuje go na nowo. Cztery ściany dodawały mu otuchy. Tam na zewnątrz nieustannie pada deszcz pocisków. Wyjść stąd, to odsłonić się. Czyż naprawdę nie dalej jak dzisiaj rano mógł rozmawiać o sklepie w Kopenhadze? Nie, niemożliwe, nigdy już nie ujrzy kopenhaskiego sklepu, nigdy nie stanie za ladą z towarami bławatnymi, szkoda gadać. Tu zginie. Przyjechał tu lekkomyślnie po to, żeby zginąć. Droga od statku do portu wydała mu się najeżona przeszkodami nie do przebycia. Sam teraz nie rozumiał, jak mu się udało je pokonać. Zanurzyć się z powrotem w tę ciemność szpikowaną piorunami, w to ryczące morze? A któżby się na to zdobył?

Wyszli. Burza jakby się trochę oddaliła, deszcz ustał. Kołyszące się łukowe lampy przelewały spokojnie białe balony światła. Tylko koło lejów, wrytych przez pociski, krzątały się ciemne postacie, coś tam porządkowały, przesuwały, krzyczały.

Sierżant pchnął żelazną bramę, potem odsunął skobel. Otworzyła się. Przeszli.

— Zabrałeś papiery więźniów, Ted? — spytał.

— Tak jest, panie sierżancie.

Stanęli znowu przed kamiennym prostokątem, z którego pół godziny temu wydobywały się niesamowite ryki. Dwaj Filipińczycy stali na warcie, trzeci nadchodził z boku, słychać było tupanie jego nóg i chrzęst żwiru. Wszyscy jednak byli na miejscu.

— Kapitan żąda, żebyście nam dali dwóch żandarmów. Trzeba kogoś aresztować na pokładzie.

Sierżant spojrział na żandarma, żandarm na niego.

— Ci dwaj mogą jechać.

— Aresztować? — spytał Lenart. — A kogo? Kto się tam mógł do nas zakraść?

— Milcz — powiedział szeptem Sven — taki rozkaz.

— Jak rozkaz to rozkaz — uspokoił się Lenart. — Chyba nie mnie, bo ja tu jestem — dodał i coś niby uśmiech przewi-
nął mu się przez wargi.

Więżniowie też usłyszeli kroki.

— Próbuje jeszcze raz — rzekła Ok Lan — Mu, za-
czynaj.

— Ofensywa zaczęła się — szeptał Coj — rozpoczęła się
ofensywą naszych wojsk.

Zgodnie zabębnił pięściami w mocne drzwi.

Drzwi się otwały. Za drzwiami, w jaskrawym świetle łukowej lampy, widać było paru marynarzy i pluton żołnierzy z bagnetami nasadzonymi na karabiny. Ok Lan cofnęła się, tamci czterej zamarli w miejscu. Wrażenie było zbyt silne i zbyt nieoczekiwane. W oczach mieli jeszcze odblask wielkiej radości: ofensywa się rozpoczęła!

Sierżant miał twarz nieprzeniknioną. Wyprężony, jak przed frontem skinął z uroczystą miną na żołnierza, żeby mu podał papiery. Przybliżył je do oczu, nie trzeba się kłopotać o światło, bo łukowa, kołysząca się z wiatrem lampa dawała go dość. Przerzucając jeden arkusz po drugim czytał.

— Li Don-chen.

Li wyrwał się z osłupienia i przeszedł powoli przez drzwi, którymi wyrywał się na wolność. Ponuro zadźwięczały łańcu-

chy krępujące mu nogi, skrwawione szmaty na rękach zwisały wzdłuż ciała.

— Coj Sek-won.

Coj przeszedł szybko z podniesioną głową, za nim posuwała się Ok Lan pewna, że teraz właśnie padnie jej nazwisko. Istotnie, padło.

— Ok Lan.

Stała już w progu, jej twarz nie zmieniła wyrazu, oczy miała, spuszczone.

— Lu Czen-ming.

Wyszedł zamyślony, twarz jego niczego nie wyrażała. Czy to był pluton egzekucyjny? Ten ślepy mur na lewo nadaje się doskonale do wykonania wyroku.

— Ofensywa się rozpoczęła — mruknął sam do siebie.

— Czen Ir-mu.

Mu był ostatni. Patrzył za towarzyszami, jak szli na śmierć, to wróciło mu siły. Nic jest od nich gorszy, choć najmłodszy, pewnym krokiem przestąpił próg.

Stali między żołdakami, nie rozmawiali: cóż tu sobie teraz powiedzieć? Nie jest to jeszcze uroczysta chwila pożegnania.

Ted trącił sierżanta.

— Bydło, co? Stoją jak bydło na rzeź.

— Ba, żeby to stali spokojnie! Oni się śmieją. Dobrze mówił bombardier: „guki“ nic nie czują.

I zakomenderował:

— Na ramię broń!

Rozległ się metaliczny szczęk. Gromada międzynarodowych zbirów odprawiała swoje rytuały przed wydaniem niewinnych na męki. Sierżant wezwał obu Filipińczyków.

— Wystąp. Pojedziecie motorówką z podoficerem na statek nr 1092 z powrotem przywieziecie więźnia.

— Rozkaz, panie sierżancie — powiedział jeden z Filipńczyków i rozejrzał się ze strachem wokoło.

Sierżant oddał Parsenowi papiery więźniów.

— No, więc ich macie. W porządku. Nie zginął ani jeden — roześmiał się hałaśliwie — jest i dziewczyna. A jak ich dowieziecie — tu wskazał gestem groźne, ryczące w oddali morze — to już nie moja rzecz. — I znów zakomenderował. — Oddział marsz!

Żołnierze otoczyli więźniów, Minga pchnęli, bo stał jakoś najbliżej i wydało im się, że się ociąga, wreszcie pomaszerowały twardą nawierzchnią między dokami. Buty ich głucho stuknęły w ciszy. Słysząc było z daleka groźny oddech morza, jakby sapał jakiś olbrzym, który zaległ zasadzką wybrzeże. Światła było dość, wszędzie kołysały się wielkie łukowe lampy, białe jeziora między wyspami cienia. Gdzie odłamek stłukł żarówkę, ziała szczerba nocy jak dziura po wyrwanym zębie. Maszerujący oddział roztapiał się w ciemności, to znów się skupiał, jak gdyby twardniał i gęstniał w kontrastowym, białym świetle lamp.

Minęli już długi mur oddzielający składy zboża od innych budynków. Ming rozumiał nieco po angielsku, zrozumiał też, że ich przekazują na jakiś statek. Więc będą płynąć? Dokąd? Może na którejś z niedalekich wysp jest jakiś obóz koncentracyjny? Nie poruszając wargami wyszeptał patrząc na Coja:

— Może nas przekazują do obozu?

— Na pewno nie — powiedział Coj — nie po to nas tu przywieźli, żeby teraz przekazać do obozu.

— Więc co myślisz?

Coj wzruszył lekko ramionami. Powietrze upajało go. Oto jak wygląda ucieczka, którą zaplanowali. Ano, były chyba tylko dwie szanse na sto, że się uda. Nie udało się. Co będzie dalej?

Ale przecież rozpoczęła się ofensywa, dość tego cofania się. A gdyby ich odbili? Ten pierwszy od dłuższego czasu poważniejszy nalot nie jest rzeczą przypadku. Za pierwszym nastąpią inne, za nalotami ataki z lądu i bombardowania z morza. A gdyby ich odbito? Czyż nie jest to możliwe?

— Może nas odbiją — powiedział starając się również nie poruszać wargami — o ile nie zostaniemy zastrzeleni tej nocy.

Dostał po plecach kolbą.

— Milczeć tam!

Żołnierze dostosowali krok do powolnego kroku skutych więźniów, ostatecznie nie było się do czego spieszyć. Skoro raz się wylazło spod okapu, to już wszystko jedno. Ogromne kałuże po deszczu rozlewały się szerokimi, żółtymi plamami. Nogi w wielkich butach wybijając takt podnosiły fontanny wody.

Skręcili w lewo, potem poszli kilkadziesiąt kroków prosto, potem znowu w lewo. Woda nie zaraz się odsłoniła, choć te wszystkie budynki z matami i pokładami nie miały już innych prócz niej fundamentów. Potężne światła lamp ukazywały bliskie kadłuby, wyławiając jednym niespodziewanym błyskiem tysiące szczegółów. Miotła latarni morskiej zamiatając horyzont ukazywała ogromne, widmowe fale, pędzące ku stałemu lądowi.

Poul Parsen ukazał gestem motorówkę.

— Siadajcie, siadajcie — komenderował sierżant, nieco zniecierpliwiony.

Trzeba wracać — pomyślał Sven. Raz jeszcze spojrzął na dalekie morze, po wszystkich przejściach tego wieczora wydało mu się ono cieplejsze, bezpieczniejsze.

— Prawdę powiedziawszy, można by przenocować w jakiejś szopie — mruknął na pół pytająco Parsen — statek nie ucieknie, po co tam gnać na złamanie karku.

— Czemuście tak od razu nie powiedzieli? — rzeki sierżant.

Choć ostatecznie dałoby się to i teraz zrobić.

Tymczasem znowu zawyły syreny i światła nabrzeża raptownie pogasły. Powietrze zatrzęsło się rytmicznym hukiem, to nadlatywały nowe bombowce wojsk koreańskich, znów rozjaśniła się ciemność. Ukazały się zrzucone z samolotów na spadochronach świece, pływające spokojnie po niebie niby białe i nieruchome meduzy w swoim płynnym żywiole, i opadały powoli ku portowi.

— Padnij! — ryczał Parsen.

Nie było gdzie się schronić, budynki zostawili daleko za sobą, ta część portu była pusta. Noc od razu zamieniła się w piekło: po niebie mknęły czerwone smugi zenitówek, a huk i ogień zapanowały wszechwładnie. Najbliższy budynek zajął się ogniem, wyrwane kamienie gwizdały w powietrzu, zdawało się, że niebo wali się na głowę.

Coj uniósł z lekka twarz — cóż, ryzykował. Poszukał oczami Minga, był tuż. Nieznacznym ruchem łopatek próbował jak wąż odczołgać się nieco dalej w ciemność. Zabrzęczały o kamień łańcuchy, ale nowa seria wybuchów znów rozłożyła wszystkich pokotem. Żołnierze nie rozbiegali się, nie było dokąd.

Bombowce przeleciały. Wybuchy na chwilę zamilkły, tylko czerwona, ściana zdawała się rosnać zamykając widnokrąg. Ming przesunął się jeszcze trochę dalej, łańcuch jego ręki zahaczył o łańcuch sampanu na wybrzeżu i Ming znieruchomiał.

Wtedy poczuł czyjąś ostrożną rękę, jak odczepia łańcuch. Odczepia? Podniósł oczy i napotkał wejrzenie Claesa.

Ale teraz cała przestrzeń napełniła się znowu ludźmi. Biegli zewsząd, choć syreny nie odwołały jeszcze alarmu. Rzucali się do zalewania płomieni, odciągali na bok trupy. Claes ostrożnie próbował swoich rąk i nóg, ukląkł naprzód na oba kolana, a potem powstał. Nie był ranny. Obok niego leżał ciężko ranny Lenart Sorensen. Kiedy Claes spróbował go podźwignąć, głowa zwisała bezwładnie. Claes pochylił się i przyłożył ucho do piersi: serce nie biło. Dalej leżał Sven, jego głowa była jedną krwawą masą.

— Pomóż mi — zwrócił się Claes do marynarza. Dźwigali Svena nie wiadomo dokąd, byle jak najdalej. Claes nie patrząc widział, że Chińczyk odczołgał się już dość daleko w bok. Dwaj Filipińczycy me istnieli, nawet ciał ich nie było widać w pobliżu.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Ming czołgał się wytrwale naprzód, było to jednak niezmiernie utrudnione. Łańcuchy, którymi był skuty, zaczepiały o wystające żelaza i belki leżące na jego drodze. Skute ręce nie pozwalały sięgnąć aż do nóg, ażeby zwolnić ogniwa. Czego się spodziewał? Sam nie wiedział. Tymczasem chciał być jak najdalej. Nigdzie przecież nie mogło być gorzej niż teraz tutaj.

Leżąc na boku i oddychając ciężko, spojrział przez ramię za siebie. O jakże niewiele się odsunął! W świetle palącej się szopy widział marynarza z eskorty, jak ująwszy pod pachy

któregoś z rannych towarzyszy próbował wyciągnąć go na jakieś bezpieczniejsze, mniej odkryte miejsce. Poznał go, to ten sam, który pomógł mu odczepić łańcuch. Co chwila ktoś tam wstawał, nachylał się, klękał, odchodził, a ruchy tych czarnych sylwetek, schematyczne i jakby z góry obliczone, a odcinające się tak ostro na tle ognia, przypominały Mingowi teatr cieni, który go tak zachwycał w dzieciństwie.

W dzieciństwie — pomyślał i wciągnął tak głęboko gorące, pełne sadzy powietrze, aż się zakrztusił. Czyż człowiek wie, w jakim punkcie własnych dziejów urwie się jego życie?

Raz jeszcze mocno zaciągnął się powietrzem i znów podkurczył nogi. Dziwacznie powyginany pręt żelazny, zaplątany w łańcuch, ciągnął się, za każdym jego ruchem wydając cichy zgrzyt. Wyciągając krótkimi ruchami w przód raz jedną, a raz drugą rękę podciągał za nimi całe ciało. Bał się wstać, choć to przyśpieszyłoby ucieczkę. W takiej chwili zapewne nikt nie zwracał na więźniów uwagi, należało się jednak strzec. Łańcuch towarzyszył mu z cichym pobrząkiwaniem, przestrzeń była gładka, żelazo ślizgało się bez trudu. Skręciwszy w górę od nabrzeża mniej się spotykało cum, które pajęczą siecią zagradzały drogę.

Przelotnie pomyślał o dziewczynie, miał nadzieję, że rozpełzli się wszyscy. Dobra dziewczyna, dzielna dziewczyna. Dobrzy, dzielni towarzysze. Chciał się przedostać poza pierwszą linię składów, tam może uda mu się jakimś kamieniem rozbić kajdany. Byłe mieć wolne nogi. Ofensywa! A może natarcie jest tak blisko, że uda mu się dotrzeć do swoich? „Nikczemne kąty, osiągniemy was“ — pomyślał.

Znów opadł na ziemię, bolało go całe ciało. Podniósł głowę jak niemowlę, dla którego pierwsze uniesienie głowy, to wielkie zwycięstwo.

Widział przed sobą słup latarni, była rozbita i nie dawała światła. Musiał wytknąć sobie jakiś cel, inaczej skona z wysiłku. Jeżeli doczołga się do tej latarni, wstanie, będzie mógł łatwiej i szybciej się posuwać. Ile to może być? Dwa dni, trzy dni? W każdym razie niedaleko.

Posunął się jeszcze o metr i zamarł. Spomiędzy dwóch budynków wysunął się patrol wojskowy złożony z trzech ludzi i szedł wprost na niego. Jednocześnie rozległ się odwoławczy sygnał syreny i nabrzeże zajaśniało światłem.

— Choroba — usłyszał Ming — świecą jak jasna cholera. Chcą ich z powrotem przywabić, czy co?

Zamknął oczy. Może przejdą, nie dostrzegą albo pomyślą, że jest zabity. Serce w nim zamarło. Poczul na żebrach mocne kopnięcie, ale nawet nie jęknął. Ciekawe, uderzenie odbija się aż w mózgu.

Jeden z żołnierzy nachylił się, Ming leżał bez ruchu, z zamkniętymi powiekami.

— Jakieś bydlę tu leży — powiedział.

Z naszych? — spytał drugi głos.

— Nie, skutny.

— Żywy?

Radzili nad nim we trzech, jeden zaświecił mu w oczy latarką, powieki mimo woli mu drgnęły.

— Żywy, tylko widać ogłuszony przez wybuch.

— Daleko go odrzuciło.

— Albo się sam odrzucił. Daj rewolwer, w moim nie ma ani jednego naboju.

Ming nie poruszył się i teraz. Ciekawe, czy strzał huczy w czaszce?

— Uspokój się; może to ktoś na badanie. Dałby ci porucznik!

— Będziesz go dźwigał?

— Niedaleko. Ani mi się śni dźwigać. Pociągnę za nogi.

Głowa sunie po piasku, po tym miękkim piasku, który nie zatrzymywał łańcucha. Ming wykręcił szyję, aż mu w kręgach chrupnęło: w usta pchała się ziemia, w czaszce huczało, jakby miała pęknąć lada chwila.

Claes próbował nieść Svena, tęgie i ciężkie ciało zwisało bezwładnie. Od płonącego budynku wiało ciągle nieznośnym żarem. Z boku był jakiś dach czy tylko okap, który mógł dawać chwilową osłonę.

Żeby chociaż mieć gdzie obandażować tę głowę, żeby chociaż spróbować ratunku. Może się i tak nic nie da zrobić — ale żeby choć próbować ratunku.

Parsen zawołał:

— Dokąd?

Ciężko dysząc Claes odpowiedział:

— Obmyję mu twarz.

— Rzuć go do diabła, nie odjeżdżamy. Ani mowy. Deszcz sam obmyje mu pysk. Patrz, tam idą z noszami, daj go na nosze. Mają tu chyba, do diabła, lazaret polowy, tam go umieścimy. A Sorensen? Gdzie jest Sorensen?

— Nie żyje.

Oficer znowu zaklął.

— Sorensena można zostawić, jutro go znajdą.

Kiwnął na sanitariuszy z noszami, załadowali Svena, leciał im przez ręce, jego wielkie ciało przelewało się przez drągi i płótna.

— A teraz biegiem!

Krwawa głowa Svena spadała, mogło się zdawać, że swoim ciężarem pociągnie całe ciało, tak była wielka, jakby rozde-

ta. Sanitariusze znów się zabrali do ułożenia ciężaru na płótnie. Claes, taki zwykle flegmatyczny, kłął jękając się.

— A to... to... to... niedołągi jakieś!

— Pilnujcie więźniów — rozkazywał Poul Parsen — czy nikogo nie brak? Zaraz się ich zabierze.

Claes rozejrzał się: w migotliwym, czerwonym świetle, które teraz od drugiej strony barwiło się białą poświatą łukowych lamp, widział ich wszystkich. Leżeli bez ruchu, jedni bliżej, inni dalej. Nie było tylko Minga. Dziewczyna zaplątała się w liny, nie mogła się podnieść. Claes, ciągle w tym dwoistym świetle, widział jej wyniosłą, obojętną twarz z zaciśniętymi ustami.

— Raz, dwa, trzy, czterech — liczył Amerykanin. — Było pięciu, jest czterech. Czyżby to wybuch? Ruszcie się, Norling, poszukajcie.

W tej chwili zbliżył się ku nim patrol. Dwaj żołnierze szli przodem, trudno się było domyślić, co wloką z tyłu. Rozstępując się nagle na boki wybuchnęli głośnym, nerwowym śmiechem, który obnażył ich wielkie zęby.

— Macie tu jeszcze jedno ścierwo, nie wiem, wasze czy nie wasze.

Oddalali się tym samym równym krokiem, mocno wybijając takt butami. Ming leżał w dziwacznej, nienaturalnej pozie, z głowy sączyła mu się krew. Claes chciał mu ją zabandażować, sięgnął po coś do torby.

— Daj pokój tej cholercze — powiedział Parsen — przynajmniej leży spokojnie, nie rzuca się.

— Od... odpowiadamy za niego — powiedział Claes. W głowie kłębiły mu się myśli: ratować czy nie ratować? Może umiera? Czy taka śmierć nie najlepsza? A w każdym, razie czy nie lepsza od losu, ku któremu go wloką?

— No to bandażuj — zgodził się oficer.

Claes poczuł pod palcami pulsujące życie. Coś się tam poruszało, przelewało cienkimi naczynkami, unosiło rytmicznie, drgało. Życie człowieka, cenne, piękne, godne najżywszej troski. Kremowa skóra miękka była i ciepła.

— Trza... trzasnęli go, bydlaki, jak go wlekli — powiedział jękając się z obrzydzenia bardziej niż zwykle.

— Będiesz się tam bawił... Byle nie zdechł.

Coj powoli wracał do życia, Ok Lan poruszyła się i jęknęła. Ten jęk wyrwał jej się wbrew woli, sama nie wiedziała kiedy, usłyszała go tylko. Że też to człowiek nie jest władcą swego ciała!

— No, idziemy — zakomenderował Poul Parsen, ale w tej chwili znowu odezwały się syreny. Służba radarowa meldowała, że samoloty nieprzyjacielskie wracają. Światła raportownie wygasły. Sanitariusze przy noszach poruszyli się niespokojnie, Claes flegmatycznie skierował się w stronę, z której przyszli.

— Gdzie leziesz? — dyszał Parsen. — Gdzie leziesz? Uciekajmy, tam zaraz będzie znowu piekło, uciekajmy!

— Ale dokąd? — spytał Claes przystając.

— Prędeż, prędeż, zabierajmy ludzi, niech wstają, po-pędźcie no ich trochę, na łódź, na łódź! Teraz najbezpieczniej będzie na morzu, uciekajmy!

Claes drżącymi rękami rozplątywał łańcuchy Ok Lan i znów w mózgu zakołatała gwałtownie myśl: do czego ją wie-zie? Czy nie lepiej... Ale nie było już czasu na żadne namysły. Amerykańscy żołnierze zaczęli kolbami podrywać więźniów na nogi, Koreańczycy chwiejąc się wstawali, syreny wyły jak opętane, a ich głos w ciemności był jeszcze przenikliwszy i

bardziej przerażający niż przy świetle. Zaraz będzie nowy nalot, wojska ludowe postanowiły nie dać im

widocznie przez całą noc spokoju. Podoficer przynagłał Claesa, drugi sanitariusz ciągnął go za ramię, podnieśli Chińczyka, który zaczął przychodzić do przytomności. Gwałtownie kołysały się pod nimi deski, motorówka szarpała się jak żywa.

— A tamten?

Byliby zapomnieli o Svenie. Claes był pewien, że już go umieszczono w łodzi, powinien być być pierwszy. Przełożył znów nogę przez burtę.

— Gdzie leziesz, chcesz, żebyśmy cię zostawili? — dyszał podoficer.

Zapuszczali już motor.

— Idę po Svena! — odkrzyknął Claes.

Już się teraz nie jękał. Tamci klnąc trzymali łódź. Sanitariusze na brzegu uciekli pozostawiwszy nosze. Claes sam szarpał Svena za nogi, wreszcie ujął go pod pachy, wprawnym, wielokrotnie ćwiczonym ruchem zarzucił go sobie na ramię. Trudno mu było iść z tym ciężarem, koledzy w szalupie niecierpliwili się i klęli, pośliznął się, byłby upadł. Ktoś podtrzymał go ramieniem. Syreny ciągle wyły.

— Bosaki!

Rzucili cumę, potem ten, który rzucił cumę, skoczył sam. Bosaki były w pogotowiu. Zaraz połknęła ich, zakręciła nimi czarna, kipiąca woda. Na statku zapomniano o nich, reflektor się nie jarzył, statku nie było widać. Przywarował w ciemności jak zły pies. Motor warczał, fala chlustała w twarz, popędzili przed siebie. Chmury wisiały nisko, miotając raz wraz igłami drobnego deszczu, na horyzoncie na nowo zaczęły się rozpalać białe błyskawice.

I znów zaszumiało niebo od skrzydeł samolotów. To trzeci tej nocy nalot koreańskich bombowców. Claes siedział w łodzi wyciągnawszy przed siebie nogi, niezdolny do żadnego wysiłku, ba, do żadnego niemal ruchu, czuł się zmięty, wyciśnięty jak cytryna. Fala, deszcz, nalot, gwałtowne przechyły płasającej, łodzi, to wszystko nie wywoływało w nim żadnych reakcji. Siedział wyciągnawszy przed siebie nogi, a palce jego rąk wpijały się z siłą w drzewo ławki. Nie czuł tego, nie myślał. Z olbrzymiej, ciemnej widowni morza patrzył rozszerzonymi oczami na jaskrawo teraz oświetlony spadającymi wolno świecami biały teatr bombardowanego portu.

Łódź, wyrwawszy, się spośród główek falochronu, wpadła w wir, Śruba motoru przecinała z jękiem lepki gąszcz wody.

Ile morze, jak myślisz?! — krzyczy Poul Parsen.

— Co najmniej pięć*! — odkrzykuje Claes i znów wichler porywa z ust słowa lepiąc z nich jakby wielką, nieforemną gamę dźwięków, którą z jednej strony słyhać, a z drugiej, równie bliskiej nie słyhać już nic. Mały reflektor łodzi zaczyna miotać po fali kule swego światła, które to wznoszą się, to znów ześlizgują po piętach szalejącej wody.

— Zgaś — ryczy Parsen — zgaś!

I znów nie widać wody, chociaż porywa ich i niesie, kręci nimi, podnosi i rzuca z hukiem w swoje ciemne zakamary. Od czasu do czasu zadzwoni łańcuch któregoś z więźniów, szarpnięty gwałtownym przechyłem. Więźniowie milczą, choć wichler dmący w twarz i woda, cebrami lejąca się za kołnierze, dawno ich ocuciły. Nie mówią do siebie ani słowa, siedzą sztywno, jeden niedaleko drugiego, poprzegradzani dla bezpieczeństwa marynarzami ze statku szpitalnego nr 1092. W

** Wiatr o sile 5° podług skali Beauforta, tj. o szybkości średniej 8,6 m/sek.*

fosforyzującej ciemności majaczy białawą plamą owal twarzy dziewczyny i unosząca się jakby samoistnie w powietrzu głowa Chińczyka. Masy wody toczą się, rwą naprzód, ciągnąc łódź w niepowstrzymanym pędzie. Diabelski to wyścig! Szalupa śmiga niczym mewa na gotującej się powierzchni olbrzymiego, czarnego kotła, który wybucha bałwanami ku niebu.

A tam daleko przed nimi płonął fajerwerk portu. Trzeci nalot był silniejszy i trwał dłużej od poprzednich. Pomimo swej rozgałęzionej służby wywiadowczej, pomimo oddziałów radarowych i zenitówek, Amerykanie nie byli przygotowani na kontrofensywę. Przeciwnie, po paru miesiącach wojny, z trudem, ale nieustannie posuwając się na północ, nabrali przekonania, że ten nieszczęsny kraj w całości już do nich należy. Ciężej to szło, niż przypuszczali, ale szło. Wojna kołysała się na tym łądzie w tę i w tamtą stronę, jak chichocząca się, wysoka fala.

Rakiety spadochronowe tkwiły niemal nieruchomo w gęstym powietrzu — białe, sennie poruszające czułkami meduzy w płynnym atramencie atmosfery. Ale znad raket były celne bomby wypędzając wszelkie życie z kamiennych nabrzeży. Nie gasły płonące baraki, bijący w niebo dym oświetlony był od spodu, bure kłęby miały podszewkę z płomieni. Pociski przerywały pionowymi smugami niebo, zenitówki szyły na ukos płonącymi ściegami, zawieszając w górze razem z raketami kratę ognia. Poza tą kratą wybuchające co chwila bliżej i dalej pożary potrząsały grzywą ognia o kształcie to wiotkim i zmiennym, to znów masywnym, nieruchomym i groźnym. Grzyb dymu i ognia podnosił się coraz z innej strony nieba, ukazując nowe, niewidoczne dotąd chmury. Ich nisko pełznące brzuchy barwiły się od spodu rozlewającą się coraz szerzej lepka posoką płomienia. Stąd, z czarnej, milczącej widowni

morza, widać było drobne, szybko pomykające sylwetki tych, co nie zdążyli schronić się pod ziemię, W chmury bił huk i krzyk.

Łódź jak cienka igła przesywała fale czarne i bezpieczne, podczas kiedy stojące w porcie okręty z amunicją eksplodowały, rozrzucając wokoło ciemne deski i rozpalone nity.

Statek szpitalny nr 1092 wynurzył się z nagłą przed nimi swoją wielką masą, choć raczej usłyszeli go, niż zobaczyli. Niemal w ostatniej chwili sternik zdołał zakręcić sterem, marynarze podnieśli bosaki i wrzili je z siłą w żelazny kadłub, wsparli się na nim niejako. Już dostrzeżono ich z góry, sam Per Henning stał na mostku i oczekiwał ich przybycia, w które, otwarcie powiedziawszy, zwątpił. Ano cóż, wojna to wojna.

Zgrzytnęły bloki, marynarzom ramiona mdlały z wysiłku, żeby utrzymać szalupę z dala od statku. Przymocowali rzuczone haki i oto już unoszą się balonem ponad ciemny żywioł, który ich tu przyniósł. Jeńcy siedzą bez ruchu — milczące, czarne wojsko cieni, rzecz, którą znowu zaczną przerzucać obce ręce, „surowiec” do doświadczeń i badań.

— Nie podnosić się! — komenderuje Parsen.

Li powstał zwolna, nie zrozumiał słów komendy. Łódź wynurzywszy się z morza szła równo do góry, kołysząc się tylko z lekka jak samolot, ale Koreańczyk stracił równowagę. Gdyby go kto teraz obserwował, mógłby widzieć podłużny, o zawiązanych rękach i nogach kształt, jak nachyla się zwolna przez burtę i leci głową w dół.

— Człowiek za burtą — wrzasnął Claes — koło mu rzucicie, koło!

Już ktoś odczepił koło na długim sznurze i zamachnął się ramieniem, żeby je rzucić jak najdalej w kipieli, kiedy zniemacka zjawił się Per Henning.

— Koło na miejsce! — komenderował — nie opłaci się, skutu — poszedł na dno jak kamień.

Claes trząsał się cały, ciemno mu się zrobiło w oczach, drżącymi rękami zaczął zrzucać z siebie ubranie.

— Co robisz, durniu?

— Pójdę — bełkotał — pójdę, pójdę...

I nagle zobaczył koło siebie chudą sylwetkę pastora.

— Księżę pastorze, tam człowiek w morzu, człowiek...
— bełkotał dalej.

Pastor odezwał się z godnością.

— Dajcie spokój, dobry człowieku, przecież to nawet nie chrzczone.

— Nigdzie nie pójdziesz, marsz do kajuty! — zawołał Parsen.

Claes stanął. Ręce zwisały mu wzdłuż boków. To prawda. Człowiek

już dawno nie żyje. Poszedł na dno jak kamień. I znów za-
tłukła mu się po głowie myśl: czy to nie lepiej?

Gromadka więźniów stała bez ruchu na pokładzie. „Partia jest litosna“ — myślał Ming. — „Partia pozwala na samobójstwo, o ile człowiek sądzi, że nie wytrzyma mąk“. Ale on nie myślał o samobójstwie. On chciał być bohaterem, chciał, żeby o nim układano pieśni, ochotnik chiński, który mogąc spokojnie siedzieć w ciepłym domu, poszedł dopomóc braciom i zginął, nie wydawszy nikogo.

Obok niego stał Mu. Chwila słabości przeminęła, przeciwnie, była mu niejako wypoczynkiem w nieznośnym naprężeniu. Poczuł ulgę. Więc oto jednego z nich już nie ma, a oni podążą zaraz za nim. Wiedział, że wkrótce, prawdopodobnie jutro z rana (a może i dziś w nocy jeszcze?) zaczną go znowu bić

i pytać o Demokratyczny Związek Młodzieży Koreańskiej i wiedział, że nie powie nic, tak jak i dotąd.

Coj spokojnie wyżymał wodę z poły swego ubrania. Obok stała Ok Lan. Miała spuszczone oczy.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Claes podniósł głowę i właściwie po raz pierwszy rozejrzał się przytomnie dokoła. Poczuł na sobie czyjś uporczywy wzrok: był to wzrok doktora Luskina. Obok stał Dobrey. Teraz dopiero zorientował się, że stoją tu oto wszyscy, jak na scenie, przemoczeni do nitki, roztargani i bladzi, u stóp ich zbierają się wielkie kałuże wody, rozszerzające się szybko w przyćmionym świetle latarek, a wokoło zebrał się tłum kolegów, wpatrzony, rozgorączkowany i niemy. Widział, że z niecierpliwością czekają na jego słowa, ale nie mógł ich wykrztusić. To, co przeżył przez tych kilka godzin, były to całe wieki, która nie mogły się zmieścić w wyrazach.

Rozszerzone oczy Dobreya wędrowały od jednego do drugiego, wreszcie otworzyły się usta.

— Kto tam jeszcze jest w łodzi?

— W ło... w łodzi? — zająknął się Claes. Nie rozumiał pytania.

— No tak. pytam, gdzie jest reszta?

Claes nic mógł zebrać myśli, Dobrey musiał powtórzyć.

— Pytam, gdzie jest Ahlborg? Gdzie jest Sorensen?

— Ahlborg jest w łodzi... Lenarta musieliśmy zostawić...

W tej chwili dwaj sanitariusze wyciągnęli z szalupy ciągle nieprzytomnego Svena. Jego duże, bezwładne ciało, jego napuchła, chwiejąca się głowa przeraziły wszystkich. Ktoś spytał zduszonym szeptem:

— Trup?

Claes odchrząknął, jakby miał. czymś zapchane gardło i musiał ja oczyścić. Nikt się nie poruszył, nie padło ani jedno słowo. Więc w każdej chwili oni wszyscy mogli tak wyglądać? Czyżby... czyżby taka była wojna? Sven, ten Sven, który jeszcze tego poranka był z nimi, modlił się, jadł, robił głupie dowcipy, to ta krwawa, bezwładna masa? Ale wobec tego co będzie dalej?

— A Lenart został?

Claes poruszył parę razy szczękami, jakby coś przeżuwał i wreszcie wymamrotał:

— Lenart nie żyje. Po cośmy go mieli wieźć? Jutro go tam pochowają.

Podeszli bliżej, lękliwa, wahająca się masa, chcieli dotknąć trupa, poczuć go palcem, poruszyć. Ale znienacka pojawił się z boku Per Henning.

— Co tu się dzieje? Gdzie jest pierwszy oficer? Będziecie tu urządzić zbiegowisko? Ani kroku dalej! Równaj się, odmarsz! Wygasic światło! Kto tu leży? A, to Ahlberg. Przenieść go na opatrunkową. Chorych odprowadzić na międzypokład.

Bierna masa drgnęła na ten piskliwy, choć władczy głos. Cofnęli się, ustawili w rząd. Dwaj sanitariusze podnieśli Svena, marynarze obstąpili Koreańczyków. Ktoś szepnął:

— Żółci...

Inny dodał:

— Ale widzicie, tyle było gadania, a jednak „guki“ szanują Czerwony Krzyż. Nie bombardowali naszego statku.

Per Henning dodał groźnie:

— Nie robić zbiegowiska. Idźcie się przebrać, Norling... potem przyjdziecie do mnie.

Grupa rozbiła się, ale doktor Ray Luskin stał dalej jak przykuty, nie zważając na drobne krople deszczu, które dosłownie raniły mu twarz. Od samego początku, to jest niemal gdy przebyli Kanał Sueski, żeby się dostać do Nagasaki, gdzie na nich czekał statek nr 1092 — doktor Luskin źle się czuł na tych wodach. Twierdził, że klimat mu nie służy. Często zostawał w łóżku, miewał bóle głowy. Był jednak zbyt trzeźwy, żeby nie analizować swego stanu.

„Nie jestem człowiekiem bezpośrednich akcji — mówił do siebie. — Jestem zasuszonym świerszczem laboratoryjnym. Nie czuję się dobrze na polu bitwy. Pole moich bitew — to mój stół“. Przez długi czas z pewną pobłażliwością podziwiał Humeya: to był przywódca, człowiek czynu. Bez komplikacji, bez problemów. Specjalista. Idzie naprzód i nie ogląda się za siebie. Takich nam teraz trzeba, nam, to jest Ameryce, państwu, chociaż mówiąc to czuł doskonale, że sformułowanie takie zawiera płytki i niegodny kompromis. Dlaczego ma być potrzebny tylko człowiek tak właśnie pojętego czynu? Tak samo był potrzebny on jak Humey. Jego domeną jest praca laboratoryjna, a domeną Humeya — zastosowanie.

No dobrze, ale czy właśnie takie zastosowanie? Nic mnie to nie obchodzi — myślał dalej — jak zostaną zastosowane rezultaty mojej pracy badawczej. Do mnie należy tylko badanie przyrody. Koniec, kropka. Właściwie wolałbym wrócić, ubrać się znów w biały fartuch, stanąć wśród probówek i kolb. Ale na to było już za późno.

Mac Dane był tu z ramienia firm farmaceutycznych wielkiego przemysłu chemicznego. Mac Dane to spryciarz. Doktor

Ray Luskin zdawał sobie doskonale sprawę z nici, które łączą Mac Dane'a z firmami farmaceutycznymi i korzyści, jakie stąd ciągnie.

Kiedy rozmyślał nad korzyściami, jakie będzie mógł osiągnąć on sam, pociągnęło go najpierw pole doświadczalne. Wypróbować to, nad czym pracował. Więc zamiast świnek morskich, szcurów, myszy, pajaków, koników polnych i pcheł — ludzie. Doktor Luskin wiedział doskonale, jak chorują świnki morskie, koniki polne i pchły, ale przywykł do operowania niższych zwierząt i owadów i nie zwracał na nie uwagi. Pchła, konik polny czy mrówka nie zmienia się, nie wyraża cierpienia.

Ale nagle w tę burzliwą niedzielę doktor Ray Luskin, który dotąd pracował tylko nad laboratoryjnym stołem, zobaczył człowieka. Species humana stanęła przed nim w postaci paru wynędzniałych, wyniszczonych długim więzieniem ludzi, którzy jednak i w łachmanach i pod więziennym brudem zachowali wyraz inteligencji i godności w ruchach i postawie. Doktor Luskin sam był zbyt inteligentny, żeby nie wyczuć w Koreńczykach rozumu, woli, jednym słowem tego wszystkiego, co obok ludzkiego kształtu stanowi — człowieka. Nie chciał patrzeć, ale nie mógł odwrócić oczu. Widział ich ciągle przed sobą, chociaż odeszli.

Więc na nich to właśnie będzie miał teraz okazję wypróbować specyfiki, które na zasadzie badań przeprowadzonych w czterech ośrodkach wyprodukowali panowie Lederer i spółka, Park i Davison. Dotąd wszystko to było dalekie, oddzielone nie tylko drutem kolczastym i brygadą uzbrojonych marynarzy, ale jakby wiekami czy niezmierną dalą obcych światów. Teraz problem stanął z bliska i zajrzał mu w oczy.

Nigdy nie miałem wyobraźni — pomyślał z goryczą. Teraz już wie: dziś wieczorem ten chłopak, ta dziewczyna, tych dwóch mężczyzn otrzymają specjalny zastrzyk. W czasie swej podróży po Europie doktor Luskin zawędrował do Neapolu i przeżył tam niezmiernie miły romansik, ale teraz nie romansik stawał mu w pamięci, tylko zupełnie co innego. Oto w Muzeum Neapolitańskim pokazano mu zadziwiający, naturalistyczny, barwiony wosk z czternastego czy piętnastego wieku, może z czasów, kiedy Boccaccio pisał swego „Dekameroną“. Mała, wypukła rzeźba, oprawiona w złoczone ramy, przedstawiała uliczne sceny podczas zarazy dżumy. „Zainteresuje was to, doktorze — powiedział przewodnik — to przecież coś z waszej branży”.

Artysta przedstawił swoje drobne figurki z wosku z prze-rażającym naturalizmem. Nie wiedział oczywiście o bakteriach, ale rzeźbiąc umierających i zmarłych w najróżniejszych stadiach rozkładu, na pierwszy plan wysunął samą zarazę: zielone i brunatne plamy na twarzach, po wywalane wnętrzności. Szczury, pająki i muchy ogromnych, niespotykanych rozmiarów, włochate i poruszające się z ledwo dosłyszalnym szelestem żerowały na chudych piszczelach. Oczom doktora Luski-na ukazała się rzeźba, jakby ją znów ujrzał. Za parę dni i tamci będą tak wyglądać: ten dzielny chłopak, ta smutna dziewczyna, tych dwóch starszych chłopów. I tak się stanie za jego sprawą. Wstrząsnął się. Przesada. Co mnie to zresztą obchodzi — pomyślał i zwrócił się do wyjścia, miał się przecież udać do operacyjnej. Wszystkiemu winien klimat. Nie nadaje się do tego klimatu. Ale wiedział, że tamta sprawa go jednak obchodzi.

Claes także poczuł nagle szalone znużenie. Zdawało mu się, że nigdy nie zdoła dowiec się do kajuty, nie zdoła się ob-

myć ani rzucić przemoczonego, pobrudzonego ubrania. Schodził długo po stopniach. Wewnętrzne piętra statku były oświetlone, małe okienka szczelnie zasłonięte dawno na ten cel przygotowanymi firankami. Żeby nie kołysanie, słabo zresztą wyczuwalne na tym morskim olbrzymie, można by doprawdy pomyśleć, że się jest w domu. Cisza, światło, życzliwe, stroskane czy przerażone, a w każdym razie współczujące twarze, wszystko to przyczyniało się do wytworzenia tej atmosfery.

Z górnego piętra dochodził jeszcze głos Henninga:

— Nie robić paniki. Nic się nie stało. Został, no więc został. A Sven przyjdzie do siebie, już tam są u niego lekarze.

— Nie robić paniki — powtórzył Oluf Petersen zamykając drzwi kubryku — a teraz opowiadaj, Claes.

— Poczekaj, niech się umyje — powiedział Dobrey siadając na koi. — Co tu jest do opowiadania? Sami widzicie, jeden zabity, drugi ranny, reszta wróciła. A więźniowie wszyscy są? Słuchajcie, przecież tu się nawet przed nami tego nie ukrywa, że ci niby „chorzy” są skuci kajdanami.

— Jeden uto... utonął — dorzucił niewyraźnie Claes, zrzucając przez głowę koszulę.

Patrzyli na niego bezmyślnie, widzieli przed sobą jego biały, miękki tors, posiniaczony i tłusty od smarów. Pwzucił koszulę na koję i przeszedł do umywalni, skąd zaraz rozległ się plusk wody. Hatcliff odezwał się jakby do siebie:

— To wszystko razem jest niestłuchane.

Zaległa cisza, Claes parsknął i pluł w łazience, głos jego był zmieniony, jakby mówił przez ręcznik.

— Prawdziwe piekło, ale teraz tutaj...

— Jadłeś co? — przypomniał sobie Petersen — bo my już po kolacji.

Claes stał teraz w drzwiach trzymając się uszaków, widać było, że chwieje się ze zmęczenia.

— Stary kazał ci iść na górę — przypomniał Dobrey — będzie cię pytał.

— Przecież na pewno dawno się wszystkiego dowiedział.

— A kto ma ich papiery?

— Parsen. Oddali Svenowi, ale je od niego na pewno zabrał. Tak, widziałem, jak mu je wyjmował z kieszeni.

— Nie rozmawiałeś z nimi?

— Nie było okazji. Nie wiem zresztą, czy który z nich mówi po angielsku? Bo po duńsku to już na pewno nie.

— Młodziaki!

— Jeden jak gdyby starszy. Po nich trudno poznać, w jakim są wieku.

— Szkoda, żeś nie próbował.

— A jakże, pilnowali mnie.

Naciągał koszulę i sweter, trząsał się cały, chociaż nie było tu bynajmniej zimno. Twarz miał tak bladą, że aż się przerazili.

Homer Ratcliff potoczył wokoło oczami, jakby chciał sprawdzić, czy ich nikt nie podsłuchuje, jego białka błysnęły w świetle bocznej lampy.

— A gdyby tak spróbować...

— Czego spróbować?

— Nic — cofnął się — tak mi coś czasem chodzi po głupiej mózgownicy...

Claes stał ciągle w progu nie ruszając się, jakby spał na stojąco, oczy jego miały szklisty połysk. Teraz wstrząsnął się i oznajmił:

— Idę na górę.

— Więc nie będziesz nic jeść?

— Jak wrócę.

Claes poszedł, ale nie dostał się do kapitana. Przy drzwiach pełnił służbę jeden z marynarzy, czego dotąd nigdy nie bywało.

— Kapitan zaraz wróci — powiedział — kazał zaczekać.

Per Henning wezwany został do Bollowa, który szalał ze złości. Miał zły dzień, wszystko, co tak starannie obmyślił i przygotował, nie udało mu się, a miał wszelkie powody przypuszczać, że przygotował wszystko niezgorzej. Więc najpierw nieoczekiwana kontrofensywa i to wtedy, kiedy od dłuższego czasu mogło się wydawać, że front śpi. Bo tego co prawda Charles Bollow nie przykładał osobiście ręki, chyba tylko o tyle, że ściśle i starannie wykonywał wszystkie rozkazy dowództwa. Zawsze jednak myśli się coś nawet wtedy, kiedy się osobiście nie bierze udziału w wypadkach. I teraz też Charles Bollow sądził — co prawda myślał tak od samego rozpoczęcia wojny — że działania lada dzień się zakończą, a oni wszyscy z niezgorzej zaopatrzonymi walizami wrócą do domu. Skąd Koreańczycy biorą siły? To przechodzi ludzkie pojęcie!

Niemal jednocześnie z bombardowaniem Inczonu Bollow otrzymał drogą radiową nowe rozkazy dowództwa: za godzinę mieli opuścić te wody, podnieść kotwicę i udać się na południe.

Trudno w tej chwili przewidzieć, jak się zakończy kontrofensywa i kiedy uda się ją zatrzymać, na wszelki jednak wypadek należy się wycofać na upatrzone z góry pozycje. Uporządkować archiwum, uporządkować laboratorium tak, żeby w każdej chwili można je było zniszczyć.

Bollow był służbistą, inaczej nie znajdowałby się przecież na tak eksponowanej placówce, jak statek nr 1092. Niewiele

go też wzruszały jęki, jakie zapewne usłyszeli ze strony naczelnego lekarza doktora Humphreya Humeya na wieść, że cennym kulturom i preparatom grozi zniszczenie. Charles Bollow gardził właściwie tą kupą wariatów, za jaką uważał lekarzy i profesorów. Coś tam ucierają, mieszają, pchły karmią i powiadają, że w ten sposób zbawią amerykańską kulturę. Bollow uważał, że broń bakteriologiczna to zabawka, która nigdy nie osiągnie znaczenia choćby bomby atomowej. Środek dywersji obok wielu innych, zapewne nie trzeba niczego zaniedbywać, ale na tym koniec. Słuchał więc komendy, nie będąc przekonany o słuszności zarządzeń.

No i sprawy personalne statku, które również podlegały mu bezpośrednio. A tutaj teraz gmatwanina: gdzie znajdzie drugiego psa obdarzonego takim węchem jak Sven Ahlberg? Bollow nie był lekarzem, przy Ahlbergu są teraz lekarze, ale Bollow miał doświadczenie. Sven nie wyglądał na takiego, który się zaraz wyliże. Musi tam być coś poważniejszego, co na dłuższy czas wycofa go z czynnego życia statku. Do Svena można było mieć zaufanie: człowiek, który mu się wydawał podejrzany, zawsze w końcu zrobił coś takiego, co usprawiedliwiało wszelkie podejrzenia.

I teraz z tym Dobreyem. Zdawało się, że kombinacja jest udana: dwie broszury komunistyczne pod materacem, MP na statku i koniec z człowiekiem. A swoją drogą Amerykanin, kto by to przypuszczał! Mieli pecha od samego początku, to oczywiste. Ale takie uderzenie jest tylko wtedy skuteczne, kiedy następuje nagle, rozłożone na raty chyba. Bollow zastanawiał się, komu by mógł polecić zabranie broszur? Nie miał nikogo, komu by można w pełni zaufać, trzeba popracować, żeby sobie kogoś urobić. Mechanik lubiany był na statku, o tym Bollow miał nieraz sposobność przekonać się, a był też dość inteligen-

tny, żeby znalazłszy broszury domyślić się prostej ostatecznie gry. Zwierzyny nie trzeba płoszyć, przeciwnie, Bollow pochwalał raczej takie postępowanie jak ze szczurami: dwa razy znieść słodkim Chlebem, a trzeci raz podłożyć truciznę. Broń Boże zbudzić nieufność, to byłoby najgorsze. Statek nie jest na to dość bezpiecznym miejscem. Bollow niejedno już w życiu widział i był ostrożny. John Dobrey mógł się dziwić, że nie wysłano go do portu, mógł w tym widzieć brak zaufania, którym go dotąd darzono. Co prawda wobec stanu, w jakim wróciła załoga... Więc raczej wyróżnić przy pierwszej okazji, pogłaskać.

A teraz morale załogi. Bollow był niezmiernie daleki od niedoceniaenia takiej sprawy. Oni teraz wszyscy mówią o morale, ba, nierzadko przypisują mu zwycięstwa. Bollow śledził z ukrycia wypadki, jakie rozgrywały się podczas przybycia szalupy. Trzeba powiedzieć, że Per Henning pokpił sprawę.

Zadzwoił zaraz do Henninga. Stary opój. Jak to do nikogo nie można mieć zaufania! Per Henning natychmiast się zjawił.

— Jestem, jestem — powiedział od progu.

— Widzę — warknął Bollow, a jego twarz zaczerwieniła się jeszcze bardziej niż zwykle. — Dlaczego pozwolił pan na to, żeby się ludzie zebrali na przybycie więźniów?

— Ależ ja... — piskliwie zaczął się tłumaczyć Per Henning.

— Wiem, wiem. Pan się pokazał, żeby opanować sytuację, pan wydał słuszne rozkazy i rozproszył całe zgromadzenie. Ale czy to była pana rola? Czy pomyślał pan nad tym, że pańskie pojawienie się dodało jeszcze wagi błahemu incydentowi?

— Ależ tam nikogo...

— O właśnie, dochodzimy do sedna zagadnienia. Pan powinien był tak dobrać personel oficerski, żeby się samemu w takie rzeczy nie bawić. Parsen nie ma autorytetu, Parsen to bydlę.

— To są... — próbował coś wtrącić Henning, ale Bollow znowu mu przerwał.

— To są idioci, którzy tracą głowę — unosił się chodząc po maleńkiej kajutce i machając rękami. — Nie rozumieją, że przede wszystkim nie wolno dopuszczać, żeby załoga zaczęła rozmyślać nad swoim położeniem. Mieliśmy pecha, że nasz rejs odbył się w tak wyjątkowo spokojnych warunkach. Załoga jest nieostrzelana i pierwszy widok bombardowanego portu wyprowadził ją całkowicie z równowagi. Wprawdzie płynamy pod flagą Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, ale znowu cała propaganda, jaką prowadzimy przeciw żółtym, może nasunąć myśl, że ci przekłęci Koreańczycy rzeczywiście mogą nie uszanować flagi i zacząć bombardować statek. W ten sposób sami wpadamy we własne sieci. Ja zawsze mówię, że propaganda to dobra rzecz, byle bez przesady, bo wtedy wywiera wręcz przeciwny skutek. Nieprawdaż?

— Pan ma rację, sir — zaczął Henning, ale pytanie było widać czysto retoryczne, bo Charles Bollow zaczął zaraz mówić dalej.

— Więc proszę: pierwsze zetknięcie z ogniem ujawniło od razu poważne braki w pana sposobie pojmowania obowiązku. Nie ten rządzi, kto wszędzie osobiście wetknie swój długi nos — tu spojrział szyderczo na kapitana — ale ten, kto na każdym miejscu potrafi postawić odpowiedniego człowieka. Zrozumiano?

Per Henning znowu otworzył usta, żeby wtrącić słowo, ale Charles Bollow natychmiast mu je zamknął.

— Ani słowa. Do wzięcia pod rozwagę i natychmiastowego zastosowania. Aha, i chciałem pana uprzedzić: za godzinę ruszamy. Proszę wydać rozkazy. Kotły pod parą.

Per Henning zasalutował.

— Czy można wiedzieć dokąd?

— Jeszcze nie rozszyfrowano. A szyfr, jak wiadomo, w sejfie obok innych zaklejonych kopert — warknął Bollow, grymas jego szerokich ust miał być zapewne uśmiechem. — Dobrej nocy. I upominam raz jeszcze: więcej pracy, więcej pracy nad ludźmi!

Nie odwołał Henninga, kiedy ten umyślnie powolnym krokiem przeciskał się przez wąskie drzwi. Bollow był zdania, że nigdy nie należy — jak on to nazywał — rozwadniać wrażenia. Nie rozwadniać ani nagany, ani pochwały, niech działają z całą siłą.

Per Henning, wracając do swej kabiny, spotkał Claesa, który stał jak przylepiony do ściany patrząc uparcie w jeden punkt korytarza. Henning mimo woli spojrział w tę samą stronę, ale nic nie zobaczył. „Tak, Charles Bollow miał rację, ten człowiek jest całkowicie wykończony“ — mruknął sam do siebie. A swoją drogą, co za diabły ci Amerykanie, na każdą rzecz mają gotową naukową formułę!

— Wejdźcie, Norling — powiedział łaskawie.

Claes z trudem oderwał się od ściany i wsunął się za kaptanem do kajuty.

— Siadajcie. Papierosika?

— Dziękuję, nie palę — wymamrotał Claes.

— Mieliście dziś trochę trudniejszą przeprawę — powiedział Henning sadowiąc się wygodnie w fotelu — i rozumiem, że to was wzięło, zawsze to pierwszy raz. Ale mimo to, Norling, powinniście pamiętać o swoich obowiązkach. Cho-

rych trzeba dostawić cicho, w spokoju, nie pozwalając, żeby się koło nich robiło zbiegowisko.

— Niedziela, panie kapitanie, ludzie byli na pokładzie...

— Wiem, wiem... Ale, Norling, rozumiecie przecież: to jest wojna i my wszyscy na pewien sposób jesteśmy żołnierzami. A co robi żołnierz? Broni swojej ojczyzny... — tu Henning sam poczuł, że się zagalopował, ale nie zmieniając wyrazu twarzy mówił dalej — broni swojej ojczyzny przed wpływami przeklętych czerwonych, broni pod opieką wielkiej armii amerykańskiej,

Claes nie odpowiadał, wpatrzony tępo przed siebie.

— Nie byliście jeszcze w bitwie, to jest statek szpitalny, więc nic wam nie grozi, ale musicie zawsze być przygotowani, bo przypadkiem możemy się znaleźć w takiej sytuacji... — tu kapitan znów poczuł, że brnie nie tam gdzie trzeba. „Ale ten dureń i tak nie słucha, a gdyby nawet słuchał, to i tak niewiele zrozumie” — pocieszył się od razu. — Zjedłście kolację?

— Nie, melduję posłusznie, nie jestem głodny.

— Aha, nie jesteście głodni — tu kapitan był na pewniejszym gruncie — więc nie jesteście głodni... W każdym razie chciałem wam powiedzieć, że przy pierwszej okazji przedstawię was do odznaczenia... No, nie dziękujcie, nie dziękujcie... — powiedział skwapliwie Per Henning, chociaż Claes ani się poruszył — idźcie już i uspokójcie kolegów. To co się stało, jest na wojnie chlebem powszednim.

Claes zsalutował i wyszedł. Szedł tępo przed siebie, niemal nie podnosząc nóg. Stopy zanosły go same pod oddział szpitalny, dokąd, jak sądził, zanesiono Svena.

Tutaj istotnie leżał Sven. Charles Bollow postanowił, że najtroskliwsze zajęcie się tą pierwszą ofiarą wojny będzie miało świetną propagandową wymowę. Oto, jak błyskawicznie, jak

czułą opiekę mają najniżsi nawet funkcjonariusze na amerykańskich statkach. Oto, jak się koło nich chodzi, jak się ich pielęgnuje, jak im się nie żałuje najdroższych, najrzadszych leków! Za pośrednictwem Humeya posłał zaraz do Svena dwóch lekarzy. Krzatali się koło niego doktor Rose i doktor Luskin. Jeden asystował drugiemu, konsultowali się wzajemnie, celebrowali. Ama i Florencja umyły już dokładnie rannego, toteż Sven leżał na stole lekarskim pod bezcieniową lampą bładą, bez kropli krwi w twarzy. Bezsilne jego ręce złożone były na prześcieradle, szpitalna piżama zapięta pod szyją. Odzyskał teraz przytomność, choć nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje. Co chwila mechanicznym ruchem podnosił do ogromnej, rozdętej głowy prawą rękę, jakby tam chciał coś zetrzeć czy usunąć. Po zastrzyku nie czuł żadnego bólu.

Doktor Luskin obmacywał ostrożnie jego twarz krótkimi, kobiecymi niemal dotknięciami.

— Kość czołowa w porządku... zatoki skroniowe... siostrze, proszę lnu przytrzymać tę rękę... tak, tak, kości policzkowe także...

Spojrzał na Rosego.

— O, tutaj, proszę kolego — i nagle zwrócił się do Florencji — siostrze, proszę zgasić lampę.

Florencja zawahała się przez chwilę.

— Lampę?

— No tak, lampę — powtórzył niecierpliwie.

Zrobiło się ciemno. Doktor Luskin zwrócił się do Svena.

— Ahlborg, proszę mi powiedzieć, co teraz widzicie? Nie tu, proszę patrzeć w tamtą stronę. Co widzicie?

— Ciemno — powiedział chory przerywanym głosem — ciemno...

Wszyscy milczeli, przeleciało coś niewiadomego, co ich zatrwożyło. Rose skinął na Florencję, która chciała zapalić lampę, i kazał sobie podać małą, elektryczną latarkę. Nacisnął guziczek i nagle skierował snop jaskrawego światła prosto w oczy leżącego.

Powieki nie drgnęły. Chóry mówił dalej monotonnym głosem, jakby nie przestawał z kimś rozmawiać.

— Ciemno, bardzo ciemno... Czy to już noc?

Luskin szybkimi, pewnymi ruchami bandażował głowę rannego. Siostry przeniosły chorego na nosze, sanitariusze przesunęli go do kajuty szpitalnej. Lekarze myli ręce. Rose mruknął do Luskinu nie patrząc na niego.

— Ośleplł...

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Doktor Humey spojrział na zegarek: było pół do jedenastej. Siedzieli wszyscy w mesie oficerskiej przy winie i owocach, kiedy weszli obaj lekarze: Rose i Luskin. Humey skinął na stewarda, żeby nalał nowe kieliszki, było gwarno i wesoło. Doktor Robinson ze zwykłą sobie układną miną opowiadał właśnie jakąś anegdotę, wszyscy się zaśmiewali. Doktor Robinson uważał za stosowne bawić całe towarzystwo. Opowiadał właśnie o pewnym znanym generale amerykańskim, nie wymieniając jego nazwiska, który pasjami lubił opowiadać anegdoty, niezmiennie zapominając puenty.

— Więc generał dalej: „Daj mi, powiada baba... Zaraz, czego to ona chciała?” A jego adiutant, który był kuty na cztery

nogi i miał poleczone pilnować generała, żeby przynajmniej w obecności dam nie opowiadał swoich gorszących kawałów, podpowiada cicho: „Kapusty, panie generale...”

— Kapusty, bardzo pomysłowe — Mac Dane pękał po prostu ze śmiechu, z jego gardła wydobywało się bezustannie jakieś dziwne bulgotanie.

Weszła Florencja, zaledwie zdążyła trochę przyróżować policzki i upudrować nos.

— Kieliszek — poprosiła — umieram ze zmęczenia.

— „A on jej na to” — powiada dalej generał i znów zwraca się do adiutanta — zaraz, co to on jej takiego odpowiedział? — błaznował dalej doktor Robinson.

— Co mu jest? — spytał „Naczelny” Luskin.

— Trwałe porażenie nerwów ocznych. Oślepl.

Siostra Konstancja wybuchła perlistym, nieco afektowanym śmiechem. Robinson świetnie opowiadał, urządził niemal całe przedstawienie. Dumny też był bardzo ze swoich talentów towarzyskich, którymi zjednywał życzliwość otoczenia.

Doktor Luskin zwrócił się ciszej do Humeya. Musiał o tym mówić.

— A nasi więźniowie?

Humey zgromił go wzrokiem.

— Bollow już się tam nimi zajął. Kazał ich, zdaje się, zaprowadzić do składów, jak było umówione.

— Rozkuci?

— A po co? „Naturalne warunki”.

— Rozumiem — powiedział bezdźwięcznie Ray Luskin.

Humey wyjaśniał dalej, trzeba było jakoś przepędzić te pół godziny.

— Doświadczenie będzie o tyle miarodajne, o ile się go dokona w warunkach frontu. Zbombardowane miasta, wszelki

opór złamany, ludność zdemoralizowana, wyniszczona głodowaniem i nędzą... W tych warunkach zarazki będą działać bezzawodnie, tym bardziej że wyhodowaliśmy szczepy najzjadliwsze.

Po co ja mu to opowiadam? — mitygował sam siebie — wie przecież wszystko równie dobrze, jak ja. Aha, żeby jakoś przepędzić te dwadzieścia minut.

Doktor Mac Dane ostrożnie uchylił czarnej zasłonki maskującej okno.

— Już dogasa — powiedział.

Robinson, jak zwykle, dolewał wina.

A tamto... do jutra — myślał Humey, podczas kiedy jego usta poruszały się, opowiadając nachylonemu Luskinowi szczegóły zamierzonych czynności, które obaj znali równie dokładnie. Luskin słuchał tego miarowo sączącego się głosu i myślał o czym innym. Czuł się ciągle fatalnie, był po prostu rozbity. Ordynarna wesołość, panująca wokoło niego, raziła go nieznośnie. Znów pochwalił w myśli Humeya. On jeden był na poziomie, poważny, rzeczowy, odpowiedzialny. Wykonywał z prostotą i służbiście obowiązki, które na niego nałożono.

Tchórz — pomyślał z niesmakiem doktor Humphrey Humey — rzuciwszy na niego okiem — tchórz. Małe bombardowanie portu i rozkleja się jak stara torba. Dobry specjalista, to prawda, ale nie chciałbym być przy nim w chwili prawdziwego niebezpieczeństwa. Co, u diabła, trzeba być mężczyzną!

Ama biegła szybko. Zajrzała do jednej z sal szpitalnych, przerobionej na ten użytek z kabiny, ale tu ich nie było. W operacyjnej nie było ich także. W drugiej separacie leżał Sven i nikt więcej. Weszła za nim, kiedy go tam wieziono. Gdzież więc mogą być?

Kiedy tak stała zrozpaczona, nagle błysnęła jej myśl. Oczywiście Koreańczycy nie mogą być w żadnej z sal przewidywanych na szpital, słyszała przecież coś o „naturalnych warunkach frontu”. Zamknięto ich zapewne w specjalnym pomieszczeniu na dnie statku.

Zaczęła schodzić. Na korytarzach była cisza, lekarze znajdowali się na górze. Morze ucichło, chodzenie nie było utrudnione. W blaskach niewielkich elektrycznych lampek wyściełane czerwonymi chodnikami korytarze, mosiężne klamki u drzwi, odbijające łagodnie światło, białe lakiery o niebieskawych połyskach, zaokrąglone kanty niskich sufitów — wszystko to zdawało się oddychać spokojnym i nie narzucającym się solidnym komfortem. Było w miarę ciepło, wentylacja działała bez zarzutu, wszystko było nowe, o wszystko tu dbano. Było się tu chronionym, pieczołowicie przechowywanym w solidnym, bezpiecznym bogactwie.

Nie — pomyślała Ama — nie! Ten komfort, ta cisza, to światło, te miękkie chodniki to równie cyniczne łgarstwa, jak te, którymi żyje ten cały bogobojny szpital. Wielkie, jasne sale, najnowsze, świetnie zdezynfekowane narzędzia, ulepszone metody leczenia, największe powagi naukowe, wyćwiczony personel — tak, to wszystko tu jest. Ale człowiek, człowiek, któremu to wszystko ma służyć? Gdzież jest człowiek? Brudny, głodny i skuty leży na dnie statku, oczekując najokrutniejszej śmierci.

Co robić? Protestuj — wołało w niej wszystko — protestuj! Krzycz — krzycz bez względu na to, co się z tobą stanie. Krzycz, solidaryzuj się z ludźmi, jesteś przecież człowiekiem.

Dobrze to powiedzieć: krzycz. Któż ją usłyszy? Najwyżej wrzucą ją z nimi razem, żeby podzieliła ich los. Nic nie osiągnie — mówiła zimna rozwaga.

Poruszyła się, zeszła jeszcze niżej. Domyślała się, gdzie może znaleźć więźniów. Gnała ją jakaś tajemnicza siła, której nie myślała się opierać. Nie panowała już nad sobą. Nie mogła znieść świadomości tego, co się ma stać, jak nie można spokojnie znieść przeżyć bardzo osobistych: bólu, zniewagi, straty kogoś drogiego. Nie mogła tego znieść. Musiała coś na to zaradzić. Nie mogła spocząć, nie mogłaby już nigdy usnąć. Od czasu kiedy zobaczyła ich twarze, twarze ludzi, którzy zdecydowani są wszystko przecierpieć, od czasu kiedy zobaczyła jak przyjęli śmierć towarzysza — otworzył się przed nią jakiś nowy świat, na którego widok była co prawda przygotowana, ale którego dotąd nie oglądała.

„Nie zniosę tego“ — powtarzała schodząc coraz niżej po komfortowych, wygodnych schodach, deptając czerwone dywany, ślizgając się wzdłuż gładkich, biało lakierowanych ścian. Nikogo tu nie było, nikt ich widać nie pilnował, w zamęcie wieczora nie przestrzegano rozkazów.

Naprzeciwno niej wynurzył się z korytarza chłopiec Runge. W obu rękach niósł pieczołowicie tacę. Na tacy stały dymiące nakryte miski, koło misek leżały cztery łyżki. Stała przed nim z rozszerzonymi oczami, aż się przeraził.

— Co tam niesiesz?

Roześmiał się głupkowato ze zdziwienia, którego nie umiał inaczej uzewnętrznić.

— Kaszę.

— Kaszę dla więźniów?

Spojrzał na nią z ukosa.

— Tak, kaszę dla chorych.

— Pokaż.

Podniosła pokrywę, wsparła się ramieniem na ramieniu chłopaka. Dotknięcie jej było bardzo lekkie, wystarczyło jed-

nak, żeby taca najpierw drgnęła, potem przechyliła się i spadła z brzękiem na czerwony chodnik. Porcelanowe naczynia rozbiły się szarawa masa rozpaćkała się na ziemi.

— Ależ siostra niezgrabna! — zawołał wystraszony chłopak.

— Nie gadaj tyle — komenderowała szybko — idź po śmietniczkę, sprzątnij to!

— Kazali mi zanieść.

— Zaniesiesz. Sama ugotuję nową kaszę

— Muszę powiedzieć...

— Komu?

— Doktorowi Mac Dane.

— Co tam doktor sypał?

Znowu to bystre, ale obłudne spojrzenie.

— Ja nie wiem.

— Więc sypał. Nic nikomu nie powiesz, zaraz ci dam nową kaszę. Bo jakbyś powiedział, to byś dostał po uszach od doktora. Za nieuwagę. Sam wiesz.

Z przekonaniem kiwnął głową.

— Aha.

— No widzisz. A teraz idź po śmietniczkę, a potem wróć i tu na mnie zaczekaj. Ja też nikomu nic nie powiem.

Ama pobiegła do kuchni, kok w białej czapce jeszcze się tam krzątał. Staęła, jak często, przy okienku.

— Proszę dla mnie dwie porcje kaszy, ale kopiaście. Ludzie są głodni.

— Co z tą kaszą — dziwił się kok — kasza i kasza. Dopiero co wydawałem kaszę.

— No to właśnie teraz jeszcze i dla mnie. Dobrze, że pan więcej nagotował.

Uśmiechnęła się do niego, kiedy jej podawał dymiące mi-
ski. „Heroina — przemknęło jej przez głowę — jak w chaba-
rowskim procesie, gram heroiny. Teraz nic im już chyba dzisiaj
nie grozi”.

Runge zakłopotany stał w korytarzu, rozjaśnił się dopie-
ro, kiedy przysłała z tacą. Patrzyła za nim, jak otwierał drzwi.

Więc to te drzwi. Nie wiedziała, do czego jej to będzie po-
trzebne, ale zapamiętała je sobie.

Wracała na górę, nie będzie się już kłopotać małym Run-
ge. Wiedziała doskonale, że jej tam nie wpuszczą, nie próbo-
wała nawet wejść do więźniów. Runge podniósłby cały statek
na nogi, nie warto o nim myśleć. Wysiętek, którego dokonała,
brzęk tłukących się naczyń uspokoił ją trochę. Przechodziła
koło kubryku marynarzy. Na korytarzu był spokój, nikt tam,
jak zwykle bywało, nie biegał z ręcznikami. I znów wróciła
dręcząca myśl: gdyby pomówić z Dobreyem! Niezdecydowana
zatrzymała się u drzwi. Dochodził stamtąd gwar wysokich i
niskich głosów, nikt tam widać nie spał pomimo późnej godzi-
ny. Wejść? Właściwie było to nie do pomyślenia. W każdym
innym wypadku powitałyby ją śmiałe dowcipy, trywialne ka-
wały, śmiech. Ale ten wieczór nie był taki jak inne i ona też nie
była dziś taka jak co dzień.

Uchyliła lekko drzwi. O czym oni mówią? W pierwszej
chwili nikt jej nie zobaczył. Pod niskim pułapem kłębił się dym
fajek, półnadzy marynarze leżeli na kojach, paru z nich stało
na środku przy podłużnym stole. Tam był też Dobrey. Każdego
innego dnia byłaby się cofnęła, ale teraz nie mogła tego zrobić,
musiała być razem z nimi. Znała tylko niektórych, nie wiedzia-
ła, kto mówi, tym bardziej że dym i plecy innych przysłaniały
rozmawiających. Ale słuchała głosu, słuchała słów. Ktoś mó-
wił:

— Więc jak to, mam tutaj zdychać? Ja? Po cholere nas tu przywieźli? Statek szpitalny, mówili, pod flagą Czerwonego Krzyża, mówili, zrobisz piękną wycieczkę, mówili. A tutaj co? Zapowietrzona kajuta, na lądzie się nie pokażesz, a wieczorem naloty i z flakami na wierzchu leżysz w błocie.

— Prawda! — wrzasnęli chórem.

— A ślepiec? Odda to kto ślepcowi oczy? Zapłaci za oczy dolarami?

Dobrey odwrócił się ku niej, jakby jej dawno oczekiwał i przybycie jej uważał za rzecz zupełnie naturalną.

— Wejdz, Ama — powiedział. — Jak ze Svenem? Będzie widział? Wszyscy spojrzeli na nią, ci, co leżeli już na swych kojach, podciągnęli kołdry pod brody, inni, którzy byli dokładniej ubrani, spuścili nogi z pośłania i zeskoczyli na deski podłogi. Zbliżali się do niej, ktoś mrugnął na Dobreya.

— Nie, koledzy — powstrzymał ich Dobrey — przy niej możemy mówić, jakbyśmy byli sami. A ona też pewno niejedno nam opowie.

— Tak — poparł go Oluf Petersen — ona nikogo nie wyda.

Nie wyda! Była tym zaskoczona, ani jej na myśl nie przyszło, że może ją ktoś o to posądzać. Wiedziała sama, co ma o sobie myśleć, i nie przyszło jej do głowy, że inni nie orientują się w tym tak dokładnie. Dopiero w tej chwili wpadło jej na myśl, że weszła tu z innego świata, a o tym, że się z tego świata boleśnie wyłamała, nikt przecież nie wiedział. Oni tu wszyscy, załoga i niższy personel na statku, wiedzieli, co mają myśleć o amerykańskich lekarzach i pielęgniarkach dobranych na szpitalny statek. Skądże teraz mają wiedzieć, że właśnie ona jest inna?

Przeleciało jej to wszystko migiem przez głowę, kiedy nieulekłe patrzyła w oczy zbliżającym się ku niej. Nie ma już czasu na tłumaczenia. Trzeba wziąć udział w tym, co się tu go-tuje. Jak? Najprościej,

— Lekarze powiedzieli, że nie będzie widział — zaczęła — a Sorensen nie żyje. Sami widzicie, jak to teraz wygląda.

— A próbuj lecieć z pyskiem! — wrzasnął któryś zapal-czywie.

Wzruszyła ramionami. Dopiero teraz pomyślała, że rów-nie dobrze mogłaby ich się bać. Ale się nie bała.

— Do kogo? — spytała z pogardą. — Do tych opraw-ców?

Rozejrzała się wokoło: byli tu niemal wszyscy, dlatego by-ło tak ciasno. Byli nie tylko ci, którzy tu spali, weszli też inni z drugiego kubryku, przyłączyli się do nich palacze, trymerzy, sanitariusze, podoficerowie, stewardzi. Szukali wytłumacze-nia, szukali prawdy. Po co ich tu przywieziono? Niewprawnie rozplątali swoje i cudze motywy, szukali wyjaśnień.

Rene Simmier nie mógł wytrzymać napięcia chwili i za-śmiał się nerwowo.

— My jesteśmy spokojni ludzie, chcemy wziąć, co nam się należy, i możemy jechać do domu. Nie będziemy się kłócić.

— Miało być po sto dolarów za każdy nalot!

— Nie przyjechaliśmy, żeby zdychać, pieska ich niebie-ska!

— A jak myślicie — zapytał spokojnie Homer Ratcliff — za co się tu zarabia takie duże pieniądze?

Na chwilę zamilkli, tak im się to pytanie wydało dziwacz-ne. Za co się zarabia? Dobry sobie!

— Za strach. Za odległość.

— Za ciężką robotę.

— No, za wojnę. Chcą mieć ludzi, którzy tu z nimi pojadą, to płacą.

Padaly szybkie słowa, każdy rzucał, co mu się wydawało najślusznniejsze.

— Nie, to nie za to — powiedział równie spokojnie Homer — nie Za to. Płacą nam tak dobrze za to, że jesteście ich wspólnikami. Płacą za to, że przyjechaliście mordować bezbronnych ludzi. Że opuściliście własny kraj i napadamy na cudzy. Pomagamy Amerykanom grabić i mordować ludzi, którzy nigdy nie zrobili im nic złego. Wyrećzają się nami, posyłają nas tam, gdzie się strzela, a sami chowają się za nasze plecy. My tymczasem podpisujemy, że się na to wszystko zgadzamy. Idziemy z nimi ręka w rękę i jeszcze powiadamy, że tak jest dobrze.

Wzburzenie ogarnęło wszystkich.

— Milczałbyś, czarny!

— Zbrodnie. On nam tu będzie zbrodnie wypominać!

— Czyście tu przyjechali mordować?

— To nas mordują, masz dwa trupy, bo Sven też pewno nie wyżyje.

I znów zabrał głos Oluf Petersen.

— O właśnie, widzicie, dwa trupy. Więc nie tylko przywlekli was tu, gdzie nigdy nie myśleliście przyjeżdżać, ale jeszcze oszukali was i sprzedali. To się nazywa wojsko, banda najemników, która za pieniądze gotowa jest do wszystkiego.

Zapomnieli o Amie, zapomnieli, że jeszcze przed chwilą drżeli o własną skórę. Podniósł się taki krzyk, że doprawdy zdawał się przebijać wszystkie piętra statku. Dobrey kiwnął na jednego z sanitariuszy, tamten zrozumiał go od razu i wysunął się na korytarz. Nie byłoby dobrze, gdyby ich tu zastał ktoś niepowołany.

— Do wszystkiego gotowi, powiedziałaś? A niby do czego?

— Do mordowania niewinnych ludzi!

— Przecież to szpital!

— O właśnie — wtrąciła Ama — szpital. Widzieliście czworo Koreańczyków, których dostarczono wieczorem z Inczonu? Wiecie, po co ich tu przywieziono? Wiecie, gdzie są teraz? Czy myślicie, że leżą w wygodnych szpitalnych łóżkach, że siostry czuwają nad nimi, że opiekują się nimi lekarze, którzy dziś rano modlili się i mówili tyle wzniosłych rzeczy? Że zostali wykąpani i nakarmieni, jak powinno być w szpitalu?

Zamilkła na chwilę, dech jej zapierało. Powie im teraz wszystko, będzie krzyczeć, będzie razem z nimi działać, wspólnie wymyślą przecież coś, by zapobiec zbrodni.

— Brudni, głodni i skuci zostali wtrąceni na samo dno statku, a chłopiec, który im niósł kaszę, podawał Im zatruty pokarm. Mieli spać dziś, a może i dzień następny, żeby nie opierać się doświadczeniom, które miano na nich dokonać.

— Doświadczenia? A jakie? — zapytał czyjś głos.

— Cicho, cicho — uspokajali go — niech mówi.

— Dżuma! — krzyknęła Ama, zupełnie już nie panując nad sobą. — To miał być statek zadżumionych. Ci Koreańczycy mieli zostać zarażeni dżumą. Rozumiecie to? Dżumą.

Zapanowało pełne grozy milczenie. Więc oto mieli wytłumaczenie wszystkich zagadek, które ich od paru dni dręczyły. Stanie na redzie, pustki w pomieszczeniach szpitalnych, szczury w laboratoriach.

Włosy im się zjeżyły na głowie. Więc coś takiego dzieje się tu, pod ich boki, nieledwie przy ich udziale? Więc doprawdy po to ich tu przywieziono? Więc takie rzeczy są możliwe? To nie sen, to nie zmora nocna? Dżuma?

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

To chyba jest ta chwila — przemknęło Dobreyowi przez głowę — ta chwila niezwykła i rzadka pośród wszystkich innych, ta chwila, której pod żadnym pozorem nie wolno pominąć. Zawrzało mu w piersiach, zapomniał o sobie, zapomniał, gdzie się znajduje. Nie pomyślał, że przecież któryś z kolegów może wybiec, dać znać dowództwu, że wtedy zginie bez ratunku. Poczuł, że teraz dopiero musi rzucić wszystko na szalę.

Dobrze powiedział Ratcliff. Dobrze pouczał Petersen. I on, Dobrey, nie będzie w takiej chwili sam, zespoli się z nimi w jedno, wszyscy tu zebrani nieuchronną potrzebą chwili zespolą się w jedno i w uniesieniu wykonają to, czego ani on, ani nikt z nich nie potrafiłby wykonać w pojedynkę. Spojrzał na Homera, który spod niebieskich spirali fajczanego dymu zagrzewa go całą potęgą spojrzenia. Więc teraz.

Przez gwar zmieszanych głosów, światła i cieni, poprzez drganie i kołysanie się ogromnego kadłuba okrętu przebił się młodzieńczy głos Dobreya. Podsunął pod światło lampy swoją zbyt długą szczękę i wsparł się wężlistymi rękami na stole. Tak, to była ta chwila, ta jedyna okazja, nie podobna się dłużej opierać.

— Słyszeliście, co wam powiedział łącznik amerykański Charles Bollow? Wy, cywile, połaszczyliście się na ich przeklęte dolary i staliście się wojskiem. Wojskiem zaborczym, wojskiem kapitalistycznym. Zaciągając się do nich na służbę jeden myślał sobie to, drugi owo, ale rezultat był taki sam. Staliście

się, nawet o tym nie wiedząc, narzędziem ucisku i zbrodni. Ten piękny kraj, który nosi różne nazwy: Kraj Porannej Ciszy, Kraj Porannej Jutrzenki, Kraj Porannej Świeżości — zamienił się w kupę gruzów, w ziemię ognia, w kraj strachu i głodu. Mężczyźni, kobiety, małe dzieci — nikogo się tu nie oszczędza, a wy przez to, że tu jesteście, wy też tu nikogo nie oszczędzacie.

— Gdzie są przestępstwa, gdzie winy tego kraju? — pytał dalej Dobrey. — Chcą być sobą, chcą się swobodnie rozwijać. A my, po co my tu jesteśmy o tysiące kilometrów od naszych rodzin i od naszego kraju? Czy przybyliśmy, żeby tym ludziom dopomóc, czy ryzykujemy życie, żeby ich bronić? Nie, przybyliśmy, żeby ich ujarzmić, żeby ich skuć w łańcuchy i takich skutych wieziemy teraz na dnie naszego statku.

Było cicho. Mogłoby się zdawać, że aż tutaj dochodzi brzęk łańcucha, o którym mówił Dobrey. I wtedy odezwał się Homer.

— Tak, oni tam leżą w łańcuchach, widzieliście ich wszyscy, patrzyliście na nich. Ale czy wiecie, kim oni są? Nie znam ich, nigdy z nimi nie rozmawiałem i przed godziną, tak jak wy, oglądałem ich po raz pierwszy. Ale myśląc o bohaterach tej wojny widzę ich właśnie takich jak przywiezieni dziś jeńcy. Oni są więksi od nas. To najlepsze dzieci narodu. Byle kogo nie przeznaczają się na takie męki. Schwytani i męczeni byli nieugięci. Każdy jest inny, jest między nimi i dziewczyna. Ale są podobni do siebie: kochają jednakowo swój kraj i jednakowo nienawidzą wrogów.

I mój lud jest gnębiony. I mój lud w rozmaity sposób walczy o wolność. Nie jestem komunistą, przybyłem tu nie wiem dlaczego i po co. Ale nie będę gnębić innego narodu. Mówię wam, że nie będę pomagał tej niesprawiedliwości. Mówię

wam, że wszystkich sił dołożą, żeby im dopomóc. Słyszycie mnie? Wszystkich sił dołożę!

Pierwszy to raz Homer Ratcliff wypowiedział tyle zdań od razu, ale trzeba przyznać, że osiągnął pełny triumf. Może to, że jego brązowe usta tak rzadko się otwierały, sprawiło, że słuchano go w tak głębokim milczeniu i z tak całkowitą aprobatą.

Tak, to prawda, był czarny i dobrze powiedział o sobie. Tamci też mieli inny, oliwkowy kolor skóry i wystające kości policzkowe. Marynarze zawstydzili się teraz, że śmieli się z Homera, że tamtych nazywali „gukami“, że w bezmyślny sposób naśladowali amerykańskich żołnierzy. Chcieliby to odkupić.

Teraz wystąpił Oluf Petersem

— Koledzy! — zawołał — my wszyscy nie chcemy wojny. Chcemy mieć czyste, nie zbroczone krwią ręce. Nie po to przyjechaliśmy na szpitalnym statku, żeby zabijać, przyjechaliśmy, żeby uzdrawiać. Czy wiecie, że jeden karabin to dwa pług, że jedna torpeda kosztuje tyle, co pięćdziesiąt jednorodzinnych domków, że każdy czołg to szkoła, koszt jednego samolotu wynosi tyle, co budowa nowoczesnego, świetnie wyposażonego szpitala, że za krążownik można by postawić i wyposażyć fabrykę? Domy, szkoły, fabryki, szpitale, to wszystko służy ludziom, podczas kiedy karabiny i czołgi niszczą ich, a dzieło ich rąk zmieniają w ruiny.

Czy wiecie, ile kapitaliści zarabiają na wojnie w Korei? Jeden tylko koncern General Motors zarobił dotychczas na tej wojnie przeszło 700 milionów dolarów, podczas kiedy General Electric zarobił 950 milionów i dziewięćset tysięcy dolarów. Ale giną nasi żołnierze, tracimy okręty i samoloty, nie licząc drobniejszego rodzaju broni. Ukrywa się starannie te liczby, bo Ameryka nigdy jeszcze nie straciła tyłu ludzi, ile ich traci

teraz. Wszystkie wojny prowadzone przez Stany Zjednoczone przez 142 lata istnienia nie dały takich strat jak ta jedna agresywna wojna w Korei. Wojna o niepodległość w latach 1775—1781, wojna o wolność ekonomiczną w latach 1812—1815, wojna o Meksyk w roku 1846, która trwała dwa lata, zajęcie Filipin w roku 1848 — wszystkie te wojny razem wzięte nie pochłonęły tylu ofiar, ile pochłonęła wojna w Korei.

Ale wielkie koncerny, które produkują broń dla wojny, nigdy nic nie tracą, one na wszystkim zarabiają. Przybyliście tutaj z myślą o dobrych zarobkach, obiecano wam po 100 dolarów za każdy nalot. A czy wiecie, ile kapitaliści zarabiają na trupie Lenarta Sorensena, na ślepych oczach Svena Ahlborga, które nigdy już nie zobaczą światła? Obliczono to ściśle: każdy trup daje im 67 tysięcy i 921 dolarów. To jest rachunek, to rozumiem! Mogliby wam bez trudu dołożyć na każdym nalocie jeszcze po sto dolarów, nieprawda? Czyż nie widzicie, za co wam płacą? Płacą wam za wasze mięso!

Zrobiło się bardzo cicho. Te nieubłagane, nagie liczby taranem biły w ludzi. Petersen zatrzymał się na chwilę: chciał im dać czas, żeby powzięli decyzję, żeby w nich dojrzała jak owoc, który sam spadnie z drzewa. I w tej ciszy rozległ się bas Simmiera:

— Wszędzie się zdycha.

Powstrzymał ich, bo już byli gotowi. Oluf otworzył usta, ale Dobrey rzucił mu błagalne spojrzenie, wiedział przecież doskonale, co trzeba każdemu odpowiedzieć.

— Wszędzie się zdycha, to prawda! — odkrzyknął — a najczęściej we własnym łóżku! Ale czy myślisz, Simmier, że Amerykanie dadzą Francuzom umrzeć we własnych łóżkach? Ciebie wysłali na Koreę, twoich kuzynów czy braci do Vietnamu, zawsze się znajdzie coś na dalekim świecie, co chcieliby

dostać, ale sami nie sięgną. A czy myślisz, że dadzą ci otworzyć twój mały sklepik? Nigdy! To nie komunizm jest twoim wrogiem, to wielki kapitał: połknie on twój mały sklepik razem z kośćmi ani się obejrzysz. Tylko w atmosferze wolności i pokoju mogą współżyć ze sobą różne systemy, ale wierz mi, Rene, kapitalizm niesie zagładę małym sklepikom, nie oprzesz się.

— Pał diabli! — zawołał Simmier — idę z wami! Ostatecznie przystąpię do spółdzielni.

Śmiech gruchnął dokoła, marynarze potrzebowali tego odprężenia, zaczęli znowu klaskać.

Dobrey mówił dalej.

— Nikt nie chce umierać gwałtowną śmiercią. Ale jeśli już mam ginąć w tym do dna skłóconym świecie, to chcę wiedzieć, dlaczego i po co umieram. A kiedy już muszę zabijać, to powiem, jak twój rodak Rene, spytam, jak Henri Martin: chcę wiedzieć, kogo i za co zabijam. Nie jestem najemnym żołdakiem, który jak rzeźnik kłuje za pieniądze. Ja nie napadam, ja bronię. Towarzysze, muszę się wam teraz przyznać, po co tu przybyłem, a zarazem wyznać swój błąd: przybyłem, by się zaciągnąć do wojsk ochotniczych, które bronią Korei. Ale teraz widzę, że sam nic nie zrobię. Towarzysze, czy naprawdę będę sam?

Stał przed nimi młody, mocny, z rozwianymi włosami. Przez chwilę patrzyli na niego nie rozumiejąc, ale już się w nich klarowała decyzja, nagła i śmiała decyzja.

— Ja z tobą! — zawołał Helge — napluć na to śmierdzące pudło!

Powstał nieopisany zapach, rozległ się istny grzmot oklasków. Marynarze zbliżyli się do stołu, rozgrzali się, byli pełni

nadziei. Wokoło widać było tylko wyciągnięte ramiona, składające się dłonie, rozżarzone oczy. usta otwarte do krzyku.

Ale Dobrey, którego wysoka postać górowała nieco nad innymi, zobaczył coś jeszcze. Za plecami kolegów przemykał się ku drzwiom Rene Simmier, który przed chwilą tak ochoczo przystępował do handlowej spółdzielni. Teraz skurczył się, zrobił się mały, a stąpając cicho, pewny, że swym odezwaniem rzucił zasłonę dymną, kładł już ostrożnie dłoń na klamce.

— Drzwi! — krzyknął Dobrey i podskoczył w tamtym kierunku.

Tłum zakołysał się i odwrócił gwałtownie. Simmier został wykryty.

Trymer Jan Breg stał przy nim, własnymi barami zastawiając wyjście.

— Dokąd? — zapytał Oluf.

— Chcia... chciałem się tylko wody napić — wybełkotał Simmier.

Zaśmieli się złym śmiechem. Podniosły się pięści. Simmier zasłonił

twarz rękami.

— Nie bijcie — błagał zdyszczanym szeptem.

— Na pokład i do morza — syknął Arne.

Trzeba ich było powstrzymać, bo już brali się do zdraycy. Oluf machnął ręką.

— Szkoda brudzić palców, towarzysze — powiedział. — Jan, odprowadzisz go i zamkniesz obok, w umywalni.

Przyłożyli mu coś jeszcze na drogę, paru gorętszych wybiegło razem, ale zaraz wrócili.

— Co robić, Oluf, mów, co teraz robić?

Skupili się wokoło Petersena, którego ruda czupryna zdawała się płonąć w świetle żarówki.

— Dzieci! — zawołał Oluf — więc chwila, o której mówiliśmy z tobą, Arne, i z tobą, Ratcliff, i z tobą, Helge Jensen, nadeszła szybciej, niż mogliśmy się spodziewać. Muszę wam powiedzieć, że już parę miesięcy temu sygnalizowano pewien duński statek, który miał wyruszyć na wody koreańskie dla dokonywania zbrodniczych doświadczeń. Ale były to tylko poszlaki. Teraz zdobyliśmy pewność. Sami widzicie, jak straszną zbrodnię przeciw całej ludzkości planują amerykańscy imperialiści. A gdy mówię „przeciw całej ludzkości”, to nie jest to gazeciarski frazes: jeżeli Amerykanie użyją zakażonych owadów i rozpętają wojnę bakteriologiczną w Korei, to możemy mieć dżumę, cholera i tyfus we wszystkich portach świata. Wieloletnia praca wszystkich lekarzy całego świata, wszystkich laboratoriów, instytutów medycznych może pójść na marne w ciągu jednego miesiąca. Słyszeliście o „czarnej śmierci”, o zarazach, które grasowały kilkaset lat temu i których niebezpieczeństwo zostało wreszcie zgodnym wysiłkiem całej ludzkości zupełnie niemal usunięte. Czyż mamy dopuścić, żeby powróciły te czasy? Koledzy, odstawimy statek nr 1092 do koreańskich wojsk ludowych.

I znów skore dłonie były oklaski aż do umęczenia. To Arne Gobsbjorg dał sygnał.

— Zamkniemy Amerykanów w mesie! — huknął któryś

— Gdzie broń? — pytał inny.

Odpowiedziano od razu.

— W składzie. Bollow ma klucz

— Bollow odda klucz.

— Chodźcie! — wołała Ama. — Najpierw wypuścimy Koreańczyków!

— Ach! — zawołał z boleścią Murzyn. — Gdybyśmy tak mogli całkowicie zniszczyć źródło zbrodni. Oluf, Oluf, czy nie myślisz, że zaczną od nowa?

Oluf zatrzymał się.

— Owszem, myślę tak — powiedział — ale zawsze od nowa podniesie się lud, żeby powstrzymać zbrodniczą rękę. Jeżeli każdy będzie walczył i niszczył w zarodku nikczemne zamiary, to z tych połączonych wysiłków zrodzi się wreszcie ostateczne zwycięstwo.

— Idziemy! — wrzasnął Arne.

— Spokojnie, towarzysze — rzekł Oluf i stanął u drzwi. — Gdzie leciecie, wariaty? Tak nie można. Bollow ma broń, lekarze też pewno są uzbrojeni, choć w myśl konwencji statek szpitalny nie powinien posiadać broni na pokładzie. Jeżeli chcemy przeprowadzić nasz plan, musimy zachować zimną krew. Przede wszystkim trzeba dobrze rzecz obmyślić, żeby się nie narażać niepotrzebnie, inaczej nie dokażemy niczego.

Poskutkowało. Jeszcze co młodsi pchali się do drzwi, ale stanowcza postawa Petersena zmusiła ich do cofnięcia się. Ma oczywistą rację, plan jest piękny, szkoda, gdyby się miał nie udać. Byli razem, byli jednomyślni, cóż im teraz mogło grozić? Muszą osiągnąć wszystko, co zechcą. Jakże daleko odbiegli od poranka, którego wieczór teraz świętowali!

— A ja myślę — powiedział Helge Jensen — że zrobimy to samo, ale w innej kolejności. Najpierw musimy zdobyć broń, a potem pójdziemy im złożyć wizytę.

— Helge ma rację — zgodził się Petersen.

— Idziemy.

— Kto dowódcą?

— Ty, lepszego nam nie trzeba.

Nie zastanawiał się ani chwili, czy wziąć na siebie tę odpowiedzialność. Tak ma widać być i koniec.

— Bez hałasu — powiedział — najpierw idźcie otworzyć skład. Ja zostanę, żeby nas za wielka banda nie szła po schodach, po co przedwcześnie zwracać uwagę. Kto tam dziś stoi przed składem?

Laban — powiedział Homer — zdaje się, że Laban.

— Damy sobie i z Labanem radę — rzekł Dobrey. — Chodź, Helge.

Dobrey sięgnął po klucz od kuferka, trzymał go w nogach łóżka, pod prześcieradłem, bał się zawsze rewizji. Zaledwie jednak podniósł koc, posypały się na podłogę jakieś kartki. Przystanął. Helge nachylił się machinalnie i podniósł broszurę.

— Coś ty, oszalał? Trzymasz takie rzeczy w łóżku? — spytał Oluf ukazując z daleka czerwoną okładkę. Więc tak lekomyślny jest człowiek, któremu zaufali?

Kilku z załogi zbliżyło się do Dobreya, czerwona książeczka przyciągała wzrok.

— Co to jest?

— „Komuniści nie chcą wojny” — odczytał Helge.

— Co? — spytał Dobrey.

Wziął do ręki broszurki, ale nagle stanęła przy nim Arna.

— Na której koi sypiał Sven?

— On tu w ogóle nie sypiał, on był z drugiego kubryku.

Po tamtej stronie.

— Kiedy tu weszłam po południu, stał przy twojej koi. Myślałam, że to jego miejsce. Jestem pewna, że on podrzucił te broszury.

— Ale po co? I skąd je wziął.

— Prowokacja — powiedział krótko Helge Jensen. — Idziemy.

Dobrey odbezpieczył rewolwer, który udało mu się ukryć przed czujnym okiem władz okrętowych, i poszli. Wartownik chodził w tę i tamtą stronę przed składzikiem, gdzie zamknięta była krótka broń. Usłyszał kroki, domyślił się, że to kompani, ale już po samym odgłosie tych kroków domyślił się również, że zaszło coś niezwykłego. Nie były to leniwe kroki marynarzy włączających się czasami wieczorem po korytarzach, nie był to krok pijaka, nie był też krok zaaferowanego zwierznika. To nadchodzili ludzie bardzo pewni siebie, na wszystko zdecydowani, przy tym wyraźnie żądający czegoś od niego. Przystanął, zwrócił się w kierunku nadchodzących kładąc rękę na pistolecie, w który przezornie zaopatrzył go Bollow. Ale zobaczył Dobreya i uspokoił się. Dobrey nie był awanturnikiem. Można było mieć, do niego zaufanie.

Helge Jensen błyskawicznie chwycił go za rękę.

— I nie krzycz — powiedział — nikt ci źle nie życzy, byłeś siedział cicho. Ani mrumru.

Laban nie był tchórzem, ale to, co się stało, tak przechodziło wszystkie jego wyobrażenia o praworządności, że po prostu zbaraniał. Jak to, kompani, dobre chłopcy, którym bez sprzeciwu dał podejść blisko...

— Klucz jest? — spytał krótko Dobrey.

— Nie... nie...nie ma — Labanowi szczękały zęby.

Helge związał Labana, który się już nie opierał, kopnięciem otworzył drzwi do pustej kajuty obok i popchnął tam wartownika,

— Zaknebluj mu usta — poradził marynarz.

— Uducie mnie — przeraził się Laban.

— Nikt nie ma zamiaru. I prędzej, bo szkoda czasu.

Helge i Dobrey podważyli łomem drzwi, przynieśli ten łom ze sobą, otworzyły się nawet nie skrzypnąwszy.

— Przecież nie będziemy brali karabinów?

— Owszem, przydadzą się. Ty staniesz w drzwiach z „Visem“, trzeba ich trzymać w szachu.

Laban leżał cicho w swoim schowku. Bał się. A może się tylko przyczaił? Ale Laban myślał słusznie, że trzeba było podnieść alarm wtedy, kiedy szli, a teraz już za późno. Może by i kto usłyszał, ale on by nie żył.

Biegiem wrócili do sypialni. Rozdali broń: dwa „Visy“, i pistolety. Ama stała w kącie, tuż przy drzwiach, patrzyła z taką prośbą, że Dobrey wcisnął broń i w jej rękę. Wzięła ją, jakby się nią od dawna posługiwała.

Odbyli teraz krótką naradę.

— Czy są jeszcze ciągle w mesie?

— Prawdopodobnie.

— Nie zamkniemy ich razem, pomagaliby jeden drugiemu. Czy tam będą otwarte kajuty?

— Pewno i będą, ale każdy może mieć jakąś broń przy sobie.

— Tak, to też niedobrze. Więc w innych kajutach, pustych, tam gdzie leży Sven. Tylko jeden musi iść dokoła i wpierw pozamykać drzwi z wyjątkiem tych, które prowadzą na korytarz po stronie mesy. Klucze niech mnie odda i zaraz się tam postawi wartę! — rozkazywał Petersen.

— A jeżeli się będą bronić?

— Trudno, zrobi się pukanina.

— Nie strzelać, tylko nastraszyć — powiedział szeptem Ratcliff — Chyba w ostateczności. Niech żywi odpowiadają za swoje czyny.

— Idziemy. A ty, Dobrey, na mostek! Kto tam może być?

— To się zobaczy.

Poszli. Było ich ze czterdziestu, bo paru poszło wartować przy składzie broni.

— A reszta?

— Skoro mamy broń, mamy i resztę.

Dobrey znikł na schodkach prowadzących na mostek kapitański. Lekarze i pielęgniarki zgromadzeni jeszcze byli przy kawie i likierach. Przechodzący z tacą steward zrobił ruch, jakby chciał zawrócić, ale nawet nic mu nie powiedzieli, zmieśli go po prostu z drogi, szli jak potok. Spoza zamkniętych drzwi dochodziły wesołe głosy, ponad wszystkimi górował nieco afektowany, perlisty śmiech Florencji. Stanęli na sekundę. Petersen gwałtownie otworzył drzwi.

Istotnie, byli tu wszyscy. Spoza dymu i oparów dobrego jadła widać było czerwone, połyskliwe twarze, porozpinane mundury, szyje nad kołnierzykami szorstkie i brunatne od opalenizny. Doktor Mac Dane obejmował Florencję. Charles Bollow rozpiął mundur, śmiał się tak, że było mu we wszystkim ciasno. Wtórował mu siedzący obok długonogi i długonosy Per Henning. Skurczywszy wąskie ramiona śmiał się cienko i złośliwie, jakby mówił impertynencje. Doktor Rose złożył swe krótkie różowe rączki na brzuchu przyglądając się ironicznie nowoskojarzonej parze. Na uboczu siedział pastor z siostrą Konstancją, trzymali się za ręce. Konstancja ściągnęła usta w ciup i rzucała wokoło dumne spojrzenia w swej roli szczęśliwej narzeczonej. Bollow zbliżył się do nich właśnie, prosząc ją, by zechciała coś zagrać.

Rudy Oluf Petersen stał w progu i patrzył, a usta wykrzywił mu uśmiech tak wielkiej pogardy, że aż mu wargi drgały odsłaniając zęby. Obok stał Arne i Helge Jensen, obaj z karabinami.

Tamci zdziwili się tak bardzo, że nikt nie zmienił pozycji. Mac Dane nie opuścił ramienia, którym obejmował Florencję. Per Henning nie podciągnął długich nóg, tylko coraz szerzej otwierał oczy, z boku, sam jeden, objąwszy głowę rękami siedział Luskin. Tylko Bollow zrozumiał natychmiast wszystko. Gwałtownym ruchem odwrócił się ku wchodzącym i prostując swoją krępą postać, zaczerwieniony bardziej niż zwykle krzyknął, próbując metody zastraszenia:

— Czego tu chcesz, Petersen? Czy coś się stało? — a ręka jego sięgnęła błyskawicznie do kieszeni.

— Ręce do góry — powiedział spokojnie Petersen.

Bollow zorientował się od razu, że nie zdąży strzelić. Po prostu nic na tym nie zyska. Mieli go.

— Zemdleję — powiedziała Florencja, ale nie zrobiła tego. W tych okolicznościach nie wywarłoby to na nikim wrażenia.

— I wychodzić — powiedział Petersen — po jednym. Doktor Robinson padł na kolana.

— Nie zabijajcie mnie, darujcie! — krzyczał.

— Wstawaj — powiedział spokojnie jak i przedtem Petersen — i trzymaj ręce do góry. No, wychodzić, zbrodniarze.

Zbrodniarze? To słowo podziałało na Raya Luskina jak policzek. Podniósł głowę, przystanął:

— Proszę nas traktować jak przystało na ludzi cywilizowanych, nie na bandę — powiedział — jesteśmy amerykańskimi lekarzami.

Jensen, który stał z drugiej strony, wzruszył ramionami.

— Prędzej, prędzej — przynaglał.

Petersen powiedział:

— Wy, lekarze? I to ma się nazywać cywilizacja?

Splunął. Ray Luskin poszedł dalej. Spojrzał po kolegach: szli gęśiego, po jednemu, bynajmniej nie dumni. Żaden nie ośmielił się podnieść głosu. A on podniósł głos, ale też nie był dumny z siebie. Wydawało mu się, że jego godność lekarza i Amerykanina wymaga takiego właśnie odezwania się. Ale już od dawna nękał go sens tych właśnie najprostszych pojęć. Co to znaczy Amerykanin? Czy można się powoływać na tak niejasne, tak nieustabilizowane pojęcia? Ray Luskin nie odczuwał miłości ojczyzny, ale czyż odczuwali ją jego koledzy? A może rozpatrzyć odezwanie się tamtego człowieka: zbrodniarze? O sobie wiedział jedno tylko: był bakteriologiem. Przez chwilę wobec zbrojnej przemocy poczuł się patriotą amerykańskim. Ale wiedział, że to się w nim nie ostoi, że to się w nim odezwało tylko jako odruch, jak reakcja psa na odgłos dzwonka. Popchnięto go kolbą, a on zareagował jak nakręcony. Dlaczego tak samodzielny w badaniach przyrody, tak był lękliwy, gdy chodziło o miejsce na ziemi?

„Idę z nimi w jednym szeregu, pilnują nas zbrojni ludzie, ale czyż doprawdy nie jestem niczym innym, tylko jednym z tamtych?”

Z dwóch stron ciasnego korytarza stali marynarze z bronią. Na wprost otwierały się drzwi do kajut. Weszli.

Tylko jeden Charles Bollow zrozumiał w całej rozciągłości doniosłość tego, co się stało: laboratorium!

Gdzie może być ten stary dureń Humey? Gdyby mu się udało zniszczyć dowody zamierzonej zbrodni, zanim tam wpadnie zbuntowana załoga?

O tym samym myślał w tej chwili Petersen. Gdzie może być Humey?

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Doktor Humphrey Humey nie wyszedł punktualnie z salonu. Najpierw czekał, aż wskazówka stanie na godzinie jedenastej, potem postanowił dołożyć jeszcze pięć minut, potem dziesięć, wreszcie kwadrans. Powiedział Amie, że przyjdzie do niej o jedenastej. Drożyła się, niby się nie zgadzała — niechże więc teraz on się trochę podroży, a ona niech trochę poczeka. Nie chciał i zresztą nie potrafił grać roli zniecierpliwionego młodzieńca, przeciwnie, zdecydowany był wykorzystać swoje walory „Naczelnego”, tego, który wyświadcza łaskę, wyróżnia osobę, na którą raczył zwrócić uwagę.

Znał swoje walory, były one zawsze cenione tak, jak na to zasługiwały. Nie wątpił, że i tym razem będzie tak samo. Mała w pierwszej chwili była widać zaskoczona wyróżnieniem, ale na pewno od razu zaczęła sobie kombinować i obliczać, jak dalece będzie hojny i jak jej się to opłaci. Myśląc o tym doktor Humphrey Humey uśmiechnął się w gęstwę brody. Dziewczęta bywają tak dalece praktyczne, że niejedna przychodzi na spotkanie z gotowym planem inwestycji: kupisz mi to i to.

Bawiło go to, potargował się zawsze, uśmieł. Rozmyślnie obniżał ceny, mieszał gatunki, udawał, że się na niczym nie zna. Zawsze jakaś rozrywka w monotonii życia na statku.

Była zabiedzona, nie dość starannie ubrana, nie dość i nie zawsze starannie umalowana. Odbijała od swoich eleganckich koleżanek, które zawsze miały tusz i róż w najlepszym gatunku i włosy ułożone według ostatniej mody. Ale doktor Humey lubił takie biedule. Łatwiej to było pognębić, nauczyć rozumu, no i zrobić coś z takiej, to też była rozrywka, czuł się wtedy

Pigmalionem, który ożywia wszystkie możliwości tkwiące w dziewczynie. A ta była zgrabna, miała ładne rzęsy, włosy. Doktor Humey lubił ładne, niezbyt krótko obcięte włosy, żeby były puszyste, żeby było co wziąć w rękę.

Tak, z Amy da się coś zrobić. Już sobie wyobrażał, jak mu będą zazdrościć. Miał w Chicago pod tym względem opinię oryginała. Umiał zawsze wyszperać coś, na co nikt by przedtem nie zwrócił uwagi, a co potem przyciągało oczy. Ubrał, wyedukował — idź, dziecko na dużą wodę, pływaj! Żona bawiła się na swoją rękę, on na swoją. Nigdy nie brał się do aktorek, do dziewcząt wartych „przypięcia na ścianę”, nie ciągnęły go „pine up girls”. Skromna, cicha, kobieca, i zrobić z niej lalę. To go bawiło.

Ama się mądrzy, ale to nic, minie jej. Nie wyglądała na taką, która już przeszła przez wiele rąk. A jest ostatecznie zabawniejsza niż którakolwiek z tych kilkunastu dziewcząt stanowiących pielęgniarski sztab statku.

Dwadzieścia po jedenastej doktor Humphrey Humey podniósł się, spojrzął raz jeszcze na zegarek i powiedział dobranoc. Niech się bawią, niech piją, jak każdego wieczora. Ostatecznie po takim naprężeniu, po takich wzruszeniach, jak bombardowanie portu, dobrze im to zrobi. Pielęgniarki były rozbawione, zaśmiewały się. Znow zaczęli tańczyć, ustawili radio na Nowy Jork, skąd nadawano muzykę jazzową.

Doktor Humey zszedł ze schodów, stewardzi zamiatali jadalnię, krzeselka stały na stołach nogami do góry, serwety były pozdejmowane. Po nalocie, który obserwował z Bollowem i Henningiem z kapitańskiego mostka, panował spokój. Tak, znak Czerwonego Krzyża był wystarczającą ochroną. Różnie się mówiło — ale ci źółci głupcy szanują takie „świętości”. Bollow przebąkiwał, że statek rusza zaraz w dalszą drogę, no i ci

tam, na dole... Niewielu ich, ale za parę dni zbierze się więcej. „Surowiec” musi być obfity i różnorodny.

Doktor Humey znał numer kabiny Amy, przezornie rozlokowali pielęgniarki każdą w oddzielnym pokoiku, stewardesy co młodsze też nie za gęsto. Chwilę stał pod drzwiami. Nie ma co pukać. Doktor Humey był smakoszem, chciał przedłużyć tę chwilę. W kabinie cicho, może znużyła się i usnęła. Ale nie, nerwy na pewno nie pozwoliły jej spać. Znów spróbował ją sobie wyobrazić, potem pewnym ruchem nacisnął klamkę.

Nie ustąpiła. Więc mała się zamknęła. Zapukał, najpierw cicho, potem głośniej i mocniej. Odpowiedziało mu milczenie. Drzwi były szczelne, światła nie byłoby widać, nawet gdyby się świeciło. Można obejść dokoła, okienko wychodziło na pokład E, które to jednak było? Poczuł, jak wzbiera w nim gniew. Co to za kawały? Wyjść na pokład, zaglądać przez okno? Jeszcze czego?

Uderzył pięścią w drzwi. Wiedział doskonale, że nikogo to nie zdziwi, nawet gdyby kto usłyszał. Nie do takich rzeczy byli tu przyzwyczajeni. Jednak i teraz nikt nie odpowiedział.

— Otwieraj, ty! — krzyknął.

Trudno się łudzić, Amy nie było w kabinie. Czyżby tu miała kochanka? Bo i gdzie chodzi po nocy? Nie przyszła z nimi pić, często się od tego wymawiała, więc się nie dziwił, zresztą sądził, że dziś były po temu inne powody. Więc ma kochanka. I wszystko, co o niej myślał, było fałszywe. Czyżby jednak Bollow o tym nie wiedział? Bollow mówił zawsze, że ma ludzi wśród załogi i że akta personalne prowadzi niezmiernie ściśle. Będzie to można jutro zbadać.

Jutro. Ale ta noc? I nagle Humey poczuł, że zależało mu na tej kobiecie. Spodobała mu się. Jest urocza. Jest wstrętna. Żeby ją miał w tej chwili pod ręką, zdusiłby ją chyba, zdeptał, sko-

pał. Na co ona sobie pozwala, na co ona sobie, ta dziwka, pozwala?

Złożył ręce, zacisnął tak mocno palce, aż stawy zatrzeszczały. Gdzie ona może być?

A liczył przecież, że młoda, że się zakocha... Tak, teraz dopiero przekonywał się, że na to właśnie liczył. Że będzie miał przy sobie kogoś bezinteresownie oddanego, nie tak, jak inne... Nagle pomyślał, że Ama może być w laboratorium. Jest sumienna, jest pracowita. Nie zastanawiał się, co tam może robić po nocy. Może pracować, kręcić te swoje waciki, Bóg najwyższy wie, co jej strzeliło do głowy, Zapragnął z całej siły, żeby tam właśnie była, żeby nieprawdą było to wszystko złe, co sobie o niej pomyślał. Skierował się w tamtą stronę.

I wtedy usłyszał kroki. Były to ostrożne, ciche kroki, ale nie były to kroki kobiece. Raczej dwóch mężczyzn, może trzech. Żeby jeden, można by zgadnąć, czego szuka po korytarzach, ale paru? Chcą coś ukraść? Zepsuć? Bollow był podejrzliwy, to prawda, czyż jednak istotnie wiedział tyle, ile chciał wiedzieć?

Doktor Humey przystanął, niech tamci się pokażą, niech się zdemaskują, on będzie stał spokojnie, zaraz ich zobaczy. Ale teraz wydawało mu się, że i z drugiego końca korytarza ktoś się zbliża. Czy to echo, czy rzeczywiście paru mężczyzn podchodzi z dwóch stron korytarza, jakby o nim wiedzieli i chcieli go złapać w potrzask?

Myśl ta przeleciała mu przez głowę i znikła. Przypadek. Coś mu się roi. Ale wtedy właśnie pokazali się niemal jednocześnie z obydwóch stron. Zrobiło mu się nieprzyjemnie, choć nie był tchórzem. Nie przyspieszając kroku wszedł do laboratorium. Trzeba i w tej chwili także zachować godność i nie

ośmieszać się. Ktokolwiek tu jest i w jakimkolwiek celu, trzeba się zachować z godnością.

Nie spiesząc się wyciągnął rękę do zakrętki, ale od razu poczuł, że drzwi już się nie dadzą zamknąć. Ktoś tam z drugiej strony trzymał za klamkę, szpara między progiem a lakierowaną płytą drzwi powiększała się powoli, ale nieustannie. Przy tym odbywało się wszystko w całkowitym milczeniu. Trudno było odgadnąć, kto tam te drzwi trzyma.

Doktor Humey puścił nagle klamkę i nie odwracając się podszedł do laboratoryjnego stołu, który stał przy drugim wejściu.

Dwaj mężczyźni wsunęli się za nim. Humey zrozumiał wszystko natychmiast i całkowicie. Jak to się stało, dlaczego się stało, trudno się teraz głowić. Uchylił tamte drzwi, potem powoli odwrócił się i znalazł się oko w oko z Helgem. Dalej stało dwóch trymerów, których znał jedynie z widzenia.

— Proszę z nami — powiedział Helge. W rękę miał broń.

To chyba sen — pomyślał doktor Humey — takie rzeczy zdarzają się tylko we śnie. Ale nie ma rady, teraz trzeba wykonać wszystko po kolei. Szybkim ruchem, którego gwałtowność zadziwiła zawsze przy jego dużym, tęgim ciele, doktor Humey znalazł się za tamtymi drzwiami i ujął w rękę probówkę.

— Doskonale. Idziemy razem — powiedział i podniósł w górę rękę z probówką.

Ale nie miał chwili wątpliwości: to nie była ta probówka. Ktoś pozmieniał miejsca probówek, zburzył ustalony porządek, w jakim stawiano naczynia laboratoryjne. Zmowa? Za daleko by ta zmowa sięgała. A ci głupcy nie wiedzą o omyłce, przerazi ich i zdoła zniszczyć najważniejsze ślady. — Dżuma — wyjaśnił krótko.

Tamci dwaj znieruchomieli, ale Helge Jensen roześmiał się.

— Buldogi tresuje się na prawą rękę! — zawołał.

Błyskawicznym ruchem zerwał z kołka wiszący tu labo-
rancki fartuch i zarzucił Humeyowi na dłoń, unieruchamiając ją razem z probówką. Fartuch przelatując uderzył lekarza samym rogiem w oko. Machinalnie podniósł wolną rękę do oka, a tamtą Helge już chwycił i wykręcił. Z drętwych palców wyleciała omotana tkaniną probówka i byłaby piasnęła o ziemię, gdyby jej Helge nie złapał w powietrzu.

Arne Gobsbjorg związał mu ręce na plecach i podczas gdy obaj z Janem wyprowadzali go przez wąskie drzwi, które za nim starannie zamknęli, Helge Jensen ostrożnie rozwijał probówkę. Nie wiedział, co z nią zrobić, parzyła mu palce. Nie znał się na takich rzeczach i wolałby nigdy nie mieć z nimi do czynienia. Jakieś ohydne świństwo. Dżuma? Jak to może wyglądać? Helge słyszał, jak mówili coś o pchłach, o bakteriach. I co tu może być? Pchły? Podniósł ostrożnie probówkę do oczu, bał się, że te bakterie wyskoczą i zatańczą koło niego w opętanym tańcu. Ale nic nie zobaczył. Probówka była pusta.

A może tego nie widać? Nie, coś byłoby zawsze widać. W każdym razie nie bawił się z tym dłużej, tylko ostrożnie postawił pionowo na podstawce. Puste, niepuste, lepiej z tym nie żartować. Nie można nawet i zniszczyć, bo nie miał pojęcia, jak się niszczy bakterie, miał przed nimi niebywały respekt. Wiedział zresztą, że należy wszystko dowieźć do wojsk ludowych w możliwie najlepszym, nienaruszonym stanie.

Zgasił światło, zamknął drzwi i na wszelki wypadek wziął ze sobą klucz. Ostrożność nie zawadzi! Potem wyszedł za towarzyszymi. Prowadzili Humeya po schodach na dół. Posta-

nowili go zamknąć w areszcie okrętowym. Należał mu się ten zaszczyt.

Humey szedł bez słowa. Nie prosił o nic, wiedział, że to próżny trud. Uświadomił sobie aż do końca wszystkie konsekwencje tego, co go spotkało. Nie miał też wątpliwości, że podziela los wszystkich lekarzy na statku. Co z nimi teraz zrobią? Prawdopodobnie oddadzą ich w ręce Koreańczyków. Dali się wziąć ze wszystkimi dowodami, jak głupcy. A przecież wiedzieli doskonale, że w razie najłżejszego bodaj niebezpieczeństwa należy najpierw zniszczyć laboratorium. Byłby zdążył wszystko zrobić, nie ulega to najmniejszej wątpliwości, żeby nie ten przekłety Helge. Tak, Helge, kto by to pomyślał, Helge Jensen, do którego Per Henning miał tyle zaufania!

A u końca drogi? Doktor Humey poczuł, że plecy spływają mu zimnym potem. Kula w łeb? Nie, to byłoby za proste, rozumiał to doskonale. Czekał ich długi i skomplikowany proces, niebывały skandal i kompromitacja, która nie tylko na nich spadnie. A po procesie? To samo: śmierć. I wyczytał wyrok, odczytał go po prostu jasno i wyraźnie jakby był wypisany ognistymi zgłoskami niewidocznej ręki podczas uczyty Baltazara, na czarnej ścianie okrętowego więzienia: stryk.

A kiedy za zbrodniarzami zamykały się drzwi więziennych cel, inne drzwi otworzyły się nareszcie. Znużeni jeńcy przestali rozmawiać, plany ich nie powiodły się, stracili nadzieję na wydostanie się z pułapki. Ten statek — wiedzieli o tym dobrze — był pływającą trumną. Nigdy już nie wydostaną się stąd. Teraz trzeba być mężnym i przyjąć to, co przynoszą zmienne koleje wojny.

Zjedli kaszę. Spali. Coj chrapał. Ok Lan oddychała tak cicho, że mogłoby się zdawać, iż umarła. Ming dopiero po godzinie snu otworzył oczy i siadł gwałtownie na macie. Zdawało

mu się, że coś się dzieje na statku, wyczuł rytm maszyn, ściany dygotały, toczyły się taczki z węglem, płomień huczał. Ogromny kocioł, spoczywający poprzecznie jak wielka ryba na samym dnie statku, nagrzewa się, płyną przez niego ożywcze, gorące prądy, woda w wodomierzu opalizuje i drga. Ten ruch, ten rytm, były to jedyne wrażenia, jakie tu do nich docierały. Ciemność była nieprzenikniona, nie to co w kamiennym baraku Inczonu, gdzie przez zakratowane okienko słycać było groźną muzykę nieba i widać było lecące światła.

Ten ruch! Tam była całkowita nieruchomość i gwałtowne błyski piorunów. Tu więzienie drga i porusza się, póki nie odezwie się od dna i nie popłynie. A oni unieruchomieni w absolutnej ciemności i bezwładzie.

Przez chwilę nasłuchiwał oddechu dziewczyny, nie widział jej, nie wiedział nawet, po której stronie spoczywa. Ale nie chciał jej szukać, nie chciał budzić. Niech śpi, jeżeli może. Sen unosi ją w krainę, gdzie nie ma imperializmu i wojny, zima i głodu. Niech tam jeszcze trochę zostanie. Niech odetchnie, odpocznie, nabierze sił.

Myśl jego odwróciła się od tego, co ich czeka, o tym myśleć nie wolno. Nie chciał też niczego wspominać, dość się razem na wspominali, dość miał szczęśliwych wizji rodzinnego kraju, własnych wysiłków i walk. Chciał tylko, żeby towarzysze dowiedzieli się, jak zginął, żeby któryś z towarzyszy robotników poszedł do walki z jego imieniem na ustach, żeby na wielkim apelu umarłych mógł się stawić w swoim mundurze żołnierza wojska ludowego.

Ułożą o nim piosenkę, którą będą śpiewać w szeregu, tak jak układali piosenki o innych dobrych żołnierzach i też je śpiewali w szeregu. Powiedzą tam, że Lu Czen-ming był to dzielny chłop, ale że uległ, gdy się na niego rzuciło wielu wro-

gów. Powiedzą, że wytrzymał wszystko, miał zawsze pogodny uśmiech na twarzy i zginął nie wydawszy nikogo. Powiedzą: patrzcie, chłopcy, tak trzeba postępować. Naśladujcie Lu Czenminga w swoim postępowaniu.

Zastanawiała go ilość służby szpitalnej na tym statku. Kiedy stali na pokładzie, widział stłoczone w gromadkę biało ubrane dziewczęta w czepkach pielęgniarek na głowach. Byłże to szpital? Ale nie, po cóż mieliby ich wieźć tak daleko do szpitala? Przecież nie po to, żeby leczyć?

Pomyślał o Li Don-chenie. Jeszcze dwie godziny temu opowiadał im o swojej ucieczce spod Czangien. Udało mu się wtedy tam, gdzie zginęło dziesięć tysięcy, a może i więcej ludzi. On jeden ocalał, żywy świadek zbrodni Amerykanów, żeby opowiadać.

I Ming nie mógł się oprzeć dziwacznej myśli: dlatego, że mu się wtedy udało, teraz utonął. Nie może się człowiekowi zawsze wszystko udawać. Wiedział doskonale, że jego rozumowanie pozbawione jest całkowicie sensu, ale mimo to wracało ono do niego nieustannie i w tej samej formie. Gdyby mu się nie udało wtedy...

A może właśnie udało mu się i teraz? Może to właśnie szczęściarz, któremu się wszystko wiedzie. Zaledwie Ming się obejrzał, już nie było z nimi Li. Może to właśnie było szczęście?

Od czasu do czasu ktoś przechodził za drzwiami ich komórki, potem ucichło. Widocznie cały statek usypia, tylko z daleka czujne ucho Minga podchwytuje lekkie chrapanie dynamo. Tak, dynamo chrapie jak w fabryce, jak w jego własnej stalowni. Dynamo chrapie, dynamo...

Usypiał, ale znów podskoczył. Łańcuch przeszkadzał mu wstać, klęknął.

Usłyszał za drzwiami głos kobiety.

-- To tutaj. Tu ich zamknęli.

Więc już? Nie, żeby ich wlekli na męki, nie przyszlaby razem z żołnierzami kobieta. Więc, więc...

I światło. I głosy. I ludzie. Wołają, wyciągają ręce, chcą, żeby jak najszybciej wryło się w ich świadomość słowo: wolność.

— Ruszajcie się, wychodźcie, jesteście wolni!

Zaświeciły ślepe latarki, nie mogli się domagać światła, wreszcie znaleźli kontakt. Więźniowie porwali się z ziemi, krzyczą:

To już?

I podnoszą okaleczono dłonie do powiek.

Wpadają marynarze, wpadają palacze, wpadają sanitariusze. Każdy chce ich znów oglądać, każdy chce być z nimi w chwili radości. Kobieta spieszy do kobiety, delikatnie unosi jej żelaza,

— Przede wszystkim musicie ich rozkuć. Potem trzeba ich umyć, przenieść na łóżka.

— Bracia — bełkocze Mu — bracia...

— Dawajcie tu kowadło. Nie mamy przecież kluczy! — woła Arne.

Ach, więc można poruszać nogami nie brzęcząc, kiedy ktoś drugi niesie łańcuch.

— Ależ oni i ręce mają skute. A jacy poranieni!

Przewidujący Jan Breg przyszedł z narzędziami. Więc to jest prawda. Mu ogarnia radość tak wielka, że pierś jego chyba jej nie pomieści. Wolni!

Teraz dopiero widać, jak są słabi. Chwieją się, nie mogą iść, trzeba ich podtrzymywać.

— Odpoczną przez noc — powiada jeden z palaczy — ale też ich urządzili...

— Trzeba ich umyć, dać im gorącej herbaty... A przede wszystkim niech śpią. Możemy znieść na dół koce i poduszki, po co ich wlec po schodach na górę.

Claes i Ama zaczynają się koło nich krzątać.

— Czy w taką noc można spać? — mówi Chińczyk ze słabym uśmiechem.

— A my — rzecze Petersen — do roboty! Czy ludzie są przy maszynach? Zszedłbyś tam, Arne.

— Statek od godziny pod parą. Tam jest Jan i ja zaraz idę.

— Idziemy na mostek. Kto tam jest?

— Byłem na mostku — powiada Dobrey — Parsen trochę szurał...

— Prowadziłeś już kiedy statek?

— Owszem — mówi Dobrey — owszem... Ale jak myślisz, trzeba się jeszcze porozumieć z Koreańczykami... Muszą nam teraz dopomóc. Zakładamy komitet rewolucyjny.

Nagle Helge przystaje i znaczącym gestem puka się w czoło.

— Wszystko dobrze, ale sygnalizacja?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Dobrey wzruszył ramionami, ale nawet się nie zatrzymał.

— Sygnalizacja. Wiem. No to chyba ty tu jesteś specjalistą, a potem trzeba się będzie porozumieć z Koreańczykami i znaleźć jakąś drogę do wojska ludowego. Właśnie liczę na ich

pomoc, trzeba się namyślić wspólnie, niech Petersen powie, jak to zrobić.

Helge schwycił go za rękaw.

— Ale czekaj, czekaj, to są dalsze sprawy. Ja się zastanawiam, co zrobimy w najbliższej chwili, to wszystko nie jest takie proste, jak ci się wydaje. Jesteśmy na obcych wodach, Amerykanie prowadzą kontrolę statków, tu się wprost nie można ruszyć.

— No więc co? — wtrącił Petersen.

— A widzisz, trzeba się zastanowić. Istnieje kod sygnalizacyjny, najprostsza kombinacja paru kolorowych świateł, ale kombinacja umówiona. Zmieniało się ją każdej północy. Jeśli się ruszysz, a statek nie będzie miał bocznych czy też masztowych świateł zapalonych w pewnym porządku, zginęliśmy. Możemy wpaść na kontrolera, a i tak każdy mijający nas statek ma prawo zaczepić, choćby w imię własnego bezpieczeństwa.

— O, to bardzo poważne. Czekaj, Dobrey. Ale ty... ale ty chyba znasz ten kod?

— Skądże? Nawet Bollow go nie znał.

— Nawet Bollow?

— Oczywiście. Bollow otrzymał pewną ilość zalakowanych kopert zawierających instrukcje i ten właśnie kod. Koperty są ponumerowane i zamknięte w sejfie, nie wolno mu ich otwierać. Każdego dnia może otworzyć tylko tę, która jest na ten dzień przewidziana.

— Musi nam oddać klucz od sejfu.

— Ale to jeszcze nie rozwiązuje sprawy. Numery kopert są nadawane drogą radiową. Kolejność też jest dowolna, a raczej z góry ułożona. Jednym słowem, przedsięwzięto dużo środków ostrożności, żeby uprzedzić taki wypadek, jak na przykład ten.

— A ty odebrałeś ten numer?

— Jeszcze nie. Tam jest Gunther. Ale jak wiesz, pracujemy na zmianę. Sądzę, że jeszcze nie podano numeru. Która to? Dowództwo rozpoczyna sygnalizację ściśle pięć minut przed północą, o północy należy zmienić układ świateł. Jednocześnie powiadamia się o zmianie wszystkie statki w pobliżu.

Dobrey zaśwycił małą latarkę i skierował strumień jej światła na tarczę ręcznego zegarka.

— Za kwadrans dwudziesta czwarta.

— To biegnę i zaraz wracam. Mamy dziesięć minut. Trzeba zejść do Bollowa i dowiedzieć się, jak się otwiera sejf. Gdzie on go ma, chyba u siebie w biurze?

— Tak, w biurze! — zawołał Dobrey. — Sam tam idę.

Wziął dwóch ludzi z załogi, poszli. Nie pamiętał dokładnie, w której kajutce zamknęli Bollowa, ale przypomniał sobie. Pędem zbiegł na dół. Wartownik — ich własny wartownik — przechadzał się miarowym krokiem przed separatkami.

— Jak tam, cicho? — spytał zdyszany Dobrey.

— Cicho.

— Nie pamiętasz, gdzie rzuciliśmy łącznika?

Owszem, pamiętał i zaraz wskazał te drzwi. Weszli. Było ciemno, tylko przez mały bulaj migotała biała, fosforyzująca woda. W niepewnym oświetleniu zobaczyli na ziemi niewyraźny kształt: to pełnomocnik amerykański zawinął się w koc, nie spał jednak, gdyż poruszył się. Dobrey trącił go nogą.

— Wstawaj — powiedział zapalając światło.

Bollow, wczorajszy pan i władca wszystkich istnień na szpitalnym statku nr 1092, otworzył przekrwione oczy, ale się nie podnosił.

— Prędej, na nogi — komenderował Dobrey.

Podniósł się. Był porozpinany, szelki zwisały mu na zmiętej koszuli. Zmierzwił włosy sterczały dokoła podobnej do buldoga, czerwonej twarzy. Nie dziwił się temu traktowaniu, i on w podobnym wypadku postąpiłby tak samo.

— Otworzysz sejf! — rozkazał Dobrey — idziemy.

Wzięli go między siebie. Bollow ani przez chwilę nie pomyślał o sprzeciwie. Jeszcze nie zwariował. Mają go, zorientował się w tym od razu. Nie walczył. Łudził się, że może o czymś zapomną, że uchodząc w zmroku — bo zapewne zechcą się schronić po północnej stronie, która tak niepokojąco zbliżyła się tego wieczoru — nie pomyślą o licznych szczegółach, które ich potem zdradzą. Ale widać pamiętają o wszystkim. Może napotkają statek kontrolujący? Ale nie, dziwny by to był zbieg okoliczności, gdyby się zaraz na niego natknęli, teraz, pa świeżym nalocie i kiedy zbliża się ku nim oko tajfunu!

— Prędeż, prędeż — przynaglał Dobrey — czego się guzdrzesz?

Poszli na górę, zapiął szelki, człapał stopami w skarpetkach po czerwonych chodnikach korytarza. Fortuna kołem się toczy. Ale rozumny człowiek zawsze wypłynie. Dobrey szedł naprzód, dwaj milczący marynarze z tyłu. Nagle Dobrey przypomniał sobie:

— Klucze są?

Owszem są. Nie miał najmniejszej chęci narażać się zwycięzcom, a wygrać na czasie tyle, ile by trwał powrót po klucze, to nie jest właściwie wygrana. Rozgniewa ich tylko i może co oberwać. Nikogo co prawda przy nim nie było, nikt nie widział jego poniżenia, ale Charles Bollow bał się i nie lubił bólu.

Weszli do jego biura, Dobrey zaświecił lampę. W kącie wmurowany tu był potężny sejf, na oko niewinny i biało lakierowany, jak zwykła szafka. Dobrey zapytał jeszcze.

— Tylko bez kawałów, prawda?

Owszem, były tu, jak je Dobrey nazywał „kawały”, można było na przykład spowodować mały wybuch, można było sprawić, że papiery spalą się od termitowej mieszanki. Ale Charles Bollow nie miał żadnej ochoty wygrywać tych sztuczek. Był pewny, że wszyscy inni łącznie z Humeyem poddali się bez sprzeciwu. Trzeba wytrzymać, póki się da, a jak się nie da, zrezygnować.

Podszedł do kasy, dwaj palacze posunęli się za nim, Dobrey stał z boku z wymierzonym pistoletem, Bollow uchylił pierwsze drzwi, otwierały się zwyczajnie kluczem. Za nimi ukazały się właściwe drzwi z grubej, pancерnej blachy, z mechanizmem pośrodku, przypominającym koło sterowe albo tarczę aparatu telefonicznego z literami i numerami. Bollow nakręcił jakieś słowo, wkładając po kolei palec w kółka tarczy, dwaj milczący marynarze nie spuszczaali oczu z jego rąk. Potem wziął drugi kluczyk, dużo mniejszy. Grube jak poducha drzwi otworzyły się ukazując proste wnętrze: dwie półeczki, na których stały pudełka i metalowe koszyki.

Dobrey do ostatniej chwili oczekiwał, jak sam to nazwał „kawału”, ale nic podobnego nie nastąpiło. „Przeceniłem face-ta” — pomyślał i usta skrzywiła mu pogarda.

— Który numer? — spytał usłużnie Bollow. Jego głos, nawykły do rozkazywania bezbronnym i podległym, łamał się teraz i naginał.

Dobrey wskazał go oczami palaczom i podszedł do tuby telefonicznej.

— Halo, Helge? Masz numer?

Głos Helgego brzmiał taką radością, że Dobrey odruchowo spojrział na zegarek. Była za dwie minuty dwudziesta czwarta.

— Tak jest — wołał Helge — signum B 16.

— To przyślij po kopertę, bo ja nie mam ci przez kogo posłać.

Bollow słuchał tego zupełnie spokojnie, a nawet na twarzy jego pojawił się służalczy półuśmiech.

— Do celi go — powiedział Dobrey.

Bollow służbiście zawrócił, przez chwilę plecy jego wypełniły niemal szczelnie wąskie drzwi, ale jeszcze nie przekroczwszy wysokiego progu odwrócił się.

— Mam nadzieję, iż nie zapomnicie, że bez sprzeciwu wydałem wam koperty z szyfrem.

Po schodkach zbiegał szybko mały Runge, Dobrey wręczył mu kopertę. Nagle coś mu się jeszcze przypomniało.

— Ale słuchaj, to nie na raz sztuka — powiedział do Bollowa — wróć no się i powiedz, na jakie słowo nastawiony jest mechanizm, sarn spróbuję otworzyć.

— Słowo — powiedział Bollow i uśmiechnął się, jakby był w salonie i powtarzał któryś z dowcipów Robinsona — słowo jest „Victory“.

Coś niby uśmiech przeleciało po młodej, nad wiek poważnej, nieładnej twarzy Dobreya.

— Zgadza się — mruknął. — Zabrać go.

Został przez chwilę sam. Korytarze były puste, wszyscy znajdowali się na swoich miejscach. Zaczął iść wśród białych ścian, wchodził po schodkach na górę, znów szedł korytarzami, znów się wspinał, aż znalazł się na najwyższym pokładzie. Odetchnął głęboko. Piękna to noc, nikt nie śpi, niewiele takich nocy ma się w życiu.

Wiatr nieco się uspokoił, szedł górą, gwiazdy migotały między szybko mknącymi, ciemnymi chmurami. Mimo to nie było jasno, księżyc późno wschodził tej nocy. Szerokie fale ko-

ływały statkiem. W ciemności Dobrey dostrzegł mgliste zarysy najbliższych ludzi, którzy na niego czekali. Zbici w niewielką gromadkę Koreańcy siedzieli na zwojach lin. Ok Lan, drżąc z podniecenia i chłodu, otuliła się porzuconym przez kogoś amerykańskim płaszczem. Nieco z boku stała Ama, John poznał ją po białym fartuchu, wyglądającym spod płaszcza. Nie przebrała się. Wsparta ręką na relingu, jakby czegoś wyglądała, zdawała się być uosobieniem czujności.

— Chodź, Ama — powiedział Dobrey — chodźcie i wy, towarzysze, Petersen na was czeka — zwrócił się do Chińczyka — musimy się naradzić.

Grupka Koreańczyków ruszyła zwolna za nim. Ok Lan została nieco w tyle, ogromny płaszcz wojskowy przeszkadzał jej bardzo. Ochotnik chiński, otulając ją szczelniej, dotknął nieśmiało jej ramienia. Ok Lan nie odsunęła się od niego, poczuł jej bliskość i ciepło, słowa same wyrwały mu się na usta.

— To my już chyba teraz razem, dziewczyno — powiedział pół pytająco.

Nikt się na nich nie patrzył, wszyscy podążali do kapitańskiego biura.

Dobrey stanął na mostku, byli tam już Oluf Petersen i Homer Hatcliff. Obok steru leżał trup Parsena.

— Trzeba go zabrać — powiedział Dobrey — a jutro urządzimy mu pogrzeb. Wszystko w porządku?

— Tak — powiedział Homer — tak.

— A kto jest w laboratorium?

— Helge postawił tam naszego staruszka, no tego starego laboranta. O, to spryciarz! On też ci niejedno opowie.

Petersen nachylił się nad tubą i dał rozkaz do maszynowni.

— Kotły pod parą?

- Tak jest — otrzymał odpowiedź.
- Podnieść kotwicę!
- Tak jest.
- Oluf, rozmów się z towarzyszami — prosił Dobrey.

Statek drgnął, wytrawne ucho marynarza posłyszało nowy rytm w paleniskach i kominach. Za chwilę snujący się nad nimi dym zmienił barwę i z białawego, lekkiego, stał się gęsty i czarny.

Zgrzytnęły łańcuchy trąc się w kluzie. John. Dobrey położył rękę na sterze. Statek szpitalny nr 1092 opuszczał redę Inczonu.

Ama została na chwilę sama. Było ciemno i cicho, głosy towarzyszy oddalały się zwolna. „To jestem ja, ciągle ja, ta sama“ — wyszeptała do siebie. Jej prawa ręka ścisnęła jeszcze rewolwer, który otrzymała od Dobreya. „Tak — myślała dalej — to ciągle ja. Spokojna, dwudziestoosmioletnia kobieta, wdowa po bezrobotnym, mająca w Stanach chorą matkę. Zostawiłam jej pieniądze, które otrzymałam jako zadatek, i pojechałam na trudną, odległą placówkę pewna, że wrócę do tej samej mamy, do tego samego życia, jak tylko się skończy wojna. Wiosna, czas by już wkrótce opleć ogródek i posadzić stokrotki i bratki. Tam ludzie siedzą spokojnie, myślą, co ugotować na obiad, żeby wystarczyło na dwa dni, i cieszą się, że jutro będą pleć ogródek“.

Dwa dni, ależ to bezmiar! Czy mogłaby teraz siedzieć tam razem z nimi i sadzić bratki? Nie, łączyła rozmaite epoki swego życia, jak się to o tym pisze w powieściach. Była teraz innym człowiekiem, była partyzantem. John Dobrey jest komunistą. Komunistą, to po prostu uczciwy człowiek. Zdecydowanym ruchem wsunęła rewolwer do kieszeni i ruszyła na górę, gdzie wzywał ją głos Dobreya.

Homer Ratcliff został razem z Dobreyem na mostku. Od strony biura dochodziły zmieszane głosy naradzających się towarzyszy — oni nie mówili do siebie ani słowa. Oczy Dobreya wbite były z uwagą w dal.

Wielka, rozwieszona na ścianie mapa Chin osłonięta z góry daszkiem, który nie pozwalał rozpraszać się światłu neonów, obramowana była czerwonym szlakiem w żywym odcieniu laki, na którym jasno odcinały się i lśniły jak drogocenne klejnoty żółte, pięcioramienne gwiazdy. Barwiona była jasnymi, pięknymi kolorami. Czyż bywają na świecie tak zielone doliny, czy zdarzają się gdzie tak lazurowe, tak przezroczyście tonie? Kolor mórz grał jeszcze radośniej w świetle lamp.

Homer nie rozumiał znaków wypisanych u góry mapy i pstrzących jak musze łapki rozległe prowincje. Wszakże te wielkie, kwadratowe rysunki u góry coś oznaczały. Niektóre z nich widziały mu się jak szachty górnicze, jeden był jak warsztat tkacki, jeszcze inny jak słup telegraficzny, z poprzeczkami i porcelanowymi bezpiecznikami u szczytu. „Oni to rozumieją — myślał. — Pięćset milionów ludzi uczy się teraz czytać. A gdzież mój czarny lud?”

Patrzył, patrzył i nie mógł się napatrzeć. Rozpięty na ścianie jak motyl jarzył się przed nim niepojęty świat obudzonej Azji. Oczy Murzyna pobiegły na północ aż do pustyni Gobi, różowiejącej na pograniczu Mongolii, aż do Amuru, który opływa Mandzurię, aż tam, gdzie sinieje w oddali Bajkał, święte jezioro wolności i rewolucyjnej pieśni,

Wzrok Murzyna ślizgał się po spokojnych, mało rozczłonkowanych brzegach od delty Hoang-ho aż po zatokę Tientsinu, po rozszalałym bogactwie drobnych, wygodnych zatok i zatoczek, gdzie zbiegają z gór wielkie rzeki, od najdalej wysu-

niętego Wei-hai-wei w dół, do 32 równoleżnika, w bogatą del-
tę Jang-tse, po olbrzymim, naturalnym porcie Szanghaju.

Tu od góry wrzyna się wielki cypel Port-Artura, o który
kiedyś rozlano tyle krwi. Na południowschodzie widnieje
groźna, mała Japonia, zwinięta jak wąż gotujący się do ataku, a
na południe, aż koło Indochin, leży Taiwan, owalna wyspa o
równych brzegach, którą imperialiści ochrzcili „formosa” —
piękna. A tu naprzeciwko krwawiąca Korea z niezliczonymi
wysepkami i zatokami, malowana jak parawan w tysiączne
cienie, świątynie, wulkany i pinie.

W głębi lądu tłoczą się rozliczne prowincje, wielkie i sze-
roko rozciągnięte w stronę kontynentu, a zagęszczone, drobne
i jaskrawe, kiedy zbliżają się do morza i niezliczonych portów.
Już nawet z mapy widać, że tu wre życie i że administracja tu
najwięcej miała do roboty, skoro musiała podzielić ten wielki
kraj na tak małe okręgi. Tłoczą się one żółte, różowe, fioleto-
we, zielone, brązowe, jak łamigłówka, którą układa dziecko,
trafiając dokładnie wygięciami jednej figury w załamania dru-
giej.

Pakt siedmuset milionów — pomyślał Homer — pakt z
wielkim Związkiem Radzieckim. Siedemset milionów ludzi te-
go olbrzymiego kontynentu chce się uczyć i pracować dla po-
koju. Jutro i my będziemy razem z nimi.

Statek szpitalny nr 1092 z różnojęzyczną, różnokolorową
załogą na pokładzie, z trupem oficera na mostku, z amerykań-
skimi więźniami w kajutach pruć fale dążąc w drogę, którą pa-
trolowały amerykańskie okręty, którą przecinał tajfun, na któ-
rej szalała wojna. Płynął w niespokojną, jedyną w świecie noc,
by się przyłączyć do wojsk pokoju i wolności. Poeta Homer
Ratcliff, stojąc przy kapitańskim biurku, wsparł się lekko łok-

ciem o sukno i leżącym tam ołówkiem kreślił czarne litery.
Kończył poemat o półbogach i bohaterach.

Manse, Korea, manse!